



James  
**PATTERSON**

HOWARD ROUGHAN

**Miesiąc miodowy**



**James Patterson** należy do ścisłej czołówki najpopularniejszych autorów amerykańskich; obok książek Browna, Grishama i Kinga jego powieści najczęściej pojawiają się na światowych listach bestsellerów. Sławę przyniósł mu thriller **W sieci pajaka** (1993), w którym czytelnik po raz pierwszy zetknął się z ulubionym literackim bohaterem Pattersona – Alexem Crossem, czarnoskórym policjantem i psychologiem, który specjalizuje się w tropieniu seryjnych zabójców. W jego postać dwukrotnie wcielił się Morgan Freeman w filmach „W sieci pajaka” i „Kolekcjoner”. **Miesiąc miodowy** (2005), najnowszy thriller, doskonale reprezentuje to, co jednoznacznie wyróżnia pisarski styl Pattersona – oszalałające tempo narracji, punktowanej bardzo krótkimi rozdziałami.

## MIESIĄC MIODOWY

Nora Sinclair jest piękna, inteligentna i bardzo seksowna, mężczyźni dosłownie tracą dla niej głowę. Pracuje jako dekoratorka wnętrz dla bogatych klientów, ceni sobie życie na wysokim poziomie. Dziwnym zbiegiem okoliczności mężczyźni, z którymi się wiąże, umierają na atak serca, konto Nory zaś powiększa się o milionowe kwoty. Tajemniczy zgon ostatniego narzeczonego zwraca uwagę tajemnego agenta FBI, Johna O'Hary. Pod przybranym nazwiskiem zawiera bliższą znajomość z Norą i podejmuje z nią grę. Stopniowo przestaje być pewien, czy poszukuje sprawiedliwości, czy może ulega fatalnemu zauroczeniu. Jak szybko Nora orientuje się, z kim naprawdę ma do czynienia?

ISBN 83-7359-299-7



9 788373 592995



**James**  
**PATTERSON**

**HOWARD ROUGHAN**

**Miesiąc miodowy**

Z angielskiego przełożył  
ANDRZEJ SZULC

WARSZAWA 2005

Tytuł oryginału:  
HONEYMOON

Copyright © James Patterson 2005  
Allrights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wy-  
dawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2005

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Szulc 2005

Redakcja: Halina Pękosińska  
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski  
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 83-7359-299-7

*Dystrybucja* Firma Księgarska Jacek Ole-  
siejuk Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa tel./fax  
(22)-631-4832, (22)-632-9155, (22)-535-0557  
[www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl](http://www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl)

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy  
Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel.  
(58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Sprzedaż wysyłkowa  
Internetowe księgarnie wysyłkowe:  
[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)  
[www.vivid.pl](http://www.vivid.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS AN-  
DRZEJ KURYŁOWICZ adres dla kore-  
spondencji: skr. poczt. 55, 02-792 War-  
szawa 78

Wydanie I  
Skład: Laguna  
Druk: OpolGraf S.A., Opole

Prolog

**Kto mnie załatwił?**

Nie wszystko jest takie, jak się wydaje.

Jeszcze przed chwilą czułem się świetnie.

A teraz zaciskam dłonie na brzuchu i zginam się z bólu. Co się ze mną, do diabła, dzieje?

Nie mam pojęcia. Wiem tylko, co czuję, i nie potrafię uwierzyć w to, co czuję. Mam wrażenie, jakby nabłonek mojego żołądka łuszczył się od środka, płonąc przy tym żywym ogniem. Krzyczę i jęczę, a przede wszystkim się modłę: modłę się, żeby to się skończyło.

Ale to się nie kończy.

Pieczenie trwa nadal, wypala dziurę i skwiercząca żółć sączy się z żołądka do wnętrzości... kap... kap... kap... W powietrzu unosi się odór mojego własnego gotującego się ciała.

Umieram, mówię sobie.

Ale nie, jest gorzej. O wiele gorzej. Jestem obdzierany żywcem ze skóry — obdzierany od środka.

A to dopiero początek.

Ból unosi się w górę niczym fajerwerk i eksploduje w moim gardle. Odcina mi dopływ powietrza i walczę o oddech.

Nagle przewracam się. Ręce okazują się bezużyteczne, nie potrafią zamortyzować upadku. Walę czaszką o twarde deski podłogi i rozbijam sobie głowę. Gęsta czerwona krew sączy się znad mojej brwi. Mrugam kilka razy, ale nawet nie czuję skaleczenia. To, że będą mi musieli założyć kilkanaście szwów, nie stanowi w tej chwili większego problemu.

Ból jest coraz gorszy, coraz bardziej się rozprzestrzenia. Obejmuje nos i uszy. Dociera do gałek ocznych. Czuję, jak naczynia krwionośne pękają w nich niczym pęcherzyki w folii do pakowania.

Próbuję wstać. Nie mogę. Kiedy mi się to w końcu udaje, usiłuję biec, ale jestem co najwyżej w stanie pokuśtykać. Nogi mam jak z ołowiu. Do łazienki zostały mi cztery metry. Równie dobrze mogłyby to być cztery kilometry.

Jakoś tam docieram. Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi. Uginają się pode mną kolana i ponownie padam na podłogę. Chłodna terakota wita się z potwornym trzaskiem z moim policzkiem i kruszę sobie tylny ząb trzonowy.

Widzę przed sobą ustęp, który, niestety, porusza się, jak cała łazienka. Wszystko wiruje, a ja wyciągam ręce do muszli, żeby się jej przytrzymać. Bez skutku. Moje ciało zaczyna dygotać; mam wrażenie, jakby moimi żyłami płynęły tysiące woltów.

Usiłuję pełznąć.

Ból obejmuje mnie całego, łącznie z paznokciami, które wbijam w fagi między płytkami i podciągam się do przodu. Desperacko łapię się podstawy sedesu i opieram głowę o jego krawędź.

Moje gardło otwiera się na sekundę i kurczowo łapie powietrze. Zaczynam wymiotować. Mięśnie w klatce piersiowej napiągają się, skręcają, a potem jeden po drugim rozrywają, jakby ktoś ciął je brzytwą.

Rozlega się pukanie do drzwi. Odwracam szybko głowę.

Pukanie staje się coraz głośniejsze. Bardziej przypomina walenie.

Gdybyż to była tylko kostucha przybywająca, by wybawić mnie z tej potwornej męki!

Ale to nie ona, przynajmniej na razie, i w tym momencie zdaję sobie sprawę, że chociaż nie mam pojęcia, co mnie zabija tej nocy, cholernie dobrze wiem, kto mnie załatwił.



Część 1

**Idealne pary**

# Rozdział 1

Nora czuła, że Connor ją obserwuje.

Zawsze to robił, kiedy pakowała się przed podróżą. Wysoki, ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, opierał się o framugę drzwi, wbijał dłonie w kieszenie spodni i marszczył czoło. Nie znosił, kiedy się rozstawali.

Na ogół nic wtedy nie mówił. Stał po prostu w milczeniu, podczas gdy Nora pakowała walizkę, popijając co jakiś czas ulubioną wodę Evian. Tego popołudnia jednak nie zamierzał milczeć.

— Nie jedź — odezwał się tym swoim głębokim barytonem. Nora odwróciła się do niego z czułym uśmiechem.

— Wiesz, że muszę. I wiesz, że tego nie znoszę.

— Ale ja już za tobą tęsknię. Po prostu im odmów, Noro. Nie jedź. Do diabła z nimi.

Od pierwszego dnia urzekło ją, że przy niej Connor wydawał się bezbronny. Zupełnie nie pasowało to do jego publicznego wizerunku — bogatego i bezlitosnego bankiera inwestycyjnego, prowadzącego własną, dobrze prosperującą firmę w Greenwich oraz niezależne biuro w Londynie. Łagodnie jak u szczeniaka oczy nie mogły zanegować tego, że był potężny jak lew. Potężny i dumny.

W dość jeszcze młodym wieku czterdziestu lat Connor zamieniał w złoto wszystko, czego się dotknął. W trzydziesto-trzyletniej Norze odnalazł idealną towarzyszkę życia.

— Wiesz, że mógłbym cię związać i nie pozwolić wyjechać — powiedział żartem.

— To mogłoby być zabawne — odparła Nora, podejmując grę, po czym podniosła wieko walizki, która leżała otwarta na łóżku. Czegoś w niej szukała. — Może najpierw pomógłbyś mi odnaleźć mój zielony zapinany sweter?

Connor wreszcie zachichotał. Dawała mu tyle radości. Nie miało znaczenia, czy żarty były w dobrym, czy złym guście.

— Ten z perłowymi guzikami? Jest w garderobie.  
Nora roześmiała się.

— Znowu przebierałeś się w moje ciuchy? — zapytała, kierując się w stronę przepastnej garderoby.

Kiedy wróciła z zielonym swetrem w rękę, Connor stanął u wezłowania łóżka i wpatrywał się w nią z uśmiechem. W oczach miał iskierki.

— Oho — mruknęła. — Znam to spojrzenie.

— Jakie spojrzenie? — zdziwił się.

— To, które zdradza, że masz ochotę na pożegnalny prezent. Nora przez chwilę się zastanawiała, a potem na jej ustach również pokazał się uśmiech. Wrzuciła sweter do walizki i podeszła powoli do Connora, umyślnie zatrzymując się tuż przed nim. Miała na sobie tylko figi i biustonosz.

— Od ciebie dla mnie — szepnęła, nachylając się do jego ucha.

Nie trzeba było długo jej rozbierać, lecz Connor i tak się nie spieszył. Łagodnie całował jej kark i ramiona. Jego usta podążały wzdłuż wyimaginowanej linii, która prowadziła ku wystającym krągłościom małych jędrnych piersi. Tam się zatrzymały. Gładząc ją jedną dłonią po rękę, drugą zaczął odpinać biustonosz.

Nora zadrżała i poczuła, jak przechodzi ją dreszcz. Connor

był słodki, zabawny i bardzo dobry w łóżku. Czegóż więcej mogłaby pragnąć dziewczyna?

Connor ukląkł i pocałował ją w brzuch, zataczając językiem delikatne kręgi wokół niewielkiego pępka. A potem opierając kciuki na biodrach Nory, zaczął ściągać jej figi, znacząc postępy kolejnymi pocałunkami.

— To... jest... bardzo... miłe — szepnęła.

Teraz nadeszła jej kolej. Kiedy wysoki i muskularny Connor wyprostował się, zaczęła go rozbierać. Szybko, sprawnie i zmysłowo.

Przez kilka sekund stali nieruchomo. Kompletnie nadzy. Wpatrując się w siebie, sycąc wzrok wszystkimi szczegółami. Boże, czyż może być w życiu coś lepszego?

Nora nagle roześmiała się i pchnęła żartobliwie Connora na łóżko. Maksymalnie podniecony, przypominał leżący na kołdrze ogromny ludzki zegar słoneczny.

Sięgnęła do otwartej walizki, wyjęła stamtąd czarny pasek Ferragamo i naciągnęła go w dłoniach.

Prask!

— Czy ktoś tu coś mówił o wiązaniu? — zapytała.

## Rozdział 2

Trzydzieści minut później, mając na sobie różowy aksamitny szlafrok, Nora zeszła po szerokich schodach utrzymanej w neokolonialnym stylu, trzypiętrowej, tysiącmetrowej rezydencji Connora. Jego gniazdko robiło wrażenie, nawet jak na standardy Briarcliff Manor i innych miasteczek okalających modne Westchester.

Było przepięknie urządzone — każdy pokój idealnie spełniał wymogi estetyki i funkcjonalności, stylu i wygody. Dzieła sztuki z najlepszych nowojorskich antykwariatów spotykały się tu z tym, co miał najlepszego do zaoferowania stan Connecticut — Eleish Van Breems, New Canaan Antiques, Silk Purse oraz Cellar. Dzieła podpisane przez Moneta, Magritte'a i czołowego przedstawiciela słynnej Hudson River School, Thomasa Cole'a. Zdobiący bibliotekę georgiański sekretarzyk, który należał kiedyś do samego J.P. Morgana. Pudełko na cygara, które Richard Nixon podarował niegdyś Fidelowi Castro wraz ze stosownym certyfikatem autentyczności. Zaopatrzona w osobne wejście piwniczka na wino, mogąca pomieścić cztery tysiące butelek, i prawie pełna.

To prawda, Connor zatrudnił jedną z najlepszych dekoratorek wnętrz w Nowym Jorku. Wywarła na nim takie wrażenie, że

zaprosił ją na randkę. Sześć miesięcy później przywiązywała go do łóżka.

A on jeszcze nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy, taki podniecony, taki pełen ikry!

Pięć lat wcześniej odnalazł miłość życia, Moire, i świata poza nią nie widział, lecz jego narzeczona umarła na raka. Nie sądził, że mógłby jeszcze kogoś pokochać, gdy oto nagle pojawiła się zdumiewająca Nora Sinclair.

Nora przeszła przez wyłożony marmurem hol i jadalnię. Przed wyjazdem miała jeszcze dość czasu, żeby nakarmić zgłodniałego po seksie Connora.

Kuchnia była jej ulubionym miejscem w tym domu. Przed zapisaniem się do nowojorskiej Szkoły Architektury Wnętrz myślała nawet o prowadzeniu restauracji. Uczęszczała na kursy w Le Cordon Bleu w Paryżu.

Zamiast dekorować talerze, zdecydowała się w końcu na wnętrza, lecz gotowanie nadal pozostało jedną z jej pasji. Pomagało rozjaśnić umysł. Nawet kiedy przyrządzała danie tak niewyszukane, jak ulubiony cheeseburger Connora: soczysty, podwójny, z cebulą... i kawiołem w środku.

— Kochanie, jedzenie już prawie gotowe. A ty? — zawołała do niego piętnaście minut później.

Connor, ubrany w szorty i koszulkę polo, zbiegł po schodach i podszedł do stojącej przy piekarniku Nory.

— Nie chciałbym być teraz...

— ...w żadnym innym miejscu na ziemi — dokończyła za niego. To było jedno z ich powiedzonek. Powtarzana wspólnie mantra. Świadectwo, że chcą spędzić ze sobą jak najwięcej czasu, co biorąc pod uwagę ich zawrotne kariery, nigdy nie było zbyt łatwe.

Connor zerknął na nią przez ramię w chwili, gdy kroїła wielką cebulę.

— Nigdy nie płaczesz przy krojeniu, prawda?

— Nie, chyba nie.

— Kiedy przyjeżdża po ciebie limuzyna? — zapytał, siadając przy kuchennym stole.

— Za niecałą godzinę.

Pokiwał głową i bawił się przez chwilę podkładką pod nakrycie.

— Gdzie mieszka ten klient, który zmusza cię do pracy w niedzielę?

— W Bostonie — odpowiedziała. — To emeryt. Kupił właśnie wielki dom z piaskowca w Back Bay i go remontuje.

Przekroiła na pół kajzerkę, wsadziła do środka skwierczącego, podwójnego cheeseburgera i cebulę, po czym wyjęła z lodówki amstela dla Connora oraz wodę Evian dla siebie.

— Lepszy niż u Smitha i Wollensky'ego — oznajmił po pierwszym kęsie. — No i mają tutaj o wiele atrakcyjniejszego szefa kuchni.

Nora uśmiechnęła się.

— Oprócz tego mam dla ciebie lody Greatera. Malinowe.

Firma Greater produkowała najlepsze lody, jakie kiedykolwiek jadła, dość dobre, by opłacało się je sprowadzać aż z Cincinnati.

Nora pociągnęła łyk wody i patrzyła, jak Connor zmiata z talerza to, co dla niego upichciła. Zawsze tak robił. Miał wilczy apetyt. To dobrze.

— Boże, jak ja cię kocham — wyznał nagle.

— Ja też cię kocham. — Nora spojrzała w jego niebieskie oczy. — Kocham cię. A właściwie ubóstwiam.

Connor podniósł w górę dłonie.

— Więc właściwie na co czekamy?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że masz już tutaj więcej ubrań niż ja. Nora kilka razy zamrugwała.

— Czy tak sobie wyobrażasz oświadczyzny?

— Nie — odparł. — Tak oto je sobie wyobrażam. — Sięgnął do kieszeni szortów, wyjął z niej małe jasnoniebieskie

puzderko i przyklękawszy na jedno kolano, podał je Norze. — Noro Sinclair, dzięki tobie jestem najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Nie mogę uwierzyć, że cię znalazłem. Wyjdiesz za mnie?

Kompletnie oszołomiona Nora otworzyła puzderko i zobaczyła w środku ogromny brylant. Łzy zalsniły w jej zielonych fezach.

— Tak, tak, tak! Hip, hip, hura! — zawołała. — Wyjdę za ciebie, Connorze Brown! Tak bardzo cię kocham.

Wystrzelił szampan, Dom Perignon, rocznik 1985, który Connor schłodził już wcześniej. Kupił również butelkę jacka danielsa dla siebie, na wypadek gdyby odmówiła.

Napełniwszy kieliszki, wznosił toast.

— Obyśmy żyli długo i szczęśliwie.

— Obyśmy żyli długo i szczęśliwie — powtórzyła za nim Nora. — Za tak, tak, tak!

Stuknęli się kieliszkami, wypili i wzięli za ręce. Szaleńczo zakochani, pijani szczęściem, uściskali się i ucałowali.

Uroczystość przerwał jednak wkrótce klakson na podjeździe. Przyjechała zamówiona przez Norę limuzyna.

Kilka chwil później, kiedy lincoln town car ruszał z miejsca, w otwartym bocznym oknie pojawiła się jej twarz.

— Jestem najszcześniejszą dziewczyną pod słońcem! — zawołała.



## Rozdział 3

Jadąc na lotnisko Westchester, Nora nie mogła oderwać oczu od olśniewającego pierścionka. Okrągły brylant miał co najmniej cztery karaty, barwę D lub E i otaczało go kilka mniejszych kamieni. Całość była przepięknie oprawiona w platynę. Wygląda na mnie bosko, pomyślała. Wygląda, jakbym urodziła się z nim na palcu.

— Czy mam panią odebrać po powrocie, pani Sinclair? — zapytał szofer, pomagając jej wysiąść z lincolna przed budynkiem terminalu.

— Nie, wszystko już załatwiłam — odparła, po czym dała mu sowity napiwek, złapała za rączkę walizkę i wtoczyła ją do środka, mijając w drodze do odprawy pierwszej klasy wyjątkowo długą kolejkę pasażerów. Idąc, słyszała niemal głos Connora powtarzającego ich kolejną mantrę.

— Warto wydać trochę pieniędzy... — mówił.

— ...żeby oszczędzić sobie fatygi — odpowiadała.

Kiedy samolot gładko wystartował i wzniósł się na odpowiednią wysokość, oderwała w końcu oczy od zaręczynowego pierścionka i otworzyła najnowszy numer „House and Garden”. Jeden z ilustrowanych reportaży był poświęcony wnętrzom domu, które zaprojektowała dla klienta w Connecticut. „Śmiała

propozycja w Darien” — brzmiał tytuł. Zdjęcia były wspaniałe, towarzyszący im komentarz bardzo pochlebny. Zabrakło tylko jej nazwiska.

Dokładnie tak, jak sobie tego życzyła.

Póltorej godziny później samolot wylądował na lotnisku Logan w Bostonie. Nora odebrała swój samochód, kabriolet marki Chrysler Sebring, i z podniesionym dachem i w słoneczkach okularach ruszyła w stronę dzielnicy Back Bay. Nastawiony wcześniej w radiu program skłonił ją do dwóch wniosków. Po pierwsze w Fasolowym Mieście mieli za dużo stacji, w których na okrągło się gadało. Po drugie poprzedni kierowca nie powinien wynajmować tego samochodu. Kabriolet wymaga muzyki.

Wcisnęła przycisk SZUKAJ i znalazła melodię, która jej się spodobała.

Z powiewającymi na wietrze włosami i opalenizną, która nabierała koloru w promieniach lipcowego słońca, zaśpiewała Wraz z zespołem Flamingos klasyczny przebój „I Only Have Eyes For You”.

Wkrótce podjechała pod stojący przy Commonwealth Avenue, nieopodal Public Garden, wspaniały stary budynek z elewacją z piaskowca. W niedzielne letnie popołudnie nie było prawie ruchu i uśmiechnęło się do niej szczęście: tuż przed domem było wolne miejsce do parkowania.

— Cudnie.

Zaciągnęła hamulec i przez chwilę poprawiała włosy. Spiąć je czy nie spinać? Spiąć! Zerknęła na zegarek i otworzyła drzwi. Zaczynało się przedstawienie.

## Rozdział 4

Podchodząc do olbrzymich dwuskrzydłowych drzwi, Nora wyciągnęła z torebki klucz, który dostała od Jeffreya Walkera wkrótce po tym, jak ją zatrudnił. Ponieważ dom był taki ogromny, a dzwonek miał swoje humory, Walker poprosił, żeby otwierała drzwi sama. Jakie to słodkie, szepnął jej wewnętrzny głos.

— Halo? Jest tam kto? — zawołała, wchodząc do środka. — Halo? Panie Walker?

Stała się pośrodku holu i nasłuchiwała. Po chwili dotarł do niej spływający z drugiego piętra wspaniały dźwięk trąbki Milesa Davisa. Zawołała ponownie i tym razem usłyszała nad głową kroki.

— To ty, Noro? — odezwał się głos u szczytu schodów.

— Spodziewałeś się kogoś innego? — odparła. — Mam nadzieję, że nie.

Jeffrey Walker zbiegł szybko na dół, złapał Norę w ramiona i zakręcił nią dookoła. Całowali się przez całą minutę. A potem znowu zaczęli się całować.

— Boże, jaka ty jesteś piękna! — powiedział, stawiając ją na podłodze.

Szturchnęła go żartobliwie w brzuch lewą dłonią. Cztero-

karatowy brylant Connora został już zastąpiony sześciokaratowym szafirem Jeffreya, któremu towarzyszyły dwa mniejsze brylanty

— Założę się, że mówiłeś to wszystkim swoim żonom — powiedziała.

— Nie, tylko takim ślicznym jak ty. Boże, jak ja się za tobą stęskniłem. Kto by za tobą nie tęsknił?

Roześmiali się i pocałowali, głęboko i z uczuciem.

— Powiedz, jak minął lot? — zapytał.

— Dobrze. Jak ci idzie nowa książka?

— To nie będzie „Wojna i pokój”. Ani „Kod Leonarda da Vinci”.

— Zawsze tak mówisz, Jeffrey.

— Bo to zawsze prawda.

Czterdziestodwuletni Jeffrey Sage Walker, autor znakomicie sprzedających się na całym świecie powieści historycznych, miał miliony czytelników, z których większość stanowiły kobiety. Lubiły jego książki, a także ich obdarzone silnym charakterem bohaterki. Dodatkowego powodzenia przysparzały mu zamieszczane na obwolutach fotografie. Z nieuczesaną blond czupryną i kilkudniowym zarostem wyglądał bardzo pociągająco.

Nagle podniósł Norę i zarzucił ją sobie na ramię. Protestowała głośno, kiedy niósł ją po schodach.

Jeffrey zmierzał do sypialni, lecz Nora złapała za klamkę i sprawiła, że skręcił do biblioteki. Utkwiła wzrok w jego ulubionym fotelu: tym, w którym pisał książki.

— Twierdzisz, że tu właśnie powstają twoje najlepsze dzieła — powiedziała. — Może to sprawdzimy?

Jeffrey położył ją na wytartej brązowej skórze i włączył muzykę. Norę Jones, jedną ze swoich ulubionych piosenkarek.

Kiedy jej ochrypty silny głos wypełnił pokój, Nora odchyliła się i podniosła nogi. Jeffrey zdjął jej sandały, rybaczki i figi i pomógł ściągnąć zielony sweter, a ona sięgnęła do jego dzinsów.

— Mój przystojny genialny mąż — szepnęła, ściągając je w dół.

## Rozdział 5

Wieczorem ugotowała makaron z zaimprovizowanym sosem z paroma kroplami wódki. Do tego sałatka oraz butelka Brunello z prywatnej piwniczki Jeffreya. Kolacja została podana. Wszystko jak trzeba. Tak jak lubił.

Jedząc, rozmawiali o jego nowej powieści, której akcja rozgrywa się w czasach Rewolucji Francuskiej. Jeffrey przed kilkoma dniami wrócił z Paryża. Zależało mu na autentyzmie; lubił podróżować i zbierać materiały. Nora również miała dużo roboty i dlatego częściej byli oddzielnie niż razem. Prawdę mówiąc, ślub wzięli w pewną sobotę w Cuernavaca w Meksyku i już w niedzielę wrócili do domu. Bez wielkiego rozgłosu, zachodu i śladu w amerykańskim urzędzie stanu cywilnego. Tworzyli bardzo nowoczesne małżeństwo.

— Myślałem o czymś, Noro, wiesz? — powiedział Jeffrey, wbijając widelec w resztki makaronu. — Powinniśmy razem gdzieś się wybrać.

— Może zafundujesz mi ten miodowy miesiąc, który obiecałeś.

Jeffrey przyłożył rękę do serca i uśmiechnął się.

— Dla mnie każdy dzień spędzony z tobą jest miodowym miesiącem.

Nora odwzajemniła jego uśmiech

— Doceniam twój spryt, ale nie pozwolę ci się tak łatwo wywinąć, Panie Sławny Pisarzu.

— No dobrze. Gdzie chcesz pojechać?

— Co powiesz na południe Francji? — zaproponowała. Moglibyśmy zatrzymać się w Hotel du Cap.

— A może Włochy? — spytał, podnosząc kieliszek z winem. — Toskania?

— Już wiem... może zaliczymy jedno i drugie?

Jeffrey odchylił głowę i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Cała ty — powiedział, machając palcem. — Zawsze chcesz wszystkiego. Właściwie dlaczego nie?

Skończyli kolację, dyskutując na temat kolejnych możliwości spędzenia miodowego miesiąca. Madryt, Bali, Wiedeń, Lanaii... Po wypiciu pół litra wiśniowego koktajlu Ben & Jerry Garcia ustalili jedynie, że powinni zwrócić się do biura podróży.

O jedenastej tulili się do siebie w łóżku. Kochające się małżeństwo.

## Rozdział 6

Nazajutrz, kilka minut po południu, na rogu Czterdziesta Drugiej Ulicy i Park Avenue, przed dworcem Grand Central krzyknęła kobieta. Druga kobieta odwróciła się, żeby zobaczyć, co się stało, i ona też krzyknęła.

— Cholera — mruknął towarzyszący jej mężczyzna i wszyscy się rozpierzchli.

Działo się coś bardzo złego. Prawdziwa katastrofa tuż obok najstynniejszego dworca na świecie. Reakcja łańcuchowa, której katalizatorami były lęk i dezorientacja, szybko przegnała wszystkich z chodnika. Wszystkich z wyjątkiem trzech osób.

Jedną z nich był grubas z gęstymi bokobrodami, przeredzono czupryną oraz ciemnym wąsikiem. Miał na sobie luźny brązowy garnitur z szerokimi klapami i jeszcze szerszym lśniącym niebieskim krawatem. Na chodniku przed nim znajdowała się średniej wielkości walizka.

Obok grubasa stała młoda kobieta, atrakcyjna, dobrze po dwudziestce. Miała rude włosy, które sięgały jej do ramion, i mnóstwo piegów na twarzy. Ubrana w krótką plisowaną spódniczkę i biały top, trzymała na ramieniu sfatygowany plecak.

Grubas i młoda kobieta nie mogliby się od siebie bardziej różnić, lecz w tym momencie byli ze sobą silnie związani. Pistoletem.

— Jeśli podejdziesz choćby krok, zabiję ją! — warknął grubas z wyraźnym bliskowschodnim akcentem, wbijając chłodną stal lufy w skroń młodej kobiety. — Przysięgam, że ją zastrzelę. Zrobię to w jedną sekundę. To dla mnie żaden problem.

Groźba skierowana była do trzeciej osoby — mężczyzny stojącego na chodniku może trzy metry dalej i ubranego w szare workowate spodnie khaki oraz czarny podkoszulek — typowego turystę, prawdopodobnie z zachodniej części kraju. Z Oregonu albo Waszyngtonu. Mężczyzna sprawiał wrażenie biegacza. Tak czy owak, był w niezłej formie.

I nagle on też wyciągnął broń.

Po czym zbliżył się o krok, celując z pistoletu w czoło grubasa. Dokładnie w sam jego środek. I nie zwracając uwagi na to, że młoda kobieta stoi na linii jego strzału.

— Mnie też na niej nie zależy — oświadczył.

— Powiedziałem: stój! — zawołał grubas. — Nie podchodź bliżej. Stój tam, gdzie jesteś.

Turysta zignorował go i podszedł jeszcze bliżej.

— Przysięgam, że ją, kurwa, zabiję!

— Nie, nie zrobisz tego — odparł chłodno Turysta. — Ponieważ jeśli ją zastrzelisz, ja zastrzelę ciebie. — Dał jeszcze jeden krok do przodu i zatrzymał się. — Przemyśl to sobie, przyjacielu. Wiem, że nie możesz stracić tego, co masz w walizce. Ale czy twoje życie jest tego warte?

Grubas zmrużył oczy i zrobił taką minę, jakby coś go nagle potwornie zabolalo. Najwyraźniej analizował to, co usłyszał od Turysty. A może nie. Nagle na jego twarzy pojawił się maniackalny uśmiech. Odbezpieczył broń.

— Prooooooszę... — błagała, trzęsąc się, młoda kobieta. — Prooooooszę!



Łzy lały się z jej oczu. Ledwo stała na nogach.

— ZAMKNIJ SIĘ! — wrzasnął jej do ucha grubas. —  
ZAMKNIJ SIĘ. DO DIABŁA! NIE SŁYSZĘ WŁASNYCH  
MYŚLI!

Turysta nie cofnął się: bezlitosne spojrzenie niebieskich oczu utkwiał w jednym punkcie: palcu, który grubas zaciskał na spuście.

Nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Palec drżał.

Gruby sukinsyn chyba zamierzał zastrzelić dziewczynę. A na to nie można było pozwolić.

## Rozdział 7

—Hola, hola! — powiedział Turysta, podnosząc dłoń. — Wyluzuj, człowieku. — Dał krok do tyłu i zachichotał pod nosem. — Kogo ja chcę oszukać? Nie jestem aż takim dobrym strzelcem. Nie ma mowy, żebym cię załatwił, nie robiąc przy tym krzywdy dziewczynie.

—Zgadza się — odparł grubas, obejmując jeszcze mocniej młodą kobietę pulchnym prawym ramieniem. — Powiedz mi, kto tu rządzi?

—Ty — odrzekł Turysta, kłaniając się z szacunkiem. — Powiedz tylko, czego ode mnie oczekujesz, przyjacielu. Co tam, jeśli chcesz, mogę położyć pistolet na chodniku, dobrze?

Grubas zmierzył Turystę ostrym spojrzeniem. Znowu mrużył oczy.

—Dobrze, ale zrób to powoli — rozkazał.

—Jasna sprawa. Wolniutko, spokojniutko. Nie zrobiłbym tego inaczej.

Turysta zaczął opuszczać pistolet i zza pobliskiej budki telefonicznej dało się słyszeć westchnienie. Kolejne westchnienie dobiegło zza dostawczej furgonetki zaparkowanej przy Czterdziestej Drugiej Ulicy. Gapie, którzy rozpierzchli się w popłochu, ale nie mieli zamiaru rezygnować z przedstawienia,

myśleli to samo: Nie rób tego. chłopie Nie oddawaj pistoletu. Grubas cię zabije! I ją również!

Turysta przykucnął i ostrożnie położył pistolet na chodniku.

— Widzisz, jak łatwo poszło — powiedział. — Co teraz mam zrobić?

Grubas zaczął się śmiać. Jego krzaczaste, nieprzystrzyżone wąsy trzęsły się nad górną wargą.

— Co masz zrobić? — powtórzył i roześmiał się jeszcze głośniejsze. Nie mógł się opanować. Nagle śmiech umilkł. Grubas odsunął pistolet od głowy młodej kobiety i wycelował go prosto przed siebie. — Chcę, żebyś umarł — oznajmił.

Właśnie wtedy Turysta wykonał nagły ruch.

W okamgnieniu sięgnął pod nogawkę spodni i płynnym ruchem wyciągnął z kabury przy kostce dziewięćmilimetrową berettę. A potem wyprostował ramię i wypalił, zanim ktokolwiek — łącznie z grubasem — zorientował się w sytuacji.

W czole grubasa pojawiła się dziura wielkości dziesięciocentówki i przez chwilę stał w bezruchu niczym posąg przerośniętego Buddy. A potem rozległ się wrzask gapiów, młoda kobieta z plecaczkiem upadła na kolana, a grubas ze straszliwym łoskotem runął na brudny, zaśmiecony chodnik. Krew trysnęła z niego jak z fontanny.

Jeśli zaś chodzi o Turystę, schował berettę do kabury na kostce, a drugi pistolet do saszetki przy pasku. Następnie wyprostował się, zabrał walizkę i zaniósł ją do niebieskiego forda mustanga, który stał na ulicy zaparkowany w drugim rzędzie, z pracującym przez cały czas silnikiem.

— Życzę miłego dnia, panie i panowie — powiedział do oszołomionych widzów, którzy obserwowali go w milczeniu. — Szczęśliwa z pani dziewczyna — dodał, salutując młodej kobiecie, która przyciskała mocno do piersi swój plecak.

Następnie siadł za kierownicą mustanga i odjechał.

Z walizką.

## Rozdział 8

Światła zmieniły się na zielone i nowojorski taksówkarz wcisnął gaz do dechy, jakby chciał rozjechać jakiegoś robaka. Zamiast tego o mało nie potrafił pośląca na rowerze — członka tego rzadkiego, balansującego na krawędzi śmierci plemienia, dla którego czerwone światła i znaki stopu są tylko czyjąś szaloną sugestią, głupim żartem.

Taksówkarz zahamował pośrodku skrzyżowania, a poślaniec skręcił wyścigówką w bok i omijając o kilka centymetrów jego zderzak, pojechał dalej.

— Dupek! — rzucił przez ramię.

— Sam jesteś dupek! — wrzasnął taksówkarz, pokazując mu palec, po czym zerknął na siedzącą na tylnym siedzeniu Norę i potrząsnął głową z odrazą. Następnie, jakby nic się nie stało, znów wcisnął gaz do dechy.

Nora uśmiechnęła się.

Miło było znaleźć się z znowu w domu.

Taksówkarz kontynuował wariacki wyścig, pędząc Second Avenue na południe, w dół Manhattanu. Po kilku przecznicach względnej ciszy włączył radio. Nadawali właśnie wiadomości.

Mężczyzna, który opowiadał głębokim miodopłynnym głosem o ostatnim kryzysie finansowym w mieście, przerwał nagle,

by przekazać pałeczkę reporterce mającej coś ważnego do powiedzenia.

— Mniej więcej przed półgodziną, na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Park Avenue, nieopodal dworca Grand Central, doszło do brutalnego i dziwnego incydentu...

Reporterka opowiedziała, jak jakiś mężczyzna zatrzymał młodą kobietę i w chwili, gdy do niej celował, został zastrzelony przez innego mężczyznę, którego postronni gapie wzięli za policjanta w cywilu.

Tyle że kiedy w końcu przybyła policja, stało się jasne, że ten drugi mężczyzna nie był w żaden sposób związany z nowojorskimi siłami ładu i porządku. Po strzelaninie uciekł z miejsca zdarzenia, zabierając należącą do zabitego sporą walizkę.

Reporterka obiecała śledzić dalej całą sprawę, a taksówkarz wydał z siebie długie westchnienie i zerknął we wsteczne lustro.

— Tego właśnie potrzebuje to miasto, nie? — spytał. — Kolejnego samozwańczego szeryfa.

— Wątpię, żeby o to chodziło — stwierdziła Nora.

— Dlaczego?

— Ważna jest walizka. Cokolwiek się wydarzyło, najwyraźniej miało coś wspólnego z jej zawartością.

Taksówkarz wzruszył ramionami i pokiwał głową.

— Chyba ma pani rację. Co pani zdaniem w niej było?

— Nie wiem — odparła Nora — ale na pewno nie brudne ubrania.

# Rozdział 9

Ktoś kiedyś powiedział, że istnieje wielka różnica między prawdziwym życiem a tym, które się prowadzi. Nora uwielbiała tę maksymę i z całego serca w nią wierzyła.

Z pewnością istniała taka różnica w życiu tej dziewczyny.

Zapłaciła taksówkarzowi na rogu Mercer i Spring w SoHo i wtoczyła walizkę do wyłożonego marmurem holu zaadaptowanego do celów mieszkalnych luksusowego budynku magazynowego. Oksymoron wszędzie poza Nowym Jorkiem.

Zajmujący połowę całego piętra penthouse należał do niej. Po pierwsze wielki, po drugie stylowy. Meble z kolekcji George'a Smitha, polerowane brazylijskie drewniane podłogi, kuchnia według projektu Poggenpohla. Spokojny, cichy i elegancki apartament był jej azylem. W rzeczywistości to właśnie było miejsce „którego nie zamieniłaby na żadne inne na ziemi”.

W gruncie rzeczy Nora lubiła oprowadzać po nim te nieliczne osoby, które ją interesowały.

Przy samych drzwiach stał jej wartownik — mierząca sześć stóp gliniana rzeźba nagiego mężczyzny dłuta Javiera Martina.

Oprócz tego miała tam dwa wykwintne zestawy wypoczynkowe — jeden w białej, drugi w czarnej skórze, oba zaprojektowane przez nią samą.

Uwielbiała wszystko, co się tam znajdowało. Szukając rzeczy, które by pasowały, przeczesywała antykwariaty i galerie sztuki w SoHo, na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku, w Londynie, Paryżu i małych wioskach we Włoszech, Belgii i Szwajcarii.

Kupione tam przedmioty i dzieła sztuki wypełniały każde wolne miejsce.

Srebro: wyroby Hermesa; kilkanaście srebrnych pater, które kochała.

Artystyczne szkło: ramy French Galie; opalizujące szkatuły w kolorach białym, zielonym i turkusowym.

Obrazy uznanych oraz dobrze zapowiadających się artystów z Nowego Jorku, Londynu, Paryża i Berlina.

No i oczywiście emanująca falami beta sypialnia — ściany w kolorze ciemnego wina, połączone kinkiety i lustra, antyczna drewniana woluta nad łóżkiem.

Śmiało: rozgryź mnie, jeśli potrafisz.

Nora wyjęła z lodówki butelkę wody Evian i wykonała kilka telefonów, nie zapominając o rozmowie z Connorem, która należała do rytuału, nazywanego przez nią Obsługa Mężczyzny. Trochę później odbyła podobną rozmowę z Jeffreyem.

Kilka minut po ósmej wieczorem weszła do restauracji Babbo w samym sercu Greenwich Village. Owszem, bardzo miło było znaleźć się z powrotem w domu.

Chociaż był poniedziałek, Babbo pękała w szwach. Brzęk sztucców, szkła i talerzy oraz głosy wyczesanych ludzi z miasta wypełniały dwupoziomową restaurację pulsującym szumem.

Nora dostrzegła swoją najlepszą przyjaciółkę Elaine, która siedziała już z Allison, kolejną jej drogą przyjaciółką. Zajęty stolik przy ścianie, na bardziej luzackim pierwszym piętrze. Nora minęła kelnerkę, przeszła przez salę i cmoknęła obie przyjaciółki. Boże, jak ona ubóstwiała te dziewczyny!

— Allison zakochała się w naszym kelnerze — poinformowała ją Elaine, kiedy Nora usadowiła się w fotelu.

Allison przewróciła swoimi wielkimi brązowymi oczyma.

— Powiedziałam tylko, że jest słodki. Ma na imię Ryan. Ryan Pedi. Nawet jego nazwisko jest słodkie.

— Wygląda mi to na miłość — orzekła Nora, podejmując grę-

— No i mamy dowód potwierdzający! — zawołała Elaine, radca prawny w kancelarii Eggers, Beck & Schmiedel, która należała do najbardziej szacownych w mieście i przede wszystkim specjalizowała się w płatnych godzinach.

O wilku mowa. Młody kelner, wysoki i smagły, pojawił się przy stoliku, żeby zapytać, czy Nora nie ma ochoty się czegoś napić.

— Poproszę wodę — odparła. — Z bąbelkami.

— Nie, dzisiaj się z nami napijesz, Noro. Nie protestuj. Pani zamawia cosmopolitana.

— Już się robi.

Kelner skinął głową i odmaszerował.

— Jest słodki — szepnęła Nora, zasłaniając dłonią usta.

— Mówiłam ci — powiedziała Allison. — Szkoda, że dopiero przekroczył wiek, w którym wolno się napić.

— Chyba raczej wiek, w którym wolno prowadzić samochód. A może to my tak bardzo się starzejemy, że oni wyglądają młodziej? — odparła Elaine i pochyliła głowę. — No i masz, wpadłam w depresję.

— Awaryjna zmiana tematu! — zawołała Nora. — Jaki czarny kolor obowiązuje tej jesieni? — zapytała, zwracając się do Allison.

— Wierzcie lub nie, ale może być rzeczywiście całkiem czarny.

Allison była redaktorką magazynu mody „W”, o którym lubiła mówić, że to jedyne czasopismo, które może człowiekowi złamać palec u nogi, jeśli wypadnie mu z ręki. Zasada, jaka im przyświecała, była prosta: całostronicowe reklamy z ubranymi w superkreacje chudymi modelkami nigdy nie wyjdą z mody.



— Co u ciebie słyhać. Noro? zapytała. — Nigdy nie ma cię w mieście. Pojawiasz się i znikasz jak duch, dziewczyno.

— Wiem, to wariactwo. Wróciłam zaledwie przed kilkoma godzinami. Drugie domy są teraz na topie.

Allison westchnęła.

— Ja mam dość problemów z opłaceniem pierwszego... a propos domu, czy mówiłam wam już o facecie, który wprowadził się na moje piętro?

— O tym rzeźbiarzu, który puszczał dziwaczną muzykę New Age? — zapytała Elaine.

— Nie, nie o nim. Tamten wyprowadził się przed kilkoma miesiącami — odparła Allison, machając lekceważąco ręką. — Ten nowy wykupił właśnie narożny apartament.

— Jak brzmi werdykt? — zapytała Elaine, ani na chwilę nie przestając być prawniczką.

— Samotny, uroczy, onkolog. Przypuszczam, że są w życiu gorsze rzeczy aniżeli poślubienie bogatego doktora — orzekła Allison i natychmiast zakryła rozpaczliwym gestem usta.

Przy stoliku zapadła cisza.

— Dziewczyny, nic się nie stało — powiedziała Nora.

— Tak mi przykro, kochanie — wyszeptała zakłopotana Allison. — W ogóle się nie zastanawiałam.

— Naprawdę, nie musisz przeproszać.

— Awaryjna zmiana tematu! — oświadczyła Elaine.

— Teraz obie głupio się zachowujecie. Słuchajcie, to, że Tom był doktorem, nie oznacza wcale, że nie wolno nam mówić o lekarzach. — Nora położyła dłoń na dłoni Allison. — Opowiedz nam coś więcej o tym swoim onkologu.

Allison nie dała się długo prosić i rozmowa się potoczyła. Przyjaźniły się zbyt długo, by mogła je zbić z pantałyku drobna niezręczność.

Młody kelner wrócił z koktajlem Noty i zaczął zachwalać lokalne specjalności. Trzy przyjaciółki piły, jadły, śmiały się i wymieniały złośliwe plotki. Nora wydawała się zupełnie rozluźniona. Rozbawiona i zrelaksowana. Do tego stopnia, że ani Allison, ani Elaine nie miały pojęcia, że prawie przez cały wieczór myślała o śmierci swojego pierwszego męża, doktora Toma Hollisa.

A właściwie o jego zabójstwie.

## Rozdział 10

Wysoka szklanka wody i tabletkę aspiryny. Powinna ją profilaktycznie zażyć po koktajlach, które wypijała razem z Elaine i Allison. Nora nigdy się nie upijała, nie wyobrażała sobie, by mogła się choć na chwilę przestać kontrolować. Jednak dzięki dobrym humorom i wesołemu towarzystwu Elaine i Allison czuła w głowie przyjemne buzowanie.

Dwie szklanki wody, dwie aspiryny.

Przebrała się w swoją ulubioną bawełnianą piżamę i otworzyła najniższą szufladę wielkiej komody. Pod kilkoma kaszmirowymi swetrami był tam schowany album fotograficzny.

Nora zamknęła szufladę, zgasiła wszystkie światła oprócz lampy na nocnej szafce, usiadła na łóżku i otworzyła pierwszą stronę.

— Tam, gdzie to się wszystko zaczęło — szepnęła do siebie.

Ułożone chronologicznie zdjęcia ilustrowały rozwój znajomości z pierwszą miłością jej życia, mężczyzną, którego nazywała doktorem Tomem. Ich pierwszy wspólny weekend w Berkshires; koncert w Tanglewood; zdjęcia, które zrobili sobie w hotelowym apartamencie w Gables Inn w Lenox.

Na następnej stronie były fotografie z konferencji medycznej, na którą zabrał ją do Phoenix. Zatrzymali się w

Biltmore, jednym z jej ulubionych hoteli, ale tylko pod warunkiem, że zakwaterują ich w głównym budynku.

Następnie kilka zrobionych z ukrycia fotek z wesela, które odbyło się w Conservatory Tent w nowojorskim ogrodzie botanicznym, a także zdjęcia z ich miodowego miesiąca w Nevis. Tych kilku wspaniałych tygodni, niewykluczone, że najpiękniejszych w jej życiu.

Potem były wspomnienia ich wspólnego życia — przyjęcia, kolacje, miny, które robili do aparatu. Nora dotykająca językiem nosa. Tom wywijający górną wargę niczym Elvis. A może to miał być Bill Clinton?

I nagle koniec.

Zamiast zdjęć pojawiły się wycinki z gazet.

Na ostatnich stronach albumu nie było nic poza nimi. Artykuły i nekrologi — pożółkłe od upływu czasu. Nora wszystkie je zachowała.

„CZOŁOWY LEKARZ NA MANHATTANIE UMIERA W WYNIKU MEDYCZNEJ POMYŁKI” — napisał „New York Post”. „DOKTOR OFIARĄ WŁASNEGO LEKU” — ogłosił „Daily News”. „New York Times” oszczędził sobie komentarzy. Zwyczajny nekrolog z konkretną informacją. „DR TOM HOLLIS, CZOŁOWY KARDIOLOG, ZMARŁ W 42. ROKU ŻYCIA”.

Nora zamknęła album i położyła się w łóżku, rozmyślając o Tomie i o tym, co się wydarzyło. To był rzeczywiście początek wszystkiego: wówczas zaczęło się jej życie. Po chwili myśli powędrowały w naturalny sposób ku Connorowi i Jeffreyowi. Zetknęła na lewą dłoń, na której nie było teraz żadnego z ich pierścionków. Wiedziała, że musi podjąć decyzję.

Instynktownie zaczęła sporządzać w myślach listę. Uporządkowaną i zwięzłą. Listę cech, które podobały jej się w jednym i drugim.

W Connorze i w Jeffreyu.

Obaj byli tacy zabawni. Rozśmieszali ją, sprawiali, że czuła się tą jedyną. Nie można było zaprzeczyć: obaj byli wspaniali w łóżku — i w każdym innym miejscu, w którym uprawiali seks. Wysocy, w świetnej formie, przystojni niczym filmowi gwiazdorzy. Właściwie jeszcze przystojniejsi od gwiazdorów, których znała.

Prawda była taka, że Nora w równym stopniu lubiła przebywać z Connorem, jak z Jeffreyem. Co tym bardziej utrudniało podjęcie decyzji.

Którego z nich miała zabić pierwszego?

# Rozdział 11

No dobra, dopiero tutaj zaczynają się schody.

I robi się naprawdę nieprzyjemnie.

Turysta siedział przy narożnym stoliku w Starbucks przy Zachodniej Dwudziestej Trzeciej Ulicy w Chelsea. Prawie wszystkie stoliki obsiedli obibocy i włóczędzy, lecz lokal wydawał się bezpieczny i pewny. Prawdopodobnie dlatego, że było tam tylu obiboków i włóczęgów i za trzy dolary z hakiem powinni, do diabła, dodawać coś do kawy — jakąś premię.

Walizka, którą zasekwestrował przy dworcu Grand Central, stała na podłodze między jego nogami i wiedział już o niej kilka rzeczy.

Po pierwsze — była otwarta, niezamknięta na klucz.

Po drugie — w środku były męskie ubrania, w większości pogniecione, oraz brązowa skórzana kosmetyczka.

Po trzecie — w kosmetyczce był normalny szajs do golenia, ale również coś interesującego: karta pamięci Flash Drive, tak zwany Disk-on-Key. O to chyba chodziło w całej tej awanturze, nieprawdaż? Zakrawało to na ironię, karta pamięci była mniejsza od jego palca.

Ale to małe draństwo mogło zawierać mnóstwo informacji. I na pewno je zawiera.

Turysta wyjął już swojego macintosha. Teraz nadeszła chwila prawdy. Jeśli miał jaja. Które, tak się składało, miał.

Jedziemy!

Podłączył kartę pamięci do laptopa.

Dlaczego jakiś żalony grubas musiał dla niej umrzeć na rogu Czerdziestej Drugiej?

Na ekranie pojawiła się ikonka napędu: E.

Turysta zaczął ściągać pliki zmagazynowane na karcie pamięci. Jedziemy! Jedziemy taram-pam-pam, jedziemy taram-pam-pam.

Kilka minut później mógł obejrzeć pliki.

Ale nie zrobił tego.

Jakaś ładna dziewczyna, ale z zaplecionymi czarnymi i czerwonymi włosami, próbowała zapuścić żurawia ze swojego stolika.

Turysta spojrział w końcu w jej stronę.

— Znasz ten stary dowcip? Mogę ci pokazać, co mam, ale potem będę musiał cię zabić.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— A znasz ten? Ty pokażesz mi, co masz, i ja pokażę ci, co mam?

Turysta roześmiał się.

— Nie masz laptopa.

— Twoja strata — odparła, wzruszając ramionami, po czym wstała od stolika i ruszyła do wyjścia. — Jak na takiego dupka, jesteś całkiem słodki.

— Idź do fryzjera — poradził jej Turysta i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

W końcu spojrział z powrotem na ekran komputera.

Jedziemy!

To, co zobaczył, miało sens. Tak jakby. Jeśli cokolwiek miało sens na tym pokręconym świecie.

Plik zawierał nazwiska, adresy oraz nazwy banków w Szwajcarii i na Kajmanach. Zagraniczne konta.

I ulokowane na nich kwoty.

Turysta pododawał je szybko w pamięci.

Liczba była przybliżona, ale dawała pojęcie o skali przedsięwzięcia.

Jeden przecinek cztery.

Miliarda.



## Rozdział 12

Nowy Jork może i jest miastem, które nigdy nie zasypia, ale o czwartej rano pewne jego rejony zdecydowanie zmrzone są snem. Jednym z nich był słabo oświetlony podziemny garaż w dolnej części East Side. Położony pięć pięter pod poziomem ulicy, pozostawał w kompletnym bezruchu. Betonowy kokon. Jedynym dźwiękiem było odrętwiające bzyczenie zawieszonych pod sufitem jarzeniówek.

A także niecierpliwe bębnienie środkowego palca o kierownicę w niebieskim fordzie mustangu.

Siedzący w aucie Turysta spojrzął na zegarek i potrząsnął głową. Bębnienie palca — środkowego palca — trwało dalej. Łącznik się spóźnił.

Dokładnie rzecz biorąc, o dwa dni.

Nie stawił się na spotkanie.

Czy oznaczało to kłopoty? Bez dwóch zdań.

Dziesięć minut później ścianę prowadzącej na wyższy poziom rampy oświetliły dwa reflektory. Pojawiła się furgonetka marki Chevrolet. Z boku miała wymalowane logo kwiaciarni. „Wiązanki Lucille”.

Och, dajcie spokój, pomyślał Turysta. Furgonetka z kwiaciarni?

Chevrolet podjechał powoli i zatrzymał się sześć metrów od mustanga. Silnik zgasł i z furgonetki wysiadł wysoki, chudy jak szczapa mężczyzna. Miał na sobie popielaty garnitur, białą koszulę i krawat. Ruszył w stronę mustanga. W furgonetce był ktoś jeszcze, ale pozostał w środku.

Turysta wysiadł i spotkał się z Chudzielcem w pół drogi.

— Spóźniłeś się — powiedział.

— A ty masz szczęście, że żyjesz — odparł łącznik.

— Niektórzy uważają, że to kwestia talentu.

— Daję ci pięć punktów za strzał. Powiedziano mi, że w sam środek czoła.

— Cóż, facetowi przeredzały się włosy. To ułatwiało celowanie. Dziewczyna dobrze się czuje?

— Wstrząśnięta, ale nic jej nie będzie. To profesjonalistka. Podobnie jak ty.

Chudzielec sięgnął do kieszeni marynarki. Niedobrze! Wyciągnął stamtąd paczkę papierosów Marlboro i poczęstował Turystę.

— Nie, dziękuję. Rzuciłem przed Wielkim Postem. Jakieś piętnaście postów temu.

Chudzielec zapalił i zgasił zapałkę.

— Co mówi nowojorska policja? — zapytał Turysta.

— Niezbyt wiele. Powiedzmy, że mają sprzeczne zeznania naocznych świadków.

— Kogoś im podestaliście, prawda?

— Dokładnie rzecz biorąc, dwóch naocznych świadków. Obaj twierdzą, że miałeś kozią bródkę i szramę na karku.

Turysta uśmiechnął się i pomasaował wygolony podbródek.

— Znakomicie... A co z tyrającą ciężko na chleb prasą?

— Rzucili się jak hieny. Jeszcze bardziej od tego, kim jesteś, interesuje ich, co było w walizce. A skoro o niej mówimy...

— Jest w bagażniku.

Obaj podeszli do bagażnika mustanga. Turysta podniósł

pokrywę, wyjął walizkę i postawił ją na ziemi. Drugi mężczyzna przyglądał się jej przez chwilę.

— Kusiło cię, żeby ją otworzyć? — zapytał.

— Skąd wiesz, że tego nie zrobiłem?

— Nie zrobiłeś tego.

— Owszem, ale skąd wiesz?

Chudzielec wypuścił kółko dy-  
mu.

— Ponieważ odbylibyśmy wtedy zupełnie inną rozmowę.

— Czy powinienem rozumieć, co to znaczy?

— Oczywiście, że nie. Nie jesteś wtajemniczony.

Turysta puścił to mimo uszu.

— Co teraz?

— Teraz spadaj. Czeka cię kolejny występ, prawda?

— Występ? Owszem, mam na oku coś interesującego.

Kto siedzi w samochodzie?

— Dobrze się spisałeś. Kazał ci to powtórzyć. Zakończmy na tym sprawę.

— Jestem dobry. Dlatego powierzyli mi to zadanie. Uścisnęli sobie dłonie i Turysta patrzył, jak Chudzielec odnosi walizkę do furgonetki i odjeżdża. Zastanawiał się, czy zdołają odkryć, że zapoznał się z zawartością karty pamięci. Z którejkolwiek strony by na to spojrzeć, był teraz zdecydowanie wtajemniczony. Nawet jeśli cholernie żałował, że tak się stało.

## Rozdział 13

Dla Nory był to pracowity ranek. Najpierw spędziła bardzo miłą godzinę, robiąc zakupy w Sentiments przy Wschodniej Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Teraz musiała kupić dla klientki parę mebli w ABC Carpet and Home niedaleko Union Square. Później zamierzała obejrzeć wystawę D&D Building i na koniec odwiedzić angielski sklep ogrodniczy, Devonshire.

Robiła zakupy dla Constance McGrath, jednej z jej pierwszych klientek. Constance, której imienia z całą pewnością nie należało skracać do „Connie”, przeniosła się właśnie ze swojego wykwintnego apartamentu z dwiema sypialniami na East Endzie do jeszcze bardziej wykwintnego apartamentu z dwiema sypialniami w Central Park West. Dokładnie mówiąc, do budynku Dakota, gdzie kręcono zdjęcia do „Dziecka Rosemary” i gdzie zamordowany został John Lennon. Była aktorka sceniczna, Constance, nadal miała dramatyczne zacięcie. Oto, jak wytłumaczyła Norze swoją przeprowadzkę na drugą stronę Central Parku. „Słońce zachodzi na zachodzie i podobnie uczynię ja, w moim ostatnim apartamencie”.

Nora lubiła Constance. Starsza pani była zadziorna, bezpośrednia i z upodobaniem powtarzała ulubione zaklęcie dekoratorów wnętrz. „Pieniądze nie grają roli”.

Przeżyła swoich dwóch małżonków.

— Niech mnie kule biją — rozległ się nagle męski głos. Nora odwróciła się i zobaczyła wyciągającego do niej ręce

Evana Frazera. Evan reprezentował firmę Ballister Grove Antiques, która zajmowała dużą część piątego piętra.

— Evan! Miło cię widzieć — powiedziała.

— Jeszcze milej jest widzieć ciebie — odparł i ucałował ją w oba policzki. — Dla jakiego bajecznie bogatego klienta robisz dzisiaj zakupy?

Nora widziała niemal tańczące w jego oczach symbole dolara.

— Nie będziemy oczywiście wymieniać nazwiska tej pani, ale na szczęście dla ciebie pozbywa się dużej części rozbuchanej francuszczyzny na rzecz bardziej tradycyjnego angielskiego umeblowania.

— A zatem jesteś we właściwym miejscu — stwierdził, uśmiechając się szeroko. — Ale czyż nie jest tak zawsze?

Przez następną godzinę Evan oprowadzał Norę po meblowym królestwie. Znał swoje miejsce, wiedział, co mówić i czego nie mówić. Zwłaszcza czego nie mówić Norze Sinclair.

Nora nie znosiła, kiedy sprzedawca oznajmiał, że coś jest piękne, jakby chciał w ten sposób wpłynąć na jej opinię. Miała własną estetykę. Swój gust. Po części wrodzony, po części rozwinięty i wyostrzony przez lata praktyki. Ufała mu bez zastrzeżeń.

— Czy ten stół ma jeden czy dwa wysuwane blaty? — zapytała Evana, pochylając się nad bukowym stołem jadalnianym z paskiem z żółtodrzewu.

— Jeden — odparł — ale jest dostosowany do dwóch i możemy kazać dorobić drugi.

— Jeden wystarczy — powiedziała i zerknęła na cenę. Kiedy kupowało się dla Constance McGrath, ta kwestia była zawsze drugorzędna. Nora cofnęła się o krok, po raz ostatni obejrzała stół i wygłosiła własną wersję oświadczenia „Kupuję ten mebel”. Po co używać trzech słów, skoro można to

o wiele dobitniej wyrazić jednym?

— Załatwione! — oznajmiła.

Evan natychmiast wyczarował nalepkę z napisem SPRZEDANE i przykleił ją do stołu. Była to jego czwarta i ostatnia nalepka tego ranka. Po uprzednim „załatwieniu” serwantki, komody i kanapy Nora wydawała się usatysfakcjonowana.

Usiedli na wielkiej sofie i Evan wypisał fakturę. Nie wspomniał ani słowem o dziesięciu procentach dla Nory jako dekoratorki. To było oczywiste.

Pożegnawszy się z Evanem, Nora przegryzła szybkie co nieco w jednej z mieszczących się w domu towarowym restauracji, La Mercado. Uświadomiła sobie, że nie musi już odwiedzać D&D ani Devonshire. W Sentiments i Ballister Grove kupiła wszystko, czego potrzebowała. Skubiąc sałatkę cobb, a potem naleśnika dulce de leche, który zamówiła na deser, odbyła kilka rozmów przez komórkę.

Najpierw zadzwoniła do Constance, żeby pochwalić się porannymi zakupami. Następnie, w ramach swojej codziennej Obsługi Mężczyzny odpowiedziała na telefony Jeffreya i Connora.

## Rozdział 14

Po lunchu miała do załatwienia ważną sprawę w kancelarii adwokackiej przy Wschodniej Czterdziestej Dziewiątej Ulicy, nieopodal East River.

— W czym mogą pani pomóc, pani Sinclair? — zapytał mecenas Steven Keppler.

Nora ciepło się do niego uśmiechnęła.

— Proszę mi mówić Olivia.

— A zatem w czym mogę ci pomóc, Olivio? — Siedzący za wielkim biurkiem Keppler trochę zbyt skwapliwie odwzajemnił uśmiech Nory. — Miałem kiedyś łódź o nazwie „Olivia”, wiesz? — oznajmił.

— Żartujesz! — odparła Nora, udając zdumienie. — Przyjmuję to za dobry znak.

Za jeszcze lepszy znak przyjęła to, że Steven Keppler — urzędujący w śródmieściu, fatalnie uczesany adwokat podatkowy w średnim wieku — gapił się na jej biust i nogi.

Wszystko to zapowiadało pomyślną żeglugę.

Inni adwokaci, których sobie spisała, mogli się z nią spotkać dopiero za dwa, trzy tygodnie. Steven Keppler był również bardzo zajęty, lecz dzięki nagłej chorobie klienta w jego terminarzu powstało okienko. Uznała to za prawdziwy uśmiech losu. Mogła umówić się z adwokatem w ciągu

dwudziestu czterech godzin. A raczej mogła to zrobić „Olivia”. Nora wołała posłużyć się imieniem matki, żeby ułatwić to, co planowała.

— Możesz mi pomóc, Steven, zakładając dla mnie firmę — odparła.

— Tak się składa, że się w tym specjalizuję — poinformował ją adwokat.

Nora powściągnęła grymas odrazy, gdy kończąc zdanie, jednocześnie puścił do niej perskie oko i dwa razy głośno mlasnął językiem.

— Gdzie będzie się mieścić ta firma? — zapytał.

— Na Kajmanach.

— Aha... — mruknął Steven Keppler i na jego obliczu odmalowała się troska. Jego bardzo atrakcyjna nowa klientka w jedwabnej bluzce i krótkiej spódniczce chciała najwyraźniej obejść prawo i nie płacić podatków.

— Mam nadzieję, że to żaden problem — powiedziała Nora.

Pożądlive spojrzenia adwokata stawały się coraz bardziej nachalne.

— Nie, nie. Nie sądzę, żeby... żebyśmy mieli z tym jakiś problem — wyjąkał. — Chodzi tylko o to, że założenie firmy na Kajmanach wymaga współpracy kogoś, kogo nazywamy zarejestrowanym agentem. Mówiąc po prostu, mieszkańca Kajmanów, który wyłącznie nominalnie działałby jako przedstawiciel twojej firmy. Czy wyrażam się jasno?

Nora wszystko to świetnie wiedziała, ale nie dała po sobie nic poznać. Pokiwała głową niczym pilna uczennica.

— Tak się szczęśliwie składa — dodał Keppler — że na mojej liście płac jest właśnie ktoś taki.

— To wspaniale — ucieszyła się Nora.

— Przypuszczam, że będziesz również chciała założyć tam konto w banku?

Bingo!



— Tak, wydaje mi się, że to dobry pomysł. Możesz to dla mnie zrobić?

— Właściwie powinno się to zrobić osobiście.

Nora zaczęła się wiercić w fotelu.

— Och, to bardzo kłopotliwe.

— Zdaję sobie z tego sprawę. — Keppler pochylił się nad biurkiem. — Może uda mi się pociągnąć za kilka sznurków i zaoszczędzę ci tej podróży. — Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej kilka formularzy. — Potrzebuję tylko od ciebie kilku informacji, Olivio.

## Rozdział 15

Zapadał piątkowy zmierzch. Lincoln town car zjechał z zatłoczonej drogi numer 9, popędził malowniczą Scarborough Road do równie pięknej Central Avenue i skręcił w podjazd prowadzący do rezydencji Connora. Szofer wysiadł, żeby otworzyć drzwi Norze, lecz wyprzedził go gospodarz, który najwyraźniej nie mógł się jej doczekać.

— Chodź! — zawołał, machając ręką. — O mało nie zwariowałem, myśląc o tobie.

Nora wysunęła nogi z samochodu i natychmiast wpadła w jego objęcia. Kiedy się całowali, szofer — czerstwy Włoch w podeszłym wieku — otworzył bagażnik i wyjął z niego walizkę Nory. Usiłował się na nich nie gapić, lecz trudno było się powstrzymać. Zachodzące po pięknym dniu słońce i stojąca przed najwspanialszym z domów, jaki widział, uroczą parą, która najwyraźniej nie widziała świata poza sobą. Jeśli to nie jest szczyt szczęścia, to nie wiem, co mogłoby nim być, pomyślał.

— Proszę — powiedział Connor, po czym sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął z niej zwitek banknotów i wręczył mu dwudziestodolarowy napiwek.

— Dziękuję panu — odparł Włoch z wyraźnie obcym akcentem. — Bardzo pan miły.

— I bardzo słodki! — zaszczębiotała Nora, obejmując mocno Connora.

Naprawdę słodki z niego chłopak, pomyślała.

Trzęsąc się ze śmiechu, kierowca wrócił do limuzyny.

— Życzę upojnej nocy, kochani! — zawołał przez ramię. Nora i Connor roześmiali się i przez chwilę patrzyli, jak town car wykręca na podjeździe i znikną. Nora odkleiła się od Connora.

— Co słyhać w pracy? — zapytała. — Chociaż po zastanowieniu nie mam ochoty rozmawiać o pracy.

— Ja też — stwierdził. — Poza tym sama praca, bez odrobiny przyjemności...

— ...sprawia, że robimy się kurewsko nudni!

To była jedna z pierwszych mantr, które wymyślili... i nadal należała do ich ulubionych.

— Powinniśmy to zrobić tu i teraz — powiedziała, mrużąc oko. — Na trawniku przed domem. Do diabła z sąsiadami! Niech patrzą, jeśli mają ochotę. Może to ich zainspiruje.

Connor wziął ją za rękę.

— Właściwie mam lepszy pomysł.

— Tak? Lepszy od seksu ze mną? Co to może być?

— Niespodzianka — odparł. — Chodź ze mną.

## Rozdział 16

—Chcesz to zrobić w garażu? — zapytała Nora, chichocząc.

Connor z trudem opanował śmiech.

—Nie — odparł. — Nie na tym polega moja niespodzianka. Choć to całkiem niezły pomysł.

Okrzyżył wraz z Norą dom i zatrzymał się trzy metry przed garażem, w którym mieściło się pięć samochodów. Nora stanęła przy nim, nie bardzo wiedząc, czego oczekiwać.

—Gotowa? — zapytał.

Sięgnął do kieszeni spodni — tej samej, w której trzymał zwitek banknotów — i wyciągnął pilota otwierającego garaż. Było na nim pięć przycisków. Nacisnął środkowy.

Drzwi zaczęły się powoli podnosić.

—O mój Boże! — pisnęła Nora.

W garażu, przodem do bramy, stał fabrycznie nowy, jaskrawoczerwony kabriolet mercedes SL 500 z wielką białą wstążką przypiętą do maski.

—I co ty na to? — zapytał Connor.  
Nora zaniemówiła.

—Rzecz w tym, że jeśli masz być moją żoną, potrzebujesz chyba własnych czterech kółek, nie sądzisz?

Nora nadal milczała.

Sprawiło mu to najwyraźniej wielką frajdę.

— Rozumiem, że cię zaskoczyłem?

Nora rzuciła mu się w ramiona i w końcu się odezwała. Bardzo głośno.

— Jesteś absolutnie cudowny! Dziękuję, dziękuję, dziękuję. — Wyciągnęła ku niemu lewą dłoń. — Najpierw ten przepiękny pierścionek, a teraz...

— ...kluczyk — dodał Connor, jakby to była ich kolejna mantra — który, tak się składa, czeka na ciebie w stacyjce.

Wniósł ją do garażu i posadził delikatnie w fotelu kierowcy. A potem obiegnął mercedesa, zdejmując po drodze przypiętą do maski wstążkę.

— Na koń! — wrzasnął niczym chłopak, przesadzając drzwi i wskakując na miejsce pasażera.

Nora podziwiała w tym czasie wewnątrz kabrioletu, wodząc palcami po obitej skórą kierownicy.

— Jak myślisz? Czy nie powinniśmy się nim przejechać? — zapytała.

— Jak najbardziej. Po to jest.

Spojrzała na niego i zadrżały jej figlarnie kąciki ust. Dłonie odsunęły się nagle od stacyjki i znalazły między nogami Connora.

— Och... — westchnął załamującym się ze szczęścia głosem.

Nora uniosła się zwinnie z fotela i pochyliła nad Connorem. Kucając nad nim, przeczesała palcami jego gęste czarne włosy i zaczęła delikatnie całować czoło, policzki i usta. Rozpięła mu sportową koszulę.

— Jak myślisz, jak daleko można odsunąć te fotele? — zapytała.

— Trzeba to sprawdzić.

Connor sięgnął ręką z boku i fotel zaczął się z niskim pomrukiem rozkładać. Rozbierali się w takim pośpiechu, jakby płonęło na nich ubranie. Koszula Connora, bluzka i biustonosz Nory. Spodnie, spódniczka, kalesonki i figi.

— Kocham cię — powiedział, zaglądając jej w oczy. Nie sposób było mu nie wierzyć, nie sposób coś do niego poczuć.

— Ja też cię kocham — odparła.

W garażu Nora odbyła pierwszą przejażdżkę swoim nowym samochodem.

# Rozdział 17

—Wiesz, że w całym domu zostało tylko jedno pomieszczenie, w którym się jeszcze nie kochaliśmy?—powiedział Connor.

Miał taką minę, jakby rachował w myślach.

—Cóż, noc jest jeszcze młoda — odparła.

Przytulił ją do siebie mocniej.

—Jesteś nienasycona.

—A ty możesz się chyba uważać za szczęściarza.

Zdążyli już wyjść z garażu i stali w kuchni, trzymając w rękach ubranie i dotykając się wzajemnie.

—Skoro mowa o nienasyceciu... — bąknął.

Nora parsknęła śmiechem.

—Skąd ja o tym wiedziałam? No dobrze, golasie. Co powiesz na omlet?

—Fantastyczna propozycja. Wyjdziemy na miasto? Mógłbym zadzwonić do Inn w Pound Ridge. A może do Iron Horse?

Nora potrząsnęła głową.

—Z czym ma być ten omlet? Chcę ci go zrobić.

—Niech to będzie niespodzianka. Prawdę mówiąc, niespodzianka to motyw przewodni dzisiejszego wieczoru—stwierdził.

W tym momencie Nora poczuła ukłucie w brzuchu. Nadeszła pora.

Connor poszedł wziąć prysznic, najpierw jednak przyniósł jej walizkę, która stała na podjeździe. Otworzyła ją w kuchni i wyjęła złożone elegancko džinsy i biały podkoszulek.

I wtedy, niczym stary przyjaciel, odezwał się jej wewnętrzny głos.

Śmiało, Noro, załatw to teraz.

Ubrała się i zaczęła przyrządzać omlet. W lodówce znalazła cebulę vidalia, zieloną paprykę oraz gruby na centymetr plaster szynki z Wirginii. To przesądziło sprawę. Zrobi mu omlet z szynką.

Podjęłaś już przecież decyzję. To tylko nerwy, nic więcej. Wiesz, że dasz sobie z tym radę — zrobiłaś to już wcześniej.

Na wyłożonej płytkami ścianie kuchni przymocowany był magnetyczny pas do dużych noży. Nora utkwiła w nich wzrok. Wisiały w idealnym rzędku, każdy ostry jak brzytwa. Sięgnęła po największy i zacisnęła palce na lekko wygiętym trzonku.

Zapomnij o samochodzie. I o pierścionku. Zwłaszcza o pierścionku.

Jajka były ubite, zielona papryka pokrojona. Odwrócona plecami do wejścia Nora kroić szynkę w drobną kostkę. Stojąc przy desce obok zlewu, słyszała za sobą Connora.

— Jestem taki głodny, że mógłbym zjeść całą restaurację — dobiegł ją jego głos, z każdym słowem bardziej donośny.

Zrób to, Noro!

Connor szedł w jej stronę.

Zrób to, teraz!

Odkroiła kolejny kawałek szynki i wbiła wzrok w nóż. Zacisnęła palce na trzonku tak mocno, aż pobiełały jej kłykcie. Padające z góry światło zatańczyło na ostrzu.

Mogła jeszcze zmienić zdanie.

Kroki Connora rozbrzmiewały coraz wyraźniej, były coraz bliższe i bliższe. Poczowała na karku jego ciepły oddech. Był tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Szybko odwróciła się na pięcie i podniosła dłoń.



## Rozdział 18

— Może być? — zapytała.

Connor otworzył usta, złapał zębami kawałek szynki, który trzymała w palcach, i przez kilka sekund go przeżuwał.

— Pycha — oznajmił.

— To dobrze, bo nie wiem, jak długo ta szynka leżała w lodówce — odparła. — Pysznic był przyjemny?

— Owszem. Ale nie tak przyjemny jak ty.

Nora skończyła kroić szynkę i zabrała się za cebulę. Nadal mogła jeszcze zmienić zdanie.

Connor, ubrany tylko w spodnie od dresu, z zaczesanymi do tyłu mokrymi włosami, podszedł do lodówki i wziął sobie amstela.

— Masz ochotę na piwo? — zapytał.

— Nie, dziękuję. Mam moją wodę — odparła, podnosząc butelkę. — Dbam o linię... dla ciebie.

Connor otworzył piwo, pociągnął łyk i przyjrzał się z боку Norze.

— Wszystko w porządku, kochanie?

Kiedy się do niego odwróciła, po policzku spłynęła jej pojedyncza łza.

— Och... — mruknęła, zdając sobie z tego sprawę. Otarła ją i z trudem się uśmiechnęła, a potem odwróciła wzrok. —

Cebula przyprawia mnie jednak o łzy.

Usmażyła omlet na miękko, nie przyrumieniając go od spodu — dokładnie tak jak lubił — i postawiła na kuchennym stole. Connor doprawił go solą i pieprzem i wbił widelec w żółtą masę.

— Fenomenalny — oświadczył. — Chyba najlepszy, jaki kiedykolwiek zrobiłaś.

— Cieszę się, że ci smakuje.

Nora usiadła obok i patrzyła, jak połyka kilka kolejnych kęsów.

— Co chcesz zrobić jutro? — zapytał.

— Nie wiem. Może wybierzemy się na przejażdżkę moim nowym autem?

— Naprawdę chcesz wyjechać nim z garażu?

Connor roześmiał się i wziął kolejny kawałek omletu. Kiedy widelec znalazł się w połowie drogi do ust, Connor zastygł w bezruchu...

W ułamku sekundy krew odpłynęła mu z twarzy. Zrobił się biały jak prześcieradło i zaczął kręcić głową. Widelec upadł z głośnym brzękiem na talerz.

— Co się dzieje?

— Nie... — Prawie nie mógł mówić. — Nie wiem — wykrztusił napiętym głosem. — Ni z tego, ni z owego poczułem się naprawdę...

Nagle złapał się za brzuch, jakby ktoś zadał mu silny cios albo dźgnął nożem. Oczy stanęły mu w ślup. A potem przechylił się na bok i z głuchym łoskotem runął na podłogę.

— Connor! — Nora zerwała się z krzesła i usiłowała go podnieść. — No, dalej! — powiedziała. — Spróbuj wstać.

Podniósł się z wysiłkiem, lecz nogi miał jak z waty. Nora zaprowadziła go do łazienki w holu. Connor znów zwałił się tam na podłogę i o mało nie zemdlał. Nora podniosła deskę klozetową, a on starał się do niej doczołgać.

— Zaraz... zaraz się porzygam — wymamrotał, z trudem łapiąc powietrze. Zaczynał się hiperwentylować.

— Dam ci jakieś lekarstwo. Zaraz wracam — powiedziała.

W jej głosie słyhać było panikę. Pobiegła do kuchni, a Connor dźwignął głowę nad krawędź sedesu. W jego wnętrzu szalało inferno i nie chodziło już tylko o żołądek. Pot lał się z niego wszystkimi porami.

Nora wróciła ze szklanką w ręku. W środku był przezroczysty musujący płyn. Wyglądał jak alka-seltzer.

— Masz, wypij to — powiedziała.

Connor wziął od niej szklankę. Trzęsły mu się dłonie i miał trudności z podniesieniem jej do ust. Nora pomogła mu. Pociągnął jeden łyk, potem kolejny.

— Wypij więcej. Do końca.

Connor wypił jeszcze trochę, po czym złapał się za brzuch, zamknął oczy i zacisnął zęby. Miał tak mocno napięte mięśnie szczęki, że wydawało się, iż zaraz pęknie mu skóra.

— Pomóż mi — błagał — Noro!

Po kilku sekundach jego modlitwy zostały chyba wysłuchane. Straszliwe dreszcze zaczęły mijać. Choroba ustępowała tak samo szybko, jak się zaczęła.

— Chyba lekarstwo zaczyna działać, skarbie — powiedziała Nora.

Connor znowu normalnie oddychał. Na twarz wróciły mu kolory. Otworzył oczy, najpierw powoli, potem szerzej i wydał z siebie długie westchnienie ulgi.

— Co to było? — zapytał.

Właśnie wtedy wszystko zaczęło się od nowa.

Tyle że było dziesięć razy gorsze. Dreszcze przeszły w potężne konwulsje, które wstrząsały całym jego ciałem. Zaczął się dusić, nie mogąc złapać powietrza. Zsiniła mu twarz, a oczy nabiegły krwią.

Szklanka wypadła mu z ręki i rozbiła się o podłogę. Ciałem gwałtownie dygotało i wiło się z bólu. Connor sięgnął rękoma do szyi, chcąc zaczerpnąć powietrza.

Próbował krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust.

Próbował wyciągnąć ręce do Nory. Cofnęła się o krok.

Nie chciała tego oglądać, lecz mimo to nie mogła się odwrócić. Nie pozostało jej nic innego jak czekać, aż dreszcze i konwulsje ponownie ustąpią, co się w końcu stało.

Kiedy skończyły się raz na zawsze.

A martwy Connor znieruchomiał na podłodze łazienki w swojej liczącej tysiąc metrów rezydencji.

## Rozdział 19

W pierwszej kolejności Nora sprzątnęła okruchy szkła z łazienki.

Następnie wyrzuciła resztki omletu do zlewu, włączyła młynek do mielenia odpadków i starannie umyła talerz i widelec.

Wreszcie zrobiła sobie porządnego drinka.

Pół szklanki czystego johnny walkera z niebieską nalepką zniknęło w ciągu pół sekundy w jej gardle. Nalała sobie jeszcze trochę i usiadła przy kuchennym stole. Zebrała myśli. Powtórzyła w duchu przygotowane wcześniej kwestie. Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła z płuc powietrze.

Zaczynało się przedstawienie.

Podeszła spokojnie do telefonu i wybrała numer. Musiała pamiętać, że najsprytniejsi kłamcy nie podają wielu szczegółów.

— Tu numer alarmowy dziewięćset jednaście — odezwała się po dwóch dzwonekach telefonistka.

— O Boże! — krzyknęła Nora do słuchawki. — Proszę, pomóżcie mi, on nie oddycha!

— Kto nie oddycha, proszę pani?

— Nie wiem, co się stało... jadł, kiedy nagle...

— Kto nie oddycha, proszę pani? — przerwała jej telefonistka.

Nora pociągnęła nosem i zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

— Mój narzeczony! — załkała.

— Czy się krztusi?

— Nie. Po prostu zrobiło mu się niedobrze... i... i... potem... — Nora umilkła. Niedokończone zdania mogły, jej zdaniem, wydać się bardziej przekonujące na taśmie.

— Gdzie pani jest? Jaki jest pani adres? — zapytała telefonistka.

Nora popłakała jeszcze trochę, wydała kilka nieartykułowanych okrzyków i w końcu podała adres Connora w Briarcliff Manor.

— Dobrze, proszę pani, proszę się stamtąd nie ruszać i zachować spokój. Karetka jest już w drodze.

— Och, proszę, pośpieszcie się!

Nora odłożyła słuchawkę. Miała jeszcze sześć albo siedem minut dla siebie. Mnóstwo czasu na to, żeby zapiąć wszystko na ostatni guzik.

Uznała, że butelka johnny walkera może zostać na stole razem ze szklanką, do której nalała whisky. Któż mógł ją za to winić, że zrobiła sobie w takiej chwili drinka? Natomiast z całą pewnością nie mogła zostawić na widoku słoiczka z tabletkami. Włożyła go głęboko do apteczki, którą wsadziła z kolei głęboko pod ubrania w walizce. Gdyby ktoś go znalazł i przeczytał etykietę, dowiedziałby się, że zawiera dziesięciomiligramowe tabletki zyrtecu, leku, który pomagał jej na dokuczającą latem alergię. Ich zażycie byłoby jednak zdecydowanie niewskazane.

Nora zamknęła walizkę, odniosła ją do głównej sypialni i stanawszy przed dużym, sięgającym podłogi lustrem, zajęła się swoim wyglądem. Wyciągnęła podkoszulek z dżinsów i szarpnęła kilka razy za kołnierzyk. Następnie potarła energicznie oczy, żeby się zaczerwieniły, i mrugając raz po raz, wycisnęła z siebie kilka łez, które rozmazały makijaż.

No, to powinno wystarczyć.

Była gotowa do następnego aktu przedstawienia.

## Rozdział 20

Właściwie to było nawet ekscytujące. Cały ten zamęt. Arcyważny trzeci akt dramatu.

Na podjeździe pojawiły się migające światła i zawyła syrena. Nora wybiegła rozhisteryzowana na ganek.

— Pośpieszcie się! — krzyczała. — Proszę, pośpieszcie się. Och, proszę!

Sanitariusze, dwaj młodzi ludzie o krótko przystrzyżonych włosach, złapali szybko torby i wbiegli do domu.

Nora wskazała im przylegającą do holu łazienkę, w której leżały wielkie zwłoki Connora.

Nagle zanosła się nieopanowanym szlochem, padła na kolana i przytuliła twarz do jego piersi. Jeden z sanitariuszy, ten niższy, musiał ją wyciągnąć na korytarz, żeby zrobić miejsce dla siebie i swojego partnera.

— Bardzo proszę. Niech nam pani pozwoli pracować. Może jeszcze żyje.

W ciągu następnych pięciu minut dołożono wszelkich starań, aby przywrócić Connora Browna do życia, i wszystkie próby zakończyły się niepowodzeniem. Dwaj sanitariusze wymienili w końcu porozumiewawcze spojrzenia, uznając w milczeniu, że już nic się nie da zrobić.

Starszy z nich zerknął przez ramię na Norę, która, najwyraźniej zszokowana, stała w progu. Jego twarz mówiła wszystko,

niepotrzebne były słowa, lecz mimo to wykrztusił zbędne „Przykro mi”. Nora zareagowała tak, jak należało, wylewając kolejne łzy.

— Nie! — krzyknęła. — Nie, nie, nie! Och, Connor, Connor!

Kilka minut później przybyła miejscowa policja. Nora wiedziała, że pojawili się w ramach rutynowej procedury. Stwierdzenie zgonu, spowodowało, że otrzymali wezwanie. Zabrzmiała syrena i na podjeździe pojawiły się kolejne migające światła.

Nieopodal zebrało się kilku sąsiadów, żeby się pogapić. Zaledwie przed godziną Nora i Connor żartowali, że będą uprawiać na ich oczach seks.

Policjant, który z nią rozmawiał, nazywał się Nate Pingry. Był starszy od swojego partnera, małymównego funkcjonariusza Joego Barreiry, i bardziej od niego doświadczony. Powód ich przyjazdu był prosty: musieli sporządzić raport na temat okoliczności, które doprowadziły do śmierci Connora Browna. Innymi słowy czekała ich papierkowa robota.

— Wiem, jakie to dla pani musi być trudne, pani Brown, dlatego postaramy się jak najszybciej załatwić całą sprawę — powiedział Pingry.

Nora ukryła twarz w dłoniach, siedząc na otomanie, do której podprowadzili ją sanitariusze. Podniosła głowę i spojrzała na Pingry'ego i Barreira.

— Nie byliśmy małżeństwem — powiedziała, tłumiąc szloch. Zorientowała się, że obaj policjanci patrzą na jej lewą dłoń i pierścionek z czterokaratowym brylantem, który dostała od Connora. — Dopiero się... — urwała i znowu schowała twarz w dłonie — ...dopiero się zaręczyliśmy.

Oficer Pingry stapał po kruchym lodzie. Nie znosił tej części swojej pracy, lecz wiedział, że trzeba ją wykonać. Spośród wszystkich cech, jakich wymagała, najważniejsza była cierpliwość.

Nora opowiedziała powoli Pingry'emu i jego partnerowi,



co się stało: o swoim przyjeździe o zmierzchu, o omlecie, który zrobiła Connorowi, o tym, jak stwierdził, że jest mu niedobrze. Opisała, jak pomogła mu dojść do łazienki i jak okropnie cierpiał.

Mówiąc, zaciniała się i kilka razy korygowała relację. Zdarzały się jednak i dłuższe chwile, gdy jej opowieść była bardzo klarowna. Wyczytała już wcześniej w podręcznikach psychologii kryminalnej, że dla „ogarniętych rozpaczą” ludzi charakterystyczna jest huśtawka stanów emocjonalnych oraz zachwianie zdolności poznawczych.

Przyznała się nawet policjantom, że ona i Connor odbyli wcześniej stosunek. W gruncie rzeczy pamiętała, żeby o tym wspomnieć. Okręgowy anatomopatolog miał sporządzić raport dopiero nazajutrz, ale ona już teraz wiedziała, co wykaże sekcja zwłok. Connor zmarł na atak serca.

Mogło to być wynikiem stosunku, chociaż Connor miał dopiero czterdzieści lat. Taka będzie jedna z teorii. Kolejne domniemanie, że zgon nastąpił w wyniku stresu spowodowanego pracą. Być może w jego rodzinie zdarzały się już ataki serca. Najważniejsze, żeby nikt nie wiedział niczego na pewno.

Dokładnie tak, jak chciała.

Funkcjonariusz Pingry zadał jej ostatnie pytanie i odczytał sporządzone przez siebie notatki. Zawarł w nich wszystko, co opowiedziała mu Nora, i co powinien wiedzieć. Z wyjątkiem oczywiście tak nieistotnych szczegółów jak to, że to ona otruła Connora, a następnie patrzyła, jak kona na podłodze łazienki.

— Mamy już chyba wszystko, czego potrzebujemy, pani Sinclair — oświadczył Pingry. — Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chcielibyśmy po raz ostatni rozejrzeć się po domu.

— Oczywiście — odparła cicho. — Róbcie wszystko, co jest konieczne.

Dwaj policjanci odeszli korytarzem, a Nora pozostała na otomanie, którą nabyła za przeszło siedem tysięcy dolarów

w New Canaan Antiques. Po chwili wstała. Pingry i jego partner mogli wydawać się mili i okazywać jej autentyczne współczucie, lecz nie nadszedł jeszcze moment prawdy.

Co naprawdę myśleli?

Stąpając bezszelestnie, podążała za przechodzącymi z pokoju do pokoju policjantami. Dość blisko, żeby usłyszeć, co mówią, i dość daleko, żeby jej nie zauważyli.

Na korytarzu pierwszego piętra usłyszała to, co chciała usłyszeć. Dwaj policjanci przystanęli w pokoju mediów Connora, żeby wymienić kilka uwag. Nora miała okazję poznać pierwsze recenzje swojego występu.

— Cholera, popatrz na ten cały sprzęt — powiedział Pingry. — Sam telewizor jest wart więcej niż moja pensja.

— Dziewczynie przeszła koło nosa prawdziwa fortuna — zauważył jego partner Barreiro.

— Żebyś wiedział, Joe. To się nazywa parszywe szczęście.

— Nie musisz mi mówić. Mało brakowało, a złapałaby Pana Boga za nogi. A teraz wszystko wzięło w łeb.

Nora zawróciła i cichutko zeszła po schodach. Miała nabiegłe krwią oczy i wyglądała, jakby przepuścili ją przez wyżymaczkę, jednak w głębi duszy czuła olbrzymią ulgę. Brawo, Noro! Jesteś świetna.

Policja niczego nie podejrzewała.

Udało jej się popełnić przestępstwo doskonałe.

Ponownie.

# Rozdział 21

Procesja wchodzących i wychodzących z domu zasepio-nych ludzi, kakofonia dźwięków i całe związane ze zgonem zamieszanie trwały prawie dwie godziny. Norę przez cały czas bawiła paradoksalność całej sytuacji: dom ożywia się najbardziej, gdy ktoś w nim nagle umrze.

Krzątanina dobiegła wreszcie końca. Sanitariusze, policjanci, karawaniarze — wszyscy się wynieśli. Nora została sama.

Nadeszła pora, żeby załatwić interesy. To było coś, co powinno zainteresować policję, gdyby tylko się o tym dowiedziała.

Gabinet Connora znajdował się w drugim końcu domu, praktycznie w oddzielnym skrzydle. Zgodnie ze wskazówkami, które jej dał, kiedy się poznali, Nora urządziła go w stylu męskiego klubu: wypchane skórzane sofy, półki z wiśniowego drewna, oleje przedstawiające tak uwielbiane przez wszystkich chłopców sceny myśliwskie. W jednym z rogów stała kompletna średniowieczna zbroja. W innym gabloty z kolekcją zabytkowych tabakierek. Jednym słowem sterta przepłaconego chłamu; sama wiedziała o tym najlepiej.

Po urządzeniu gabinetu pozwoliła sobie nawet na żart. „W tym pokoju jest tyle testosteronu, że nie trzeba w nim nawet kopcić cygara” — orzekła.

Teraz jednak, jak na ironię, była tu sama. I trochę brakowało jej Connora.

Usiadła w fotelu Gainsborough za jego biurkiem i włączyła komputer. Podłączony był jednocześnie do trzech monitorów, co pozwalało śledzić różne rynki finansowe. Zestaw wyglądał, jakby można było z jego pomocą przeprowadzić atak raketowy. Albo co najmniej posadzić na lotnisku kilka jumbo jetów.

Pierwszym kodem, który wstukała Nora, było należące do Connora hasło dostępu do Internetu. Następnie kod jego VPN, czyli wirtualnej sieci prywatnej, szyfrowanej w 128-bitowym systemie. Mówiąc językiem zrozumiałym dla laika, było to najbezpieczniejsze połączenie między dwoma punktami w cyberprzestrzeni.

Punktem pierwszym był komputer Connora.

Punktem drugim International Bank of Zurich.

Odkrycie kodu VPN zajęło Norze cztery miesiące. Kiedy już się stało, uświadomiła sobie, że powinno jej zająć cztery minuty. Ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że Connor umieści go po prostu w swoim palm pilocie. Pod literą „K”, jak „konta bankowe”.

Oczywiście nie był aż tak nieostrożny, by zapisać, jaki kod pasuje do określonego konta. Nora potrzebowała kilku nocnych sesji, w trakcie których ustaliła to metodą prób i błędów. W tym czasie Connor spał.

Jak na skomplikowaną procedurę dostępu do konta i związane z jego posiadaniem przywileje, strona transakcyjna International Bank of Zurich była wyjątkowo prosta i niewyszukana. Żadnego wymyślnego literactwa ani rozbrzmiewającej w tle kojącej muzyki Honeggera.

Zaledwie trzy opcje, wyszczególnione prostą czcionką na ekranie.

WPLATA.

WYPŁATA.

PRZELEW.

Nora najechała kursorem na PRZELEW, kliknęła, i znalazła się natychmiast na kolejnej, równie prostej stronie. Widniało na niej aktualne saldo Connora oraz okienko, w którym trzeba było wpisać kwotę przelewu.

Nora wpisała liczbę.

Na rachunku było 4,3 miliona dolarów. Miała zamiar pobrać trochę mniej. Dokładnie rzecz biorąc, 4,2 miliona.

Pozostało tylko przelać te pieniądze na inne konto.

W ich związku nie tylko Connor dysponował własnym VPN. Nora wstukała hasło dostępu do własnego zakodowanego konta na Kajmanach. Dzięki napalonemu adwokatowi podatkowemu, Stevenowi Kepplerowi, miało ono zostać ochrzczone w wielkim stylu.

Kliknęła przycisk „wykonaj” i odchyliła się w fotelu Connora. Horyzontalny pasek, który oznaczał postęp transferu, zaczął się powoli wypełniać. Nora położyła stopy na biurku i patrzyła, jak pełźnie do przodu.

Dwie minuty później przelew został zatwierdzony. Nora Sinclair była o 4,2 miliona bogatsza.

Po raz drugi tego dnia trafiła w dziesiątkę.

## Rozdział 22

Gdy obudziła się nazajutrz rano, podreptała, ziewając, do kuchni, żeby zrobić sobie dzbanek kawy. Właściwie nie czuła się najgorzej. Nora w ogóle zbyt wiele nie czuła.

Po wypiciu pierwszej filiżanki kawy jej myśli zwróciły się ku ważnym sprawom, które musiała tego dnia załatwić. Trzeba było wykonać kilka telefonów do ludzi, którzy powinni dowiedzieć się o śmierci Connora. Musiała także odezwać się do Jeffreya.

Najpierw zatelefonowała do Marka Tillinghama, który był adwokatem Connora, egzekutorem jego majątku, a także jednym z jego najlepszych przyjaciół. Kiedy zadzwoniła, Mark wychodził właśnie z domu na sobotni poranny mecz tenisa. Mogła go sobie wyobrazić, ubranego na biało, jak reaguje szokiem na usłyszaną wiadomość. Czasami zazdrościła ludziom tych wszystkich emocji.

Następna była najbliższa rodzina. Lista krewnych, do których powinna zadzwonić, była jednak wyjątkowo krótka. Rodzice Connora już nie żyli — do zawiadomienia pozostała w związku z tym tylko jego jedyna siostra, Elizabeth, którą nazywał Lizzie, a czasami Lizard\*.

\* *Lizard* (ang.) — jaszczurka

Brat i siostra byli sobie bliscy pod każdym względem oprócz geograficznego. Lizzie mieszkała w odległości czterech tysięcy ośmiuset kilometrów w Santa Barbara i była wziętym architektem. Rzadko wypuszczała się na wschodnie wybrzeże; ostatnim razem zrobiła to, zanim Nora i Connor poznali się bliżej.

Nora nalała sobie kolejną filiżankę kawy i zaczęła się zastanawiać, jak przekazać kobiecie, z którą nie tylko się nie spotkała, ale z którą nigdy nie zamieniła nawet słowa, wiadomość, że jej czterdziestoletni brat właśnie wyzionął ducha.

Zdawała sobie sprawę, że nie musi do niej dzwonić. Mogła poprosić o to Marka Tillinghama. Wiedziała jednak, że ktoś, kto szczerze kochał Connora, zrobiłby to osobiście. Odnalazła więc numer Lizzie w jego palm pilocie i wybrała go.

— Halo — usłyszała głos kobiety, zaspany i lekko poirytowany. W Kalifornii minęła dopiero siódma rano.

— Czy to Elizabeth?

— Tak.

— Nazywam się Nora Sinclair...

To dziwne, ale siostra nie płakała, przynajmniej nie przez telefon. Przez kilka sekund milczała, a potem zadała cicho kilka pytań.

Nora powtórzyła jej to, co powiedziała policji. Słowo w słowo: swoją wykutą na blachę kwestię.

— Przypuszczam, że nie będziemy niczego wiedzieli, dopóki nie podadzą wyników sekcji — dodała.

Lizzie znów zareagowała milczeniem. Może robiła sobie wyrzuty, że od tak dawna nie widziała się z bratem, pomyślała Nora. Może ogarnął ją smutek, bo pozostała teraz sama z całej rodziny. Może doznała szoku, podobnie jak Mark Tillingham.

— Przylecę jutro rano — odezwała się w końcu Elizabeth. — Czy zaplanowałaś coś w związku z pogrzebem?

— Najpierw chciałam porozmawiać z tobą. Myślałam... Elizabeth zaczęła płakać.

— Mam nadzieję, że to nie zabrzmi strasznie, ale to ostatnia

rzecz... Nie wydaje mi się, żebym potrafiła... Mogłabyś się tym zająć?

— Oczywiście — odparła Nora.

Chciała się już żegnać, kiedy Elizabeth stłumiła szloch.

— Jak długo byłaś zaręczona z Connorem? — zapytała. Nora przez chwilę milczała. Chciała się rozszlochać, uznała jednak w końcu, że to nie najlepszy pomysł.

— Dopiero od tygodnia — powiedziała zamiast tego poważnym tonem.

— Przykro mi. Och, tak mi przykro — odparła Elizabeth. Po południu, po rozmowie z Elizabeth, Nora skoncentrowała się na przygotowaniach do pogrzebu. Dużo rzeczy — od kwiatów po jedzenie — można było zorganizować przez telefon. Są jednak w życiu pewne sprawy, zwłaszcza gdy dobiega ono końca, które najlepiej jest załatwić osobiście. Należy do nich wybór zakładu pogrzebowego.

Nawet tam Nora mogła wykorzystać swoje talenty dekoratorki wnętrz. Wybrała trumnę, tak jakby wybierała mebel dla klienta. W przypadku Connora oznaczało to najbardziej królewski, masywny sarkofag z orzechowego drewna, z uchwytnymi z kości słoniowej. Wiedziała, że jest odpowiedni, od razu gdy pokazał go jej przedsiębiorca pogrzebowy.

— Załatwione! — oznajmiła.



## Rozdział 23

—Wiem, że nie jest to prawdopodobnie najlepszy moment, Noro — zaczął Mark Tillingham — ale jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

Był wtorkowy ranek i zaraz miało się zacząć nabożeństwo żałobne. Stali pod dużym ostrokrzewem na wysypanym żwirem, zatłoczonym parkingu kościoła pod wezwaniem Przenajświętszej Marii Panny przy Albany Post Road w Scarborough. Nora przyjrzała się adwokatowi Connora przez czarne okulary Chanel. Pasowały jak ulał do jej czarnego kompletu od Armaniego i prostych czarnych szpilek Manola Blahnika.

—Chodzi o siostrę Connora. Jest oczywiście zrozpaczona. Ona i Connor bardzo się kochali. Elizabeth niepokoi się, jakie masz zamiary.

—Jakie mam zamiary?

— W odniesieniu do majątku.

—Co ci powiedziała? Nie, pozwól, niech sama zgadnę. Elizabeth boi się, że mogłabym zakwestionować testament Connora.

—Nazwijmy to zatroskaniem — odparł Tillingham. — Narzeczeni nie mają prawnego tytułu, by po sobie dziedziczyć, ale to nie powstrzymuje pewnych osób przed...

Nora potrząsnęła głową.

— Nie będę kwestionować testamentu. Boże! Nie interesują mnie pieniądze. Kochałam Connora. Powiedzmy to sobie jasno: nie interesuje mnie jego majątek. Możesz to powtórzyć Lizzie.

Na twarzy Marka odbiły się wszystkie kolejne fazy zakłopotania.

— Oczywiście — mruknął. — Jeszcze raz przepraszam, że poruszyłem ten temat.

— Więc to dlatego Elizabeth mnie unika?

— Nie. Moim zdaniem głównie dlatego, że jest bardzo wytrącona z równowagi. W dzieciństwie byli nierozłączni. Ich rodzice zmarli, kiedy Elizabeth i Connor mieli po kilka lat.

— Tak z czystej ciekawości, co odziedziczyła po Connorze?

Mark wbił wzrok w swoje ozdobione frędzelkami półbuty.

— Nie powinienem ujawniać tego rodzaju informacji, Noro.

— Nie powinieneś również sprawiać przykrości kobiecie, którą Connor kochał, i to tuż przed jego pogrzebem.

Poczucie winy adwokata okazało się najwyraźniej silniejsze od nakazów profesji.

— Przypadło jej z grubsza dwie trzecie majątku, w tym dom — oznajmił przyciszonym tonem. — Jak już powiedziałem, bardzo się kochali.

— A reszta?

— Znaczne sumy przypadły dwóm kuzynom z San Diego. Reszta przekazana zostanie na różne cele charytatywne.

— To dobrze — stwierdziła Nora, nieco się rozchmurzając.

— Owszem — przyznał Mark. — Connor był pod tym względem wspaniały. Do diabła, był wspaniały pod wieloma względami.

Nora pokiwała głową.

— Connor był cudowny, Mark. Powinniśmy chyba wejść do środka, nie sądzisz?

## Rozdział 24

Nabożeństwo było uroczne, smutne i bardzo wzruszające. Kościół Przenajświętszej Marii Panny, sąsiadujący z przepięknie utrzymanym wiejskim klubem Sleepy Hollow, okazał się idealnym miejscem.

Przynajmniej tak wszyscy powtarzali Norze. Nie ustawili się w kolejce, żeby złożyć jej kondolencje, ale i tak do niej podchodzili. Poznała już wcześniej kilku znajomych Connora i paru jego współpracowników z pracy; o innych wiedziała. Pozostali przedstawili się i złożyli jej nieskładne wyrazy współczucia.

Elizabeth Brown przez cały czas — zarówno w kościele, jak i na cmentarzu — trzymała się z daleka. Norze nie zależało jednak specjalnie na pojednaniu. W gruncie rzeczy siostra Connora oddała jej przysługę. Mimowolnie wzmocniła przekonanie, że ostatnią osobą pragnącą śmierci Connora, mogła być kobieta, która wychodząc za niego za mąż, weszłaby w posiadanie milionów.

Dopiero w domu w Westchester, gdzie przygotowano poczęstunek dla żałobników, Elizabeth w końcu do niej podeszła.

—Zauważyłam, że nie pijesz. Nawet w taki dzień jak ten — powiedziała.

Nora trzymała w ręku szklankę z gazowaną wodą.

—Och, piję, ale dzisiaj wolę wodę.

—Nie miałyśmy dziś wielu okazji, żeby porozmawiać — stwierdziła Elizabeth i w jej oczach zalśniły łzy. — Chciałam ci podziękować za wszystkie przygotowania. Nie sądzę, żebym sama sobie z tym poradziła.

—Nie ma za co dziękować. To chyba całkiem logiczne, zważywszy na to, że tu mieszkam. To znaczy nie tu dokładnie, ale...

—Wiem, Noro. O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać...

Obok przechodził jeden ze współników Connora z Greenwich i Elizabeth przerwała, żeby nie usłyszał ich rozmowy.

—Chodź — powiedziała Nora. — Wyjdźmy stąd na chwilę.

Wyprowadziła Elizabeth przez frontowe drzwi na wyłożone kamiennymi płytami schody. Były teraz same. Czyżby nadszedł czas na szczerłość?

—Rozmawiałam z Markiem Tillinghamem — oznajmiła Elizabeth. — Wygląda na to, że Connor zostawił mi ten dom.

Reakcja Nory była wspaniała.

—Naprawdę? To dobrze. Cieszę się, że zostanie w rodzinie i że obejmiesz go właśnie ty, Lizzie.

—Och, jesteś bardzo miła. Tyle że ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnęła, jest przenieść się tu i w nim zamieszkać — powiedziała Elizabeth, po czym pochyliła głowę, nie będąc w stanie dokończyć zdania. Łzy płynęły jej teraz ciurkiem po policzkach. — Po prostu nie mogłabym...

—Rozumiem — odparła Nora. — Powinnaś wystawić go na sprzedaż, Lizzie.

—Chyba tak. Ale nie śpieszy mi się. O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Pragnę, żebyś korzystała z

domu tak długo, jak masz ochotę. Wiem, że Connor by tego chciał.

— To bardzo miły gest z twojej strony — powiedziała Nora — i niepotrzebny. Jestem wzruszona.

— Poprosiłam Marka, żeby pokrywał z naszego rachunku wszystkie wydatki na utrzymanie rezydencji. Tyle przynajmniej możemy zrobić — ciągnęła Elizabeth. — Chcę również, Noro, żebyś zatrzymała całe umeblowanie. To w pierwszym rzędzie zbliżyło ciebie i Connora.

Nora uśmiechnęła się. W każdym słowie Elizabeth pobrzmiewało poczucie winy. Po śmierci Connora spodziewała się, że jego narzeczona zechce się rozliczyć. Teraz, gdy przekonała się, że jest inaczej, jej hojność stanowiła formę przyznania, że nie miała racji. Której istotnie nie miała, pomyślała Nora. Przynajmniej technicznie.

Ponieważ rozliczyłam się już wcześniej.

Stojąc przed rezydencją, rozmawiały aż do chwili, gdy Elizabeth zdała sobie sprawę, że zrobiło się późno. Za niecałe trzy godziny odlatywał jej samolot do Kalifornii.

— Muszę już iść — powiedziała. — To był najsmutniejszy dzień w moim życiu, Noro.

Nora pokiwała głową.

— W moim też. Proszę, bądźmy w kontakcie.

Elizabeth pożegnała się — ni mniej, ni więcej, tylko uściśnawszy Norę — i odeszła do stojącego na podjeździe wynajętego samochodu. Nora obserwowała ją, stojąc ze złączonymi razem stopami i splecionymi z przodu dłońmi. Ale chociaż trzymała się prosto, serce waliło jej z podniecenia. Wszystko uszło jej na sucho! Morderstwo oraz kradzież.

Obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do domu. Po dwóch krokach stanęła w miejscu. Wydawało jej się, że coś słyszy. Jakiś hałas dochodzący od strony żywopłotu. Podobny do klikania.

Spojrzała w stronę skraju posiadłości i nasłuchiwała...  
Nic.

To pewnie jakiś ptak, pomyślała.

Ale kiedy wchodziła do domu, ukryty między rododendronami cyfrowy nikon D1-X zaćwierkał jeszcze kilka razy.

Klik. Klik. Klik.

Nie tylko Nora Sinclair snuła wielkie plany.

Część 2

# **Facet od ubezpieczeń**

## Rozdział 25

„Nie wszystko jest takie, jak się wydaje, syneczku”.

Ojciec lubił mi to powtarzać, kiedy dorastałem. Oczywiście lubił także mówić, żebym wyrzucił śmieci, zagrabił liście, odgarnął śnieg, nie garbił się i wyprostował. Jeśli chodzi o to, co najbardziej wryło mi się w pamięć, cała reszta nie umywała się do jego pierwszej i najważniejszej maksymy.

Takiej prostej. A jednak, jak nauczyły mnie lata, tak bardzo prawdziwej.

Siedziałem w przydzielonym mi niedawno gabinecie, który bardziej przypominał schowek na szczotki. Na ekranie komputera ukazywały się zdjęcia, które zrobiłem cyfrowym nikonem. Jedno po drugim. Nora Sinclair ubrana od stóp do głów w najmodniejszą tego lata czerń. Nora w kościele Przenajświętszej Marii Panny. Na cmentarzu Sleepy Hollow. Przy skromnym pałacyku Connora Browna. Na ostatnich fotkach stała na schodach rezydencji i rozmawiała z siostrą tego biedaka. Elizabeth była wysoka, jasnowłosa i wyglądała jak kalifornijska pływaczka. Nora była czarnowłosa i nie tak wysoka, lecz jeszcze piękniejsza. Obie były olśniewające, nawet w żałobie. Chyba płakały, a potem się uściskały.

Czego dokładnie szukałem?



Nie wiedziałem, lecz im dłużej gapiłem się na te zdjęcia, tym głośniej rozbrzmiewały mi w głowie słowa ojca. Nie wszystko jest takie, jak się wydaje.

Złapałem słuchawkę i wykręciłem numer szefowej. Bezpośredni. Po dwóch dzwoneczkach...

— Susan — przedstawiła się zwięźle. Żadnego „halo” ani nazwiska, po prostu „Susan”.

— To ja. Cześć. Chcę, żebyś posłuchała przez chwilę mojego głosu — powiedziałem. — Jakie robię wrażenie przez telefon?

— Jakbyś chciał mi sprzedać polisę ubezpieczeniową.

— Czy nie brzmię jak typowy nowojorczyk?

— Chodzi o to, czy nie jesteś zbyt przemądrzały? Nie.

— To dobrze.

— Powiedz jeszcze coś, żebym się upewniła.

Przez chwilę się zastanawiałem.

— Dobrze, więc pewien staruszek umiera i idzie do nieba — zacząłem tonem, który moim zdaniem ociekał nowojorszczyzną. — Każ mi przestać, jeśli już to słyszałaś.

— Już to słyszałam.

— Nie, nie słyszałaś. Uwierz mi, uśmiejesz się do łez.

— Przypuszczam, że zawsze jest ten pierwszy raz.

Powinienem w tym miejscu nadmienić, jeśli nie jest to jeszcze oczywiste, że szefową i mnie łączą specjalne stosunki. Naturalnie pewnym facetom nie podoba się, że muszą składać raporty kobietom. Kiedy Susan stanęła na czele wydziału, czterech albo pięciu kolegów natychmiast dawało jej nieźle popalić.

Dlatego drugiego dnia wywaliła ich wszystkich na zbity pysk. Nie żartuję. Susan też nie żartowała.

— Więc ten staruszek staje przed niebiańską bramą i dostrzega dwie tabliczki. Na pierwszej jest napisane MEŹCZYŹNI, KTÓRYMI RZĄDZIŁY KOBIETY. Kolejka, która się przed nią ustawiła, ma jakieś szesnaście kilometrów długości.

— Jasne.

— Bez komentarza. Staruszek podnosi wzrok i widzi drugą tabliczkę z napisem MEŹCZYŹNI, KTÓRZY NIE

DALI SOBĄ RZĄDZIĆ. Wyobraź sobie, w tej kolejce stoi tylko jeden facet. Staruszek powoli do niego podchodzi. Powiedz mi, mówi, dlaczego tu stanąłeś? Nie wiem, odpowiada facet, żona mi kazała.

Nadstawiłem ucha i naprawdę usłyszałem po drugiej stronie linii cichy śmiech.

— Nie mówiłem? Mam murowaną posadę u Lettermana.

— Dość śmieszne — orzekła Susan — ale nie rzucałabym jeszcze roboty, którą wykonujesz w ciągu dnia.

Zachichotałem.

— To zabawne, zważywszy na to, że nie wykonuję jej w świetle dnia.

— Czy wyczuwam w twoim głosie nerwowość?

— Raczej obawę.

— Dlaczego? Przecież urodziłeś się do takich rzeczy. Masz wrodzoną... — Susan przerwała w połowie zdania. — Och, rozumiem. To dlatego, że ona jest kobietą, tak?

— Mówię tylko, że wygląda to trochę inaczej. Nic więcej.

— Nie martw się, nic ci nie będzie. Bez względu na to, kim okaże się Nora Sinclair, jesteś najlepszy do tej roboty — powiedziała. — Kiedy nastąpi pierwsze spotkanie?

— Jutro.

— Dobrze. Znakomicie. Informuj mnie.

— Tak jest. I wiesz co, Susan?

— Tak?

— Dziękuję za zaufanie.

— No, no...

— Co?

— Nadal nie przywykłam do pokory z twojej strony.

— Staram się. Bóg jeden wie, że się staram.

— Wiem o tym — odparła. — Powodzenia.

## Rozdział 26

Stanowy szpital psychiatryczny Pine Woods mieścił się w Lafayetteville, około półtorej godziny jazdy na północ od Westchester. Owe półtorej godziny nie odnosiło się jednak do Nory, jadącej nowym kabrioletem marki Mercedes. Pędząc krętą, biegnącą skrajem lasu drogą z szybkością ponad sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, dotarła do szpitala całe piętnaście minut wcześniej.

Znalazła miejsce na parkingu i jednym naciśnięciem guzika zamknęła dach. Sprytne. Przejrzała się szybko w lusterku i poprawiła włosy. Nie musiała poprawiać makijażu. Właściwie prawie wcale się nie umalowała. Nagle, zupełnie nie wiadomo dlaczego, przyszła jej na myśl siostra Connora — Lodowa Blond Dziwka. Coś w związku z Elizabeth nie dawało jej spokoju, tak jakby jeszcze ze sobą nie skończyły.

Odsunęła od siebie złe myśli i zamknęła kabriolet. Nawet tutaj, na tym odludziu, lepiej uważać. Miała na sobie dzinsy i prostą, zapinaną z przodu białą bluzkę. Pod pachą ścisnęła torbę z księgarni. Kiedy szła do głównego budynku z czerwonej cegły, dookoła nie było żywej duszy.

Znała na pamięć cały rytuał. Nauczyła się go w ciągu comiesięcznych, trwających od czternastu lat wizyt.

Najpierw trzeba było przejść obowiązkową kontrolę w recepcji na dole. Po okazaniu opatrzonego zdjęciem dowodu tożsamości składała swój podpis i dostawała przepustkę.

Następnie szła do wind po lewej stronie. Jedna z nich była zawsze otwarta.

Przychodząc tutaj w pierwszym roku, wciskała przycisk pierwszego piętra. Po dwunastu miesiącach jej matkę przeniesiono jednak wyżej. Nikt nie mówił tego Norze wprost, ale wiedziała, że im wyżej znajduje się sala pacjenta, tym mniejsze ma szanse na zwolnienie.

Nora weszła do windy i wcisnęła ósemkę.

Przycisk najwyższego piętra.

## Rozdział 27

Siostra oddziałowa Emily Barrows była w nie najlepszym humorze. Trudno jej było się dziwić. Siadł system komputerowy, bolały ją plecy i głowa, skończył się toner w kopiarce i ktoś z nocnej zmiany wylał kawę na kartę zleceń.

I to wszystko jeszcze przed dwunastą.

W dodatku, chyba po raz setny z rzędu, wdrażała właśnie do pracy nową pielęgniarkę. Ta akurat należała do osób, które zbyt często się uśmiechały. Nazywała się Patsy — samo jej imię brzmiało nieco zbyt wesoło.

Dwie kobiety siedziały na stanowisku pielęgniarek na ósmym piętrze. Nagle otworzyły się drzwi windy. Emily podniosła wzrok znad poplamionej kawą kartki i zobaczyła znajomą twarz.

— Dzień dobry, Emily.

— Dzień dobry, Noro. Jak się masz?

— Jak ona się czuje?

— Czuje się świetnie.

Comiesięczna wymiana zdań z Norą brzmiała zawsze tak samo i zawsze tak samo się kończyła. Stan matki Nory się nie zmieniał.

Emily zerknęła na Patsy. Nowa pielęgniarka przysłuchiwała się z głupawym uśmiechem ich rozmowie.

— Patsy, to jest Nora Sinclair — powiedziała Emily. —  
Córka Olivii z sali osiemset dziewięć — dodała.

— Och... — bąknęła z lekkim wahaniem Patsy.

Typowy błąd nowicjuszki.

Nora skinęła głową.

— Miło cię poznać, Patsy — powiedziała, po czym życząc nowej pielęgniarce powodzenia, ruszyła długim korytarem.

— Olivia Sinclair... — Głos Patsy przeszedł w zatroskany szept. — To ta, która zastrzeliła własnego męża, prawda?

Wypowiedziana szeptem odpowiedź Emily była bardziej wyważona.

— Tak stwierdziła ława przysięgłych. Przed wielu laty.

— Myślisz, że tego nie zrobiła?

— Zrobiła. Z całą pewnością.

— Nie rozumiem. Jak tutaj trafiła?

Emily omiotła wzrokiem korytarz. Chciała mieć pewność, że Nora jest poza zasięgiem jej głosu.

— Z tego, co słyszałam... i pamiętaj, że działo się to dawno temu... przez kilka pierwszych lat wyroku Olivia zachowywała się bardzo dobrze. Była wzorową więźniarką. Potem po prostu jej odbiło.

— Jak to?

— Generalnie rzecz biorąc, straciła kontakt z rzeczywistością. Zaczęła mówić wymyślonym przez siebie językiem. Jadła wyłącznie rzeczy, które zaczynały się na literę „b”.

— Na literę „b”?

— Mogło być gorzej. Mogła na przykład wybrać „x” albo jakąś inną literę. Na „b” miała przynajmniej banany, bułki, befsztyki...

— Babeczki? — wtrąciła radośnie Patsy, jakby brała udział w quizie.

Emily kilka razy zamrugła.

— Tak... chyba tak. Tak czy inaczej, jakiś czas później Olivia próbowała się zabić. W następstwie tego przysłano ją

tutaj. — Emily przez chwilę się zastanawiała. — A może najpierw miała miejsce próba samobójcza, a dopiero potem dziwne zachowanie. Jakkolwiek było po dwudziestu latach Olivia Sinclair nie wie nawet, jak się nazywa.

— Kurczę, to smutne — stwierdziła Patsy, która ku zdumieniu Emily uśmiechała się, nawet kiedy robiła zatroskaną minę. — A twoim zdaniem, co jej właściwie jest?

— Nie mam pojęcia. Wygląda to jak połączenie autyzmu i Alzheimerera. Olivia nadal potrafi zamienić kilka słów i wykonywać pewne czynności. Tyle że nic z tego nie ma sensu. Widziałaś, na przykład, tę torbę, którą miała ze sobą Nora?

Patsy pokręciła przecząco głową.

— Nie.

— Co miesiąc przynosi jej do przeczytania jakąś powieść. Kiedy obserwuję Olivię przy lekturze, książka jest zawsze odwrócona do góry nogami.

— Czy Nora o tym wie?

— Niestety, tak.

Patsy westchnęła.

— Cóż, dobrze, że może przynajmniej pobycić trochę z matką.

— Zgadzam się, ale z jednym zastrzeżeniem — odparła siostra oddziałowa... — Olivia nie rozpoznaje nawet Nory.

## Rozdział 28

— Cześć, mammo. To ja.

Nora przeszła przez niewielką izolatkę i wzięła matkę za rękę. Uścisnęła ją, lecz nie doczekała się żadnej reakcji. W gruncie rzeczy wcale się jej nie spodziewała. Przywykła nie oczekiwać zbyt wiele podczas tych wizyt.

Olivia Sinclair leżała w pościeli, podparta dwiema cienkimi poduszkami. Chuda jak patyk, ze szklistym wzrokiem, miała pięćdziesiąt siedem lat, ale wyglądała na osiemdziesiąt.

— Dobrze się ostatnio czułaś? — Nora patrzyła, jak matka obraca się powoli w jej stronę. — To ja, Nora.

— Jesteś bardzo ładna.

— Dziękuję. Byłam u fryzjera. Ze względu na pogrzeb i w ogóle.

— Lubię czytać, wiesz — oświadczyła Olivia.

— Tak, wiem. — Nora sięgnęła do torby i wyciągnęła najnowszą powieść Johna Grishama. — Widzisz, przyniosłam ci książkę.

Podawała ją matce, lecz ta nie wzięła jej do ręki. Nora położyła książkę na szafce przy łóżku i usiadła na stojącym obok krześle.

— Dobrze się odżywasz?

— Tak.



— Co jadłaś na śniadanie?

— Jajka na grzance.

Nora uśmiechnęła się z przymusem. Najboleśniej były te momenty, gdy wydawało się, że prowadzi z matką całkiem normalną rozmowę. Wiedziała jednak, jaka jest prawda. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zadać jej kontrolnego pytania.

— Wiesz, kto jest teraz prezydentem, mamó?

— Oczywiście, że wiem. Jimmy Carter.

Nora zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu jej poprawiać. Zamiast tego opowiedziała matce o swojej pracy i o domach, których wnętrza projektowała. Przekazała również najświeższe wieści o swoich przyjaciółkach z Manhattanu. Elaine pracowała w swojej kancelarii. Allison wciąż wyznaczała najnowsze trendy w redakcji „W”.

— Naprawdę o mnie dbają, mamó.

— Puk, puk — rozległ się czyjś głos.

Drzwi otworzyły się i do izolatki weszła Emily z tacą.

— Czas na twoje leki, Olivio — powiedziała. Poruszając się jak automat, nalała do szklanki wodę ze stojącego na nocnej szafce dzbanka. — Łykamy, Olivio.

Matka Nory wzięła pastylkę i popiła ją bez większych ceregieli.

— O, to ostatnia? — zapytała Emily, zerkając na leżącą na szafce powieść Grishama.

— Właśnie się ukazała — odparła Nora.

— Lubię czytać, wiesz — powtórzyła z uśmiechem jej matka.

— Oczywiście, że lubisz — zgodziła się Emily.

Matka Nory wzięła do ręki powieść, otworzyła ją i zaczęła czytać. Do góry nogami.

Emily odwróciła się do Nory, która zawsze była taka dzielna i taka piękna.

— A propos — powiedziała, zbierając się do wyjścia — w naszej kafeterii występuje grupa wokalna z pobliskiego

liceum. Zabieramy wszystkich na dół. Zapraszamy i ciebie, Noro.

— Nie, nie trzeba. I tak już wychodziłam. Mam teraz dużo pracy.

Emily wyszła z pokoju, a Nora wstała, podeszła do matki i pocałowała ją delikatnie w czoło.

— Kocham cię — szepnęła. — Tak bym chciała, żebyś o tym wiedziała.

Olivia Sinclair nie odezwała się ani słowem. Patrzyła obojętnym wzrokiem, jak jej córka wychodzi z pokoju.

Po chwili, gdy w pobliżu nie było nikogo, zdjęła obwolutę z nowej powieści, obróciła ją o sto osiemdziesiąt stopni i trzymając książkę prawidłowo, zaczęła czytać.

## Rozdział 29

Po raz trzeci w ciągu dwudziestu minut oczyściłem obiektyw cyfrowego aparatu.

W tym czasie policzyłem również liczbę szwów na obitej skórą kierownicy (trzysta dwanaście), zmieniłem położenie fotela kierowcy (jedno oczko w górę i leciutko do przodu), a także przeczytałem, jakie jest optymalne ciśnienie w oponach bmw 330i (2,0 bara z przodu i 2,2 bara z tyłu, pisali w instrukcji w schowku na rękawiczki).

Konałem z nudów.

Może powinienem do niej najpierw zadzwonić. Nie, to zły pomysł. Musieliśmy się spotkać osobiście. Twarzą w twarz. Nawet jeśli to oznaczało, że tyłek przyrośnie mi do fotela.

Gdybym wiedział, że będę musiał tu tak długo sterczeć, kupiłbym pączki. Dunkina, Krispy Kreme, 7'11, jakiegokolwiek.

Gdzie ona się podziewała?

Dziesięć minut później zobaczyłem po drugiej stronie Central Avenue jaskrawoczerwony kabriolet marki Mercedes, który wjechał na kolistą podjazd domu świętej pamięci Connora Browna. Po chwili samochód zatrzymał się i wysiadła.

Nora Sinclair. Powinienem chyba dodać: no, no!

Zrobiła efektowny skłon i zabrała z tylnego siedzenia torbę z zakupami. Kiedy szukała kluczy do domu, ja byłem już

w połowie trawnika.

—Przepraszam! — zawołałem. — Uhm... przepraszam!  
Odwróciła się. Czarny komplet z pogrzebu zastąpiły teraz  
dżinsy i zapinana z przodu biała bluzka. Słoneczne okula-  
ry były te same. Włosy wyglądały wspaniale — gęste, lśniące,  
orzechowe. Powtarzam się, ale: no, no.

W końcu znalazłem się tuż przy niej. Ostrzegałem się w  
duchu, żeby nie przesadzać z akcentem.

—Czy nie nazywa się pani przypadkiem Nora Sinclair?  
W okularach czy bez okularów, domyśliłem się, że mierzy  
mnie uważnym wzrokiem.

—To zależy. Kim pan jest?

—O rany, przepraszam. Powinienem najpierw się przed  
stawić. — Podałem jej rękę. — Nazywam się Craig Rey-  
nolds.

Nora przełożyła torbę z zakupami z jednej ręki do drugiej  
i uścisnęliśmy sobie dłonie.

—Craig Reynolds... i co dalej?

Sięgnąłem do kieszeni marynarki i trochę nieporadnie  
wyciągnąłem wizytówkę.

—Reprezentuję Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie  
Centennial One — powiedziałem, podając wizytówkę. Nora  
przyjrzała się jej. — Bardzo mi przykro z powodu pani stra-  
ty.

Trochę zmiękła.

—Dziękuję panu.

—Nazywa się pani Nora Sinclair, tak?

—Tak, to ja, Nora.

—Zakładam, że musiała pani być blisko związana z pa-  
nem Brownem.

Nie zamierzała dalej mięknąć. W jej głosie ponownie  
usłyszałem nieufność.

—Tak, byliśmy zaręczeni. Może powie mi pan jednak, o  
co chodzi?

Nadeszła kolej, żebym to ja okazał zmieszanie.

— To znaczy nic pani nie wie?  
Czego nie wiem?

— O polisie ubezpieczeniowej pana Browna — odpowiedziałem po chwili. — Wystawionej na milion dziewięćset tysięcy dolarów.

Patrzyła na mnie pustym wzrokiem. Dokładnie tak, jak się spodziewałem.

— W takim razie nie wie pani zapewne — dodałem — że jest pani jej jedyną beneficjentką.

## Rozdział 30

Nora przyjęła to z niewiarygodnym spokojem.

— Jak pan powiedział, że się nazywa? — zapytała.

— Craig Reynolds... moje nazwisko jest na wizytówce. Kieruję miejscowym oddziałem Centennial One.

Nora przestąpiła z nogi na nogę, co muszę przyznać, zrobiła z wielkim wdziękiem, po czym zerknęła ponownie na moją wizytówkę. Torba z zakupami zaczęła wyślizgiwać się jej z rąk. Skoczyłem do przodu i złapałem ją, zanim upadła na ziemię.

— Dziękuję. — Nora wyciągnęła po nią rękę. — Wszystko by powypadało.

— Może wniosę to pani do środka. Muszę zamienić z panią kilka słów.

Widziałem, że się waha. Mężczyzna, którego widziała po raz pierwszy w życiu, wprasał się do jej domu. Obcy. Ale ze słodkim cukiereczkiem. W moim przypadku była to wypłata bardzo wysokiego odszkodowania.

Przyjrzała się ponownie mojej wizytówce.

— Proszę się nie martwić, nie pobrudzę dywanu — zażartowałem.

Nora lekko się uśmiechnęła.

—Przepraszam, nie chciałabym uchodzić za kogoś przesadnie podejrzliwego. Rzecz w tym...

—...że to dla pani bardzo trudny okres, owszem, wyobrażam sobie. Nie musi pani mnie przepraszać. Jeśli pani woli, możemy omówić kwestię polisy w późniejszym terminie. Może wpadnie pani do mojego biura?

—Nie, w porządku. Proszę, niech pan wejdzie.

Nora ruszyła w stronę domu. Ja podążyłem w ślad za nią. Na razie szło mi całkiem nieźle. Zastanawiałem się, czy jest dobrą tancerką. Z pewnością była dobrym piechurem.

—Orzechy laskowe z wanilią? — zapytałem.  
Obejrzała się przez ramię.

—Słucham?

Wskazałem wystającą z torby paczkę mielonej kawy.

—Chociaż ostatnio trafiłem na te nowe ziarna creme brulee, które pachną dokładnie tak samo.

—Nie, to orzechy laskowe z wanilią — przyznała. — Jestem pod wrażeniem.

—Wolałbym rzucać piłką z szybkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Zamiast tego natura obdarzyła mnie wysubtelnionym zmysłem węchu.

—Lepsze to niż nic.

—Och, jest pani optymistką — zauważyłem.

—Ostatnio niespecjalnie.

Palnąłem się w czoło.

—Do diabła. Głupio mi się wyrwało. Przepraszam, na prawdę.

—Nie ma sprawy — odparła i niemal się uśmiechnęła. Wspięliśmy się po schodach i weszliśmy do środka.

Hol był zdecydowanie większy od mojego mieszkania. Na wiszący nad głową żyrandol musiałbym wydać roczną pensję. Orientalne dywany, chińskie wazy. Jezu, co za przepych.

—Tędy — powiedziała, prowadząc mnie korytarzem. Kiedy dotarliśmy do kuchni, okazało się, że przewyższa wielkością mój apartament. Nora wskazała mi granitowy blat

obok lodówki. — Może pan to tam położyć. Dziękuję. Położyłem torbę i zacząłem ją wypakowywać.

— Nie musi pan tego robić — powiedziała.

— Przynajmniej w ten sposób chciałbym się zrehabilitować po moim komentarzu na temat optymizmu.

— Naprawdę, nie trzeba. — Podeszła do mnie i wzięła paczkę z kawą. — Mogę panu zaproponować filiżankę?

— Oczywiście.

Kiedy parzyła kawę, pamiętałem, żeby utrzymać ton luźnej pogawędki. Nie chciałem załatwiać nazbyt szybko zbyt wielu spraw i ryzykować, że Nora zacznie zadawać za dużo pytań. Domyśliłem się, że i tak ma ich kilka na końcu języka.

— Wie pan, czego nie rozumiem? — zagaiła parę minut później, kiedy siedzieliśmy przy kuchennym stole z kubkami kawy w rękach. — Connor miał mnóstwo pieniędzy i żadnej byłej żony lub dzieci. Dlaczego zwracał sobie głowę ubezpieczeniem?

— To dobre pytanie. Myślę, że odpowiedź zawarta jest w tym, skąd wzięła się ta polisa. Widzi pani, pan Brown nie zwrócił się do nas. To my zwróciliśmy się do niego. A raczej do jego firmy.

— Nie bardzo rozumiem.

— W ostatnim czasie Centennial One zawiera coraz więcej pracowniczych ubezpieczeń kompensacyjnych. Proponujemy kierownictwu darmowe ubezpieczenia na życie, aby zachęcić firmy do podpisania z nami umów o współpracy.

— To całkiem miły bonus.

— Owszem, to nam bardzo ułatwia działanie.

— Na ile, pan powiedział, wystawiona jest polisa Conнора? — zapytała.

Tak jakby wyleciało jej to z głowy.

— Na milion dziewięćset tysięcy — odparłem. — To maksymalna kwota dla firmy tej wielkości.



Nora podniosła brew.

— Naprawdę wyznaczył mnie jako jedyną beneficjentkę?

— Naprawdę.

— Kiedy to było?

— To znaczy kiedy polisa została wystawiona?

Pokiwała głową.

— Tak się składa, że całkiem niedawno. Przed pięcioma miesiącami.

— To chyba wyjaśnia sprawę. Chociaż w tamtym czasie byliśmy ze sobą od bardzo niedawna.

Uśmiechnąłem się.

— Najwyraźniej żywił dla pani ciepłe uczucia od samego początku.

Nora próbowała się uśmiechnąć, ale nie pozwoliły jej na to płynące po policzkach łzy. Zaczęła je ocierać i przeproszać. Zapewniłem ją, że nie ma za co, że rozumiem. W gruncie rzeczy scena była nawet wzruszająca. A może Nora była po prostu bardzo dobra?

— Connor już wcześniej podarował mi tyle, a teraz to...

— Otarła kolejną łzę. — Oddałabym wszystko, żeby mieć go z powrotem.

Pociągnęła długi łyk kawy. Ja również.

— I co teraz? Domyślam się, że przed podjęciem pieniędzy będę musiała podpisać jakieś papiery, prawda?

Pochyliłem się nieco do przodu i zacisnąłem obie dłonie na kubku.

— Cóż, widzi pani, dlatego właśnie tutaj jestem, pani Sinclair. Wyłonił się pewien mały problem.

# Rozdział 31

Wysławiał się niczym agent ubezpieczeniowy, lecz zdaniem Nory, nie bardzo na niego wyglądał.

Przede wszystkim nie ubierał się aż tak fatalnie. Krawat pasował do garnituru, a garnitur był nawet modny w którymś momencie w ciągu ostatniej dekady.

Po drugie był całkiem miły. Nieliczni agenci ubezpieczeniowi, których wcześniej poznała, mieli w sobie tyle charyzmy, co kartonowe pudło. W gruncie rzeczy, kiedy mu się dokładniej przyjrzała, uznała, że Craig Reynolds jest atrakcyjnym mężczyzną. O miłej prezencji. I jeździł całkiem niezłym samochodem. Przecież pracował w Briarcliff Manor, a nie we wschodnim Bronksie. Trzeba było dostosować się do otoczenia, żeby zarządzać terenowym oddziałem dużej firmy ubezpieczeniowej w tej okolicy.

Mimo to zamierzała w dalszym ciągu mieć się na baczności.

Obserwując uważnie Craiga Reynoldsa, analizowała jego zachowanie, od pojawienia się aż do momentu, gdy zacisnął dłoń na kubku i oznajmił, że „wyłonił się mały problem” z polisą Connora.

— Jakiego rodzaju problem? — zapytała.

— W gruncie rzeczy nie sądzę, żeby można to było nazwać problemem. Rzecz w tym, że z powodu stosunkowo

młodego wieku pana Browna, postanowiono przeprowadzić dochodzenie.

— Kto postanowił?

— Centrala w Chicago. Do nich należy ostatnie słowo.

— Wy nie macie nic do powiedzenia?

— W tym przypadku niezbyt wiele. Jak już wspomniałem, polisę pana Browna wystawił nasz dział korporacyjny, nad którym pieczę sprawuje centrala. Natomiast obsługa klienta należy do tego oddziału, który jest terytorialnie najbliższy. A to oznacza, że mógłbym się wszystkim zająć, gdyby nie to, że toczy się dochodzenie.

— Skoro nie pan, to kto?

— Jeszcze mi nie powiedziano, ale gdybym miał zgadywać, to będzie facet o nazwisku John O'Hara.

— Zna go pan?

— Tylko ze słyszenia.

— Oho...

— Co?

— Mówiąc to, lekko się pan skrzywił.

— Nie, to nic takiego. O'Hara to zapewne, proszę mi wybaczyć wyrażenie, twardy zawodnik, ale tacy już są inspektorzy ubezpieczeniowi. Przypuszczam, że to powinno być rutynowe dochodzenie.

Kiedy Craig Reynolds sięgnął ponownie po kubek z kawą, Nora zauważyła coś jeszcze: nie miał na palcu ślubnej obrączki.

— Jak panu smakuje kawa? — zapytała.

— Smakuje jeszcze lepiej, niż pachnie — odparł.

Nora odchyliła się na krześle. Zakręciła już nieco wcześniej kranik z łzami, a teraz posłała Craigowi Reynoldsowi miły uśmiech. Sprawiał wrażenie opiekuńczego oraz życzliwego. Co ważniejsze, kiedy uśmiechnął się do niej w odpowiedzi, dostrzegła na jego policzkach urocze dołeczki. Szkoda, że był goły jak święty turecki.

Nie powinna się jednak skarżyć. W jej sytuacji agent

ubezpieczeniowy Craig Reynolds wart był milion dziewięćset tysięcy. Stanowiło to sumkę, którą nie mogła wzgardzić. Jedyńm minusem było to dochodzenie. Rutynowe czy nie, trochę ją denerwowało.

Ale bez przesady. Znakomicie wszystko zaplanowała i nikt nie powinien dobrać się jej do skóry. Dotyczyło to policji, koronera i tym bardziej firmy ubezpieczeniowej.

Mimo to kiedy Craig Reynolds wyszedł od niej po południu, uznała, że przez kilka następnych dni powinna stać się trudno dostępna. Zresztą i tak miała w ten weekend odwiedzić Jeffreya. Może pojedzie do niego dzień wcześniej i zrobi mu niespodziankę.

Przecież był jej mężem.

## Rozdział 32

Nazajutrz rano Nora wyszła z domu w Westchester, otworzyła bagażnik zaparkowanego przed nim mercedesa i wrzuciła tam walizkę. W telewizji obiecywali słońce, bezchmurne niebo i temperaturę sięgającą dwudziestu pięciu stopni. „Dzień jak na zamówienie”, jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe.

Nora wcisnęła przycisk na pilocie i patrzyła, jak dach mercedesa zaczyna się cicho unosić. A potem jej wzrok przyciągnął inny samochód. Co jest, do diabła?

Na wysadzonej strzelistymi klonami i dębami Central Avenue stało to samo bmw co wczoraj. A za kierownicą siedział w słonecznych okularach agent ubezpieczeniowy Craig Reynolds.

Co on tutaj znowu robi?

Istniał tylko jeden niezawodny sposób, żeby się tego dowiedzieć. Nora ruszyła prosto w stronę jego auta. Wydawał jej się taki przyjaźnie nastawiony podczas pierwszego spotkania. Ale teraz... teraz obserwował ją ze swojego samochodu. To było nieprzyjemne. Albo jeszcze gorzej, podejrzane. Dlatego właśnie doszła do wniosku, że nie powinna zbyt przesadnie reagować.

Craig zobaczył, że nadchodzi, wyskoczył szybko z auta i ruszył ku niej, ubrany w brązowy letni garnitur. Idąc, machał do niej przyjaźnie.

Spotkali się w pół drogi.

Nora przechyliła głowę i uśmiechnęła się.

— Gdybym nie wiedziała, że to nieprawda, pomyślałabym, że mnie pan śledzi...

— W takim przypadku wybrałbym chyba lepszą kryjówkę, nieprawdaż? — odparł, też się uśmiechając. — Przepraszam... odniosła pani mylne wrażenie. Właściwie może pani złożyć całą winę na Metsów.

— Na całą drużynę bejsbolową?

— Owszem, łącznie z głównym menedżerem. Już miałem zajeżdżać pod pani dom, kiedy Fan przerwała program, by podać, że klub ma dokonać dużego transferu z Houston. Zatrzymałem się więc, żeby posłuchać.

Spojrzała na niego pytająco.

— Fan?

— To stacja radiowa nadająca wyłącznie wiadomości sportowe.

— Rozumiem, więc wcale mnie pan nie szpiegował?

— Nie. Nie jestem Jamesem Bondem. Co najwyżej cierpiącym katusze fanem Metsów, który kupił sezonowy bilet na ich mecze.

Nora pokiwała głową. Uznała, że Craig Reynolds albo mówi prawdę, albo jest urodzonym kłamcą.

— Po co pan do mnie przyjechał? — zapytała.

— Prawdę mówiąc, mam dobre wiadomości. John O'Hara, ten facet z centrali, o którym pani mówiłem, zajął się dochodzeniem w sprawie śmierci pana Browna.

— Myślałam, że to wcale nie jest taka dobra wiadomość.

— Częściowo dobra. Rozmawiałem z nim dziś rano i powiedział, że jego zdaniem nie powinno być żadnych problemów.

— To świetnie.

— Mało tego, załatwi sprawę w trybie ekspresowym. Palnął mi mowę o tym, że nie należy nikogo faworyzować, ale poprosiłem, żeby zrobił to specjalnie dla mnie. Tak czy inaczej, pomyślałem sobie, że pewnie zechce pani to wiedzieć.

— Doceniam to, panie Reynolds. To miła niespodzianka.  
— Proszę mi mówić Craig.  
— W takim razie proszę mi mówić Nora.  
— Z przyjemnością. — Reynolds spojrzął na stojący na podjeździe czerwony kabriolet. — Wybierasz się na wycieczkę?

— Istotnie.  
— W jakieś ciekawe miejsce?  
— To zależy, co sądzisz o południowej Florydzie.  
— Powiadają, że miło ją odwiedzić, ale nie chciałbym tam głosować.

Nora zachichotała.

— Muszę to powtórzyć mojemu klientowi w Palm Beach. Choć może lepiej nie.

— W jakiej branży pracujesz... jeśli wolno zapytać?

— Jestem dekoratorką wnętrz.

— Naprawdę? To musi być zabawne. To znaczy, niewiele jest zawodów, w których można wydawać cudze pieniądze, prawda?

— Nie, chyba nie. — Nora spojrzała na zegarek. — Ojej, ktoś zaraz spóźni się na lotnisko.

— Moja wina. Oczywiście musisz jechać.

— No cóż, jeszcze raz dziękuję, że pan wpał, panie Rey... Craig. To miło z twojej strony.

— Nie ma sprawy, Noro. Dam ci znać, kiedy będę miał nowe informacje na temat toczącego się postępowania.

— Będę wdzięczna.

Uścisnęły sobie dłonie i Craig zbierał się, żeby odejść.

— Wiesz co? — powiedział nagle. — Przyszło mi do głowy, że skoro wyjeżdżasz, powinienem mieć chyba numer twojej komórki.

Nora wahała się przez ułamek sekundy. Podawanie numeru nie bardzo jej się uśmiechało, nie chciała jednak zrobić na agencje ubezpieczeniowym wrażenia nadmiernie podejrzliwej.

— Jasne — odparła. — Masz długopis?

## Rozdział 33

Wsiadłem do samochodu i od razu zadzwoniłem do Susan. Moje pierwsze dwa spotkania z Norą zasługiwały na to, żeby zdać z nich raport.

— Rzeczywiście jest taka ładna?

— To chcesz wiedzieć w pierwszej kolejności?

— Oczywiście — odparła Susan. — Ta dziewczyna nie mogłaby robić tego, co być może robi, gdyby faceci nie dostawali na jej widok oczopląsu. Więc jak?

— Czy można odpowiedzieć w profesjonalny sposób na takie pytanie?

— Można, jeśli zachowa się szczerść.

— No dobrze — odparłem. — Nora Sinclair jest bardzo atrakcyjną kobietą. Nie przesadzę chyba, jeśli powiem, że jest olśniewająca.

— Ty świntuchu.

Roześmiałem się.

— Jakie odniosłeś wrażenie, kiedy z nią rozmawiałeś? — zapytała.

— Za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Albo nie ma nic do ukrycia, albo jest urodzoną kłamczucha.

— Stawiam dziesięć dolców na to drugie.



— Zobaczymy, czy wygrasz.  
— Kiedy ty zajmujesz się sprawą, jestem pewna, że wygramy.  
— Jeśli mnie jeszcze raz pochwalisz, z radości podskoczę do sufitu.  
— Albo naprawdę mi pomożesz.  
— Aha, rozumiem. Instrukcja mówi, żeby zdobyć moje zaufanie.  
— Wierz mi, nie ma instrukcji, która mówiłaby, jak z tobą postępować. Gdzie teraz jesteś?  
— Przed domem świętej pamięci Connora Browna.  
— Zacząłeś już numer ze śledzeniem?  
— Tak.  
— Po jakim czasie cię zauważyła?  
— Po kilku minutach.  
— Metsi czy Jankesi?  
— Metsi — odparłem. — Transfer roku Steinbrennera. Tak przynajmniej się uważa, dopóki wygrywają.  
— Czy mogła o tym wiedzieć?  
— Nie, ale nigdy nie dość ostrożności.  
— Amen — dodała Susan. — Uwierzyła ci?  
— Z całą pewnością.  
— To dobrze. Widzisz, jesteś odpowiednim facetem do tego zadania.  
— Auu!  
— Co?  
— Uderzyłem głową w sufit.  
— Daj mi znać, jeśli coś się zdarzy.  
— Masz to jak w banku, szefowo.  
— Nie traktuj mnie protekcjonalnie.  
— To się już nie powtórzy, szefowo.  
Susan odłożyła słuchawkę.

## Rozdział 34

Coś nie dawało Norze spokoju. Po przejechaniu półtora kilometra, na wysokości pola golfowego Tramp National, wprowadziła mercedesa w poślizg i z piskiem opon zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni — kierownica obracała się niczym karuzela w jej rękach. Jeśli się pośpieszy, może uda jej się go dogonić.

W Craigu Reynoldsie było coś zabawnego.

I nie miało to nic wspólnego z jego poczuciem humoru.

Nora wcisnęła pedał gazu i wróciła do domu Connora tą samą trasą, którą pokonała wcześniej. Pędząc wąską, wysadzaną drzewami uliczką, wyprzedziła wlokące się volvo. Chwilę później starsza pani, wyprowadzająca na spacer cocker-spaniela, zmierzyła ją krytycznym wzrokiem.

Zawahała się. Czy nie wpada w paranoję? Czy ten pośpiech jest naprawdę konieczny? Dręczące ją podejrzenia okazały się silniejsze od głosu rozsądku. Wcisnęła jeszcze mocniej gaz. Była już prawie na miejscu.

A to co...?

Nora wdepnęła pedał hamulca.

Czarne bmw wciąż stało na Central Avenue. Craig Reynolds wcale nie odjechał.

Dlaczego? Co teraz robił?

Wrzuciła tylny bieg, cofnęła się kilkadziesiąt metrów i zatrzymała przy gęstych krzakach i sosnach. Bardzo się przydały, zasłaniając jej mercedesa i zapewniając jednocześnie widok na samochód Craiga Reynoldsa. Jednak z tej odległości widziała tylko niewyraźny zarys jego głowy. Zmrużyła oczy. Nie była na sto procent pewna, ale chyba rozmawiał przez komórkę.

Nie trwało to jednak długo. Po minucie tylne światła bmw zabłyśły na tle chmury dymu z tłumika. Agent ubezpieczeniowy odjeżdżał.

Nora nie miała pojęcia, dokąd się udaje, ale zamierzała się tego dowiedzieć. Zamiast zrobić niespodziankę Jeffreyowi, zajmie się czymś pożytecznym.

Zamierzała poznać prawdziwe oblicze Craiga Reynoldsa.

## Rozdział 35

Wiedziała, że nie może jechać za nim zbyt blisko. Reynolds znał jej samochód; śledzenie utrudniał również jaskrawoczerwony kolor mercedesa. Co za szkoda, że firma Mercedes Benz nie produkuje kabrioletów w zielonych barwach kamuflażowych.

Osiedle Briarcliff Manor    Rok zał.  
1902

Domyśliła się, że Craig zmierza do centrum miejscowości, zanim zobaczyła tablicę z jej nazwą. Na szczęście dla niej. Zatrzymując się przy kilku znakach stopu i przepuszczając sznur pojazdów zjeżdżających z drogi 9A, o mało nie straciła go z oczu. Wszędzie poza tą spokojną miejsciną najprawdopodobniej by go zgubiła.

Była tu już kilka razy z Connorem. Robociarskie maniere zderzały się z szykiem, bogactwo dorobkiewiczów z nędzą. Przy głównej ulicy, pomiędzy bankami i galeriami stały rustykalne latarnie. Tlenione staruszki dzieliły chodniki z wzorowymi matkami popychającymi najnowsze i możliwie największe dziecinne wózki. Włoska restauracja U Amalfiego, którą uwielbiał Craig, wypełniona była gośćmi spożywającymi lunch.

Znowu wydawało jej się, że zgubiła Craiga.

Oddechnęła z ulgą, dostrzegając czarne bmw, które daleko przed nią skręciło w lewo. Kiedy tam dojechała, Craig zdążył już zaparkować i właśnie wysiadał.

Nora natychmiast zatrzymała się przy krawężniku i obserwowała, jak agent znika w ceglany budynek. Domyśliła się, że to jego biuro.

Powoli podjechała bliżej i rzeczywiście — nad oknami pierwszego piętra widniał napis „Ubezpieczenia na Życie Centennial One”.

Można powiedzieć, że to dobry znak.

Nora zawróciła i zaparkowała mniej więcej czterdzieści metrów od wejścia. Na razie nieźle. Craig Reynolds wydawał się osobą, za którą się podawał. Nie była jednak do końca usatysfakcjonowana. Coś mówiło jej, że za tym kryje się jakaś tajemnica.

Nastawiając się na długie czekanie, obejrzała budynek: piętrowy, banalny biurowiec. Z całą pewnością niczym się nie wyróżniał. Nie była nawet pewna, czy zbudowano go z prawdziwych cegieł. Wyglądały na sztuczne, podobnie jak te cegło-podobne elewacje, które oglądała w telewizji.

Czekanie nie trwało długo. Po niespełna dwudziestu minutach Craig wyszedł z budynku i wszedł do samochodu. Nora wyprostowała się w fotelu i zaczęła, aż ruszy.

Dokąd teraz, agencie ubezpieczeniowy? Dokądkolwiek zmierzasz, nie jesteś sam.

## Rozdział 36

Zmierzał do restauracji Blue Ribbon, położonej kilka kilometrów na wschód od miasteczka, niedaleko autostrady Saw Mili River. Lokal miał w sobie coś z klasycznej starej knajpy. Kwadratowy klocek z chromowanymi akcentami i oknami ze wszystkich stron.

Nora zaparkowała z boku, stąd miała widok na frontowe drzwi. Zerknęła na zegarek — już dawno minęło południe.

Nie jadła śniadania i umierała z głodu. Sytuację pogarszała docierająca do niej woń z kuchennego wentylatora. Zapach hamburgerów i innej smażeniny sprawił, że wygrzebała z torebki rolkę miętowych dropsów.

Po jakichś czterdziestu minutach Craig wyszedł z restauracji. Na obserwującej go Norze wywarł teraz inne niż wcześniej wrażenie. Był atrakcyjnym mężczyzną i dobrze się prezentował. Miał w sobie jakiś spokój. Pewność siebie. Butę.

Zaczęła go dalej śledzić.

Craig załatwił kilka spraw i wrócił do biura. W ciągu tego popołudnia kilkanaście razy chciała dać sobie spokój i kilkanaście razy wyperswadowała to sobie, stercząc w odległości półtorej przecznicy od jego biura. Najbardziej ciekawiło ją to, co przyniesie noc. Czy Reynolds prowadzi życie towarzyskie? Czy się z kimś umawia? I gdzie mieszka?

Koło szóstej uzyskała odpowiedź na niektóre z tych pytań.

W Towarzystwie Ubezpieczeniowym Centennial One zgasty światła i Craig wyszedł z budynku. Nie udał się jednak do baru i nie czekała go kolacja przy świecach z dziewczyną. Przynajmniej nie tego wieczoru. Zamiast tego odebrał zamówioną pizzę i pojechał do domu.

W tym momencie Nora odkryła, że Craig Reynolds coś jednak ukrywa: nie był wcale tak dobrze sytuowany, za jakiego chciał uchodzić.

Sądząc po tym, jak mieszkał, wszystkie pieniądze poszły na samochód i garderobę. Apartament w Pleasantville mieścił się w zaniedbanym bloku pośród innych zaniedbanych bloków z czarnymi okiennicami i elewacjami z białego winyłu. Każde mieszkanko miało niewielkie patio albo balkon. Nie wyglądało to zbyt imponująco. Czyżby Craig płacił alimenty? Jak wyglądało jego życie osobiste?

Nora zastanawiała się, czy nie zaczekać chwilę przy osiedlu Ashford Court Garden. Może Craig miał jakieś plany, tyle że na później?

A może zaczynała świrować po całodziennym poście? Widok trzymanego przez Craiga pudełka z pizzą sprawił, że zaczęło jej znowu burczeć w brzuchu. Miętowe dropsy były odległym wspomnieniem. Najwyższa pora na obiad. Może przekąsi coś w Iron Horse w Pleasantville? Obiad w pojedynkę — jakie to dziwne.

Odjechała zadowolona, że zdecydowała się jednak śledzić Craiga. Wiedziała, że ludzie nie zawsze są tacy, za jakich chcą uchodzić. Wystarczyło jej spojrzeć w lustro, żeby się o tym przekonać. I to przypomniało jej kolejną życiową mantrę: lepiej ulec paranoi, niż potem żałować.

## Rozdział 37

W ogłoszeniu w „Westchester Journal” napisano, że z mieszkania rozciąga się malowniczy widok. Od frontu wychodziło na boczną uliczkę Pleasantville, od tyłu na rozległy parking oraz olbrzymi kontener na gruz.

W środku było jeszcze gorzej.

Podłoga z winylu. Fotel i kanapka ze sztucznej czarnej skóry. Jeśli bieżąca woda oraz elektryczność oznaczały zmodernizowaną kuchnię, to rzeczywiście taką miałem do dyspozycji. Jeśli nie, wątpiłem, by żółte blaty z formiki wróciły kiedyś do łask.

Przynajmniej piwo było zimne.

Położyłem pizzę na stole, wyjąłem butelkę z lodówki i klapnąłem na wyboistej kanapie pośrodku mojego „prze-stronnego” salonu. Dobrze, że nie cierpiałem na klaustrofobię.

Podniosłem słuchawkę telefonu i wystukałem numer. Nie miałem wątpliwości, że Susan nadal siedzi w biurze.

— Śledziła cię? — zapytała prosto z mostu.

— Przez cały dzień — odparłem.

— Widziała, jak wchodzisz do apartamentu?

— Tak.

— Czy nadal jest na zewnątrz?

W odpowiedzi głośno ziewnąłem.



— Czy to oznacza, że mam wstać z kanapy i zerknąć?

— Oczywiście, że nie — odparła. — Zabierz kanapę ze sobą.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Uwielbiałem kobiety, które

potrafią odplącić pięknym za nadobne.

W oknie przy kanapie wisały sfatygowane rolety spuszczone do samego dołu. Odsunąłem je ostrożnie z boku i zapuściłem żurawia.

— Hm — mruknąłem.

— Co jest?

Nora zaparkowała przecznicę dalej. Teraz jej samochód zniknął.

— Chyba już się naoglądała — powiedziałem.

— To dobrze. Uwierzyła ci.

— Uwierzyłaby mi również, gdybym miał porządniejsze mieszkanie. Może jakiś miły apartament w Chappaqua?

— Czy ktoś tu się skarży?

— To było tylko luźne spostrzeżenie.

— Nie rozumiesz. Dzięki temu, że tak marnie mieszkasz, uważa, że ma na ciebie haka — wyjaśniła Susan. — Fakt, że jeździsz drogim samochodem i ubierasz się ponad stan, czyni cię bardziej ludzkim.

— Nie wystarczy, że jestem po prostu miły?

— Nora też wydaje się miła, prawda?

— Owszem. Rzeczywiście jest miła.

— Koniec dyskusji.

— Wspomniałem ci o żółtych blatach z formiki?

— Daj spokój, nie może tam być aż tak źle.

— Łatwo ci mówić. Nie ty musisz tu mieszkać.

— To tylko tymczasowe lokum.

— Chwała Bogu. Tak naprawdę chyba tylko dlatego wybraliście to mieszkanie — powiedziałem. — Chcieliście, żebym się szybciej uwinął.

— Przyszła mi taka myśl do głowy.

— Nie przepuścisz żadnej okazji, prawda?

—Nigdy, jeśli się nadarza — odparła. — Mówiąc poważnie, dobrze się dziś spisałeś.

—Dziękuję.

Susan wydała rekapitulujące dzień westchnienie.

—W porządku, mamy to w protokole: Nora Sinclair śledziła Craiga Reynoldsa. I co teraz?

—To łatwe — odparłem. — Teraz moja kolej.

## Rozdział 38

W kabinie pierwszej klasy był tylko jeden wolny fotel. W innych okolicznościach Nora żałowałaby, że nie jest koło niej. Zwykle jednak nie miała za sąsiada tak sympatycznego mężczyzny. Z boku wyglądał trochę jak Brad Pitt, tyle że nie miał na palcu ślubnej obrączki i na ramieniu nie wisała mu Jennifer.

Podczas startu Nora, sama również bez obrączki, ukradkiem na niego zerknęła. Była przekonana, że on odwzajemnił jej się tym samym. To było oczywiste. Jaki mężczyzna by tego nie zrobił? Kiedy kapitan wyłączył światelko sygnalizujące konieczność zapięcia pasów, wiedziała, że facet zaraz do niej wystartuje.

— Ja też jestem układaczem — powiedział.

Odwróciła się nieśmiało, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie jest sama.

— Słucham?

— Tam, na tym stoliku do kawy — powiedział, uśmiechając się szeroko i wskazując gestem otwarty egzemplarz „Architectural Digest”. Na rozkładówce zamieszczone było zdjęcie przestronnego salonu. — Widzi pani, jak rozrzucone są na nim czasopisma? — dodał. — W gruncie rzeczy na tym świecie są tylko dwa rodzaje ludzi... układacze i rozrzucacze.

Do których się pani zalicza?

Nora spojrzała mu prosto w oczy. Jeśli chodzi o zagajenie, musiała mu przyznać kilka punktów za oryginalność.

— Cóż, to zależy. Kto chciałby wiedzieć?

— Ma pani absolutną rację. Nie można udzielać tego rodzaju informacji kompletnie obcej osobie. Nazywam się Brian Stewart.

— Nora Sinclair.

Stewart podał jej silną dłoń z wypielęgnowanymi paznokciami.

— Teraz, kiedy już się znamy, Noro, wydaje mi się, że jesteś mi winna odpowiedź.

— W takim przypadku na pewno sprawi ci przyjemność informacja, że jestem układaczką.

— Wiedziałem o tym.

— Naprawdę?

— Jasne. — Stewart pochylił się lekko do przodu. — Wydajesz się bardzo dobrze zorganizowana.

— To miał być komplement?

— W moim przekonaniu tak.

Uśmiechnęła się. Prawdziwy Brad Pitt może i był przystojniejszy, ale Brian Stewart wydawał się całkiem czarującym. Warto było kontynuować z nim rozmowę.

— Powiedz mi, Brian, co czeka cię dzisiaj w Bostonie? — zapytała.

— Tuzin inwestorów wysokiego ryzyka. A także pióro.

— Brzmi obiecująco. Domyślam się, że pióro przyda ci się do złożenia podpisu.

— Coś w tym rodzaju.

Nora oczekiwała, że Stewart powie coś więcej, lecz on milczał.

— Pomyśleć, że przyznałam się do tego, że jestem układaczką komuś, kto teraz wstydzi się zdradzić swoje sekrety — stwierdziła z uśmiechem.

Najwyraźniej ubawiony Stewart poprawił się w fotelu.

— Już drugi raz masz absolutną rację. No dobrze, w zeszłym roku sprzedałem firmę specjalizującą się w oprogramowaniu. Dziś po południu mam zamiar założyć nową. Nuda.

— Nie sędzę. Tak czy inaczej, gratuluję. A ci inwestorzy wysokiego ryzyka? Inwestują w ciebie?

— Po co korzystać z własnych pieniędzy, skoro inni mają ochotę wyłożyć swoje?

— Święta racja.

— A ty, Noro? Co czeka na ciebie dzisiaj w Bostonie?

— Klient — odparła. — Jestem dekoratorką wnętrz.

Stewart pokiwał głową.

— Twój klient mieszka w mieście?

— Owszem. Ale nie ten dom będę urządzić. Niedawno kupił willę na Kajmanach.

— Przepiękne miejsce.

— Jeszcze tam nie byłam, ale wkrótce to nadrobię — powiedziała, po czym otworzyła usta, jakby zamierzała coś dodać, lecz się rozmyśliła.

— Co chciałaś powiedzieć? — zapytał.

— Nie, naprawdę, to głupie — odparła.

— Mów śmiało, sam się przekonam.

— Rzecz w tym, że kiedy opowiedziałam o tym klientce jednej z moich przyjaciółek, odparła, że facet kupił sobie dom na Kajmanach, żeby mieć na oku pieniądze, które ukrywa tam przed urzędem skarbowym. — Nora potrząsnęła głową z przekonującą naiwnością. — Chodzi o to, że nie chciałabym zostać zamieszana w coś, co nie jest legalne.

Brian Stewart uśmiechnął się znacząco.

— To nie jest takie niekorzystne, jak ci się wydaje. Zdziwiłabyś się, ile osób ma konta za granicą.

— Naprawdę?

Stewart nachylił się bliżej. Jego twarz znalazła się kilka centymetrów od jej twarzy.

— Sam też nie jestem bez winy — szepnął i uniósł kieliszek z szampanem. — Niech to będzie nasz wspólny sekret, dobrze?

Nora uniosła swój kieliszek i stuknęli się. Brian Stewart był osobą, którą miała ochotę poznać bliżej.

— Za sekrety — oznajmiła

— Za ustawiaczy — odpowiedział.

## Rozdział 39

— Czego pan sobie życzy? — zapytała stewardesa.

Przyjrzałem się jej — zmęczonej, potwornie znudzonej, lecz mimo to starającej się być miłą. Dotarła do mnie w końcu wraz ze swoim wózkiem z napojami.

— Poproszę dietetyczną colę — powiedziałem.

— Och, przepraszam, skończyła się jakieś dziesięć rzędów temu.

— To może piwo imbirowe?

Omiotła spojrzeniem pootwierane puszki na blacie wózka.

— Hm — mruknęła. Pochyliła się i zaczęła wysuwać kolejne szuflady. — Przykro mi, ale piwa też nie ma.

— Może spróbujemy odwrotnie — powiedziałem, uśmiechając się z przymusem. — Co pani zostało?

— Lubi pan sok pomidorowy?

— Tylko z dużą ilością wódki i natką selera. Ma pani coś jeszcze?

— Mam jednego sprite'a.

— Nie, już go pani nie ma.

Zajął jej sekundę zrozumienie, że to moja wersja powiedzenia „Tak, proszę”. Nalała mi połowę puszki i wręczyła wraz z małą torebką precelków. Kiedy potoczyła wózek dalej, uniosłem plastikowy kubek. Bąbelki wyglądały w nim

zupełnie jak w szampanie, który prawdopodobnie Nora sączyła w pierwszej klasie.

Schrupałem precelka i spróbowałem poruszyć nogami. Pobożne życzenie. Przy opuszczonej tacy były zablokowane ze wszystkich stron. Kompletny zanik krążenia w dolnych kończynach był wyłącznie kwestią czasu.

No tak. W tym momencie uświadomiłem sobie, co jest motywem przewodnim tej misji. Była nim ciasnota.

Ciasne biuro, ciasny apartament, ciasny fotel, który zajmowałem w ostatnim rzędzie samolotu, dzięki czemu mogłem bez przeszkód wdychać zapachy dobiegające z ciasnej toalety.

Ale nie wszystko jeszcze stracone.

Śledzenie ludzi w samolocie jest o tyle korzystne, iż nie trzeba się martwić, że zwieją podczas lotu. Na wysokości ponad dziesięciu tysięcy metrów nikt nie wyniknie się bocznymi drzwiami.

Zerknąłem na wiszącą daleko z przodu błękitną zasłonę. Prawdopodobieństwo, że Nora będzie miała powód, aby przejść do tyłu i zmieszać się z plebem podróżującym klasą turystyczną, było bliskie zeru, ale i tak musiałem mieć się na baczności.

Wcześniej, na lotnisku Westchester, byłem pewien, że mnie spostrzegła. To znaczy, mogła mnie widzieć, ale z całą pewnością mnie nie rozpoznała. Miałem bejsbolową czapkę Red Soksów, ciemne okulary, dres oraz złoty łańcuch na szyi, a poza tym przykleiłem fałszywy wąsik. Jeśli dorzuci się do tego „Daily News”, które nigdy nie znajdowało się dalej aniżeli trzydzieści centymetrów od mojej twarzy, można powiedzieć, że zmonopolizowałem rynek incognito.

Nie, Nora nie zdawała sobie sprawy, że ma podczas lotu towarzystwo. Co do tego nie miałem wątpliwości. Pytaniem dnia było to, czego nie wiedziałem.

Co czeka nas w Bostonie?



## Rozdział 40

Podążałem za Norą i jej elegancką małą walizką na kółkach, zjeżdżając ruchomymi schodami i mijając stanowisko odbioru bagażu. Wyglądała jak zwykle dobrze, zarówno z przodu, jak i z tyłu. Miała ten swój fascynujący chód oraz wspaniały uśmiech, kiedy tylko mógł okazać się potrzebny. Ani razu nie spojrzała na znaki informujące, w którą stronę iść. Można było z dużą dozą pewności stwierdzić, że nie po raz pierwszy znalazła się na lotnisku Logan.

Wyszła na zewnątrz, zatrzymała się i zaczęła rozglądać dookoła. Po kilku minutach stało się jasne, czego szukała.

Nie chodziło o taksówkę ani o samochód przyjaciela, lecz o autobus, który kursował do wypożyczalni samochodów Avis.

Kiedy tylko do niego wskoczyła, pognałem w stronę postoju taksówek.

— Niech pan mnie zawiezie do Avis — warknąłem, wpatrując się w tył głowy kierowcy.

Odwrócił się: zasuszony typ z fizjonomią, na której nanesiona była mapa drogowa zmarszczek i bruzd.

— Co?

— Niech pan...

—Dobrze cię słyszę, przyjacielu. Rzecz w tym, że kursuje tam wahadłowy autobus.

—Nie mam ochoty czekać.

—Ja też — odparł, celując palcem w tylne okno. — Wiesz tę kolejkę taksówek? Nie po to w niej sterczałem, żeby zarobić trzy dolce.

Spojrzałem przed siebie. Autobus Nory coraz bardziej się oddalał.

—Dobra, niech pan powie ile.

—Trzydzieści baksów. To moja ostatnia cena.

—Dwadzieścia.

—Dwadzieścia pięć.

—Umowa stoi. Niech pan jedzie.

# Rozdział 41

Facet ruszył pośpiesznie, a ja wyciągnąłem komórkę. Miałem w niej numery wszystkich linii lotniczych, sieci hotelowych oraz wypożyczalni samochodów. Na tym polega moja praca.

Zadzwoniłem do Avisa. Po trwającym mniej więcej minutę dialogu z automatem zostałem połączony z agentką.

— Kiedy będzie pan potrzebował samochodu? — zapytała.

— Za pięć minut. Może wcześniej.

— Och...

Obiecała, że zrobi, co może. Na wypadek, gdyby jej się nie udało, uprzedziłem taksówkarza, że być może będzie musiał poświęcić mi trochę więcej swojego cennego czasu. Na szczęście nie okazało się to konieczne.

Kierowca autobusu Nory miał lekką stopę. Autobus telepał się tak wolno, że zanim dotarliśmy na parking, udało się go wyprzedzić. Kiedy Nora wsiadła do srebrzystego kabrioletu Chrysler Sebring, ja siedziałem już za kierownicą minivana. Zgadza się, minivana. Komu przyjdzie do głowy, że jest śledzony przez osobę prowadzącą taki wóz?

Mimo to starałem się utrzymywać między nami rozsądny dystans. Przynajmniej do momentu, kiedy Nora dała jasno do zrozumienia, że nie jest kierowcą autobusu. Bardziej przypominała kierowcę formuły pierwszej.

Im mocniej przyciskałem gaz, tym ona szybciej jechała. Zamiast pomykać niepostrzeżenie za innymi samochodami, byłem zmuszony je wyprzedzać. To tyle jeśli chodzi o moje-  
go nie rzucającego się w oczy minivana.

Cholera!

Czerwone światła! Przejechałem już jedno wcześniej, ale te były na skrzyżowaniu. Nora przeskoczyła, ja nie zdąży-  
łem.

Jej samochód zniknął na horyzoncie, a ja mogłem tylko czekać i kląć. Na myśl, że przejechałem taki kawał drogi, żeby ją teraz zgubić, przewracały się we mnie flaki.

Zielone światło!

Wcisnąłem jednocześnie gaz i klakson i pomknąłem z pi-  
skiem opon do przodu. Zabawa zmieniła się w „dogoń mnie”  
i wszystko wskazywało na to, że ją przegram. Zerknąłem na  
szybkościomierz. Prawie sto, ponad sto, sto dwadzieścia  
kilometrów na godzinę.

Mam ją! Zobaczyłem jej samochód przed sobą. Ode-  
tchnąłem z ulgą i starałem się zmniejszyć dzielący nas dy-  
stans. Miałem do dyspozycji dwa pasy, a ruch na drodze mi  
sprzyjał. Mogłem się przybliżyć i oddalać tak, by Nora mnie  
nie zauważyła. Sytuacja się poprawiła.

Niestety, nie na długo.

## Rozdział 42

Gdybym zerknął w górę, zobaczyłbym znak informujący, że autostrada się rozwidła. Niestety, w tym momencie wbijałem właśnie wzrok w wielką dostawczą ciężarówkę z materacami, szykując się do jej wyprzedzenia.

Fatalna decyzja.

Wciskając gaz do dechy, zjechałem na sąsiedni pas. Ciężarówka zasłoniła mi kabriolet Nory. Sunąc wzdłuż jej boku, wykręcałem szyję, żeby zobaczyć, gdzie się podział.

Zobaczyłem jednak coś innego. Wielkie, jaskrawożółte beczki! Takie, do których nalewają wody i stawiają przed betonowymi zaporami, żeby kierowcy zamiast wielkiego bęc zrobili wielkie chlup.

Spojrzałem na ciężarówkę. Pędziliśmy łeb w łeb, kierowca spoglądał na mnie z góry.

Zerknąłem na wielkie żółte beczki. Zbliżały się, i to szybko.

Pasy rozdzielały się. Ja byłem na lewym, Nora na prawym. Musiałem wrócić na swój.

Cholerna ciężarówka!

Kiedy chciałem ją wyprzedzić, kierowca przyspieszył. Zatrąbiłem i wcisnąłem jeszcze mocniej gaz.

Nora minęła żółte beczki i pomknęła na prawo.

Tymczasem ja ugrzęzłem na lewym pasie i kończyła mi się droga.

Niech to szlag!

Wcisnąłem hamulec. Skoro nie mogłem wyprzedzić ciężarówki, przepuszczę ją i wślizgnę się z tyłu. Cały ważący dwie tony minivan zatrząśł się dziko, a ja zobaczyłem, że ciężarówka z materacami zaczyna skręcać. I wtedy zdałem sobie sprawę, że facet chce wjechać na mój pas.

Serce waliło mi tak mocno, że nie słyszałem pisku opon ani trąbienia jadących za mną samochodów. Minivan pocałował tył dziesięcotonowej ciężarówki i metal zazgrzytał o metal.

Poleciały iskry. Straciłem kontrolę nad kierownicą, wpadłem w poślizg i o mało nie dachowałem.

Dachowałbym, gdyby nie pewien szczegół.

Chlup!

Poduszka powietrzna walnęła mnie w twarz, reszty dokonały żółte becзки. Paskudnie mnie bolało, ale wiedziałem, że i tak miałem cholernie dużo szczęścia.

Kiedy wygramoliłem się z minivana, inne samochody już ruszały. Wszędzie była woda, całe kałuże, poza tym jednak nic nikomu się nie stało, co najwyżej skończyło się, jak w moim przypadku, na kilku zadrapaniach.

Co za idiota! Byłem na siebie wściekły. W końcu wziąłem się w garść i zatelefonowałem.

— Zgubiłem ją — zakomunikowałem.

— Co?! — warknęła Susan.

— Powiedziałem, że...

— Słyszałam, co powiedziałeś. Jak mogłeś ją zgubić?

— Miałem wypadek.

W jej głosie natychmiast zabrzmiała troska.

— Nic ci się nie stało?

— Nie, nic mi nie jest...

W takim razie:

— Jak, do diabła, mogłeś ją zgubić?  
— Ta kobieta jeździ jak wariatka.  
— A ty niby nie?  
— Mówię serio, powinnaś ją zobaczyć.  
— Ja też mówię serio — odrzekła ostro. — Nie wolno ci było jej zgubić.

Starąłem się zachować spokój, ale Susan nie ułatwiała mi zadania. Kusiło mnie, żeby na jej gniew odpowiedzieć własnym gniewem, zdawałem sobie jednak sprawę, że lepiej będzie posypać głowę popiołem.

— Masz rację — przyznałem. — Zawaliłem sprawę.  
To ją trochę uspokoiło.

— Myślisz, że mogła cię zobaczyć?

— Nie. To nie było tak, że próbowała mnie zgubić. Ta kobieta bardzo szybko jeździ.

— Jak duży wzięła bagaż?

— Małą walizkę na kółkach. Zabrała ją ze sobą.

— No dobrze. Postaraj się zminimalizować straty i wracaj do Nowego Jorku. Dokądkolwiek pojechała, można z dużą dozą pewności założyć, że wkrótce pojawi się znowu w domu Connora Browna.

Uznałem, że dobrym pomysłem będzie zmiana tematu.

— Czy dostaliśmy już zgodę na ekshumację? — zapytałem.

— Tak, mamy zielone światło. Wkrótce powinniśmy otrzymać dokumenty — odparła. — Dam ci znać.

Pożegnałem się i na tym powinniśmy skończyć. Nie należało jednak zapominać, że rozmawiam z Susan. Na wypadek, gdybym nie domyślił się, jak bardzo ją zawiodłem, wbiła mi jeszcze jedną szpilę.

— Wracaj bezpiecznie do domu — powiedziała. — I postaraj się nic już dzisiaj nie spieprzyć.

Usłyszałem, jak się rozłącza, i pokiwałem powoli głową. A potem zacząłem chodzić w kółko, żeby wypalił się mój gniew. On jednak wcale się nie wypalał. Im dłużej krążyłem, tym bardziej się wściekałem. Przez moje ciało przepływała

negatywna energia i zanim się zorientowałem, cała skumulowała się w pięści.

**Brzdęk!**

Tak oto wynajęty minivan stracił jedną szybę.



## Rozdział 43

Nora spojrzała ponownie we wsteczne lusterko. Coś tam się wydarzyło, może doszło do wypadku.

Cokolwiek to było, miała pewność, że to czysty zbieg okoliczności i że nie ma nic wspólnego z niepokojem, który ogarnął ją, kiedy wyjeżdżała z parkingu Avisy, i który mówił „nie jesteś sama”.

Teraz, kiedy znalazła się w samym sercu Back Bay, to uczucie się ulotniło.

Samochody na Commonwealth Avenue na przemian wlokły się albo stały w korku. Na Newbury Street odbywała się demonstracja i wszystkie okoliczne ulice płaciły za to cenę. Nora musiała zrobić trzy kółka, zanim w końcu znalazła wolne miejsce.

Obrączkę założyła już w autobusie jadącym z lotniska. Przejrzała się jak zwykle w lusterku i stwierdziła, że jest gotowa do wyjścia. Wyjęła z bagażnika walizkę i opuściła dach. Pora na przedstawienie, kotku.

Kiedy weszła do środka, Jeffrey jak zwykle pracował. Już dawno zdała sobie sprawę, że istnieją tylko trzy rzeczy, które mogą oderwać go od pisania: jedzenie, sen i seks, chociaż niekoniecznie w tej kolejności.

Zamiast go zawołać, ruszyła cicho w głąb domu. Skoncentrowany i wsłuchany w sączącą się z głośników muzykę, nie powinien jej w ogóle usłyszeć.

Otworzyła drzwi za pokojem kredensowym i wyszła na niewielkie patio. Wysokie, obrośnięte bluszczem kratownice oraz inne strategicznie zasadzone rośliny zapewniały temu miejscu całkowitą prywatność.

Przygotowanie się zajęło jej tylko minutę. Rozparłszy się na wyściełanym poduszkami wiklinowym szezlongu, wyciągnęła komórkę i wybrała numer.

Po kilku sekundach usłyszała dzwoniący w domu telefon.

Jeffrey podniósł w końcu słuchawkę.

— To ja, skarbie — powiedziała.

— Och, nie waż się mówić, że nie przyjedziesz.

Nora roześmiała się.

— Już nie mogę nie przyjechać.

— Chwileczkę, gdzie jesteś?

— Wyrzyj.

Podniosła głowę, kiedy Jeffrey pojawił się w oknie biblioteki. Zrobił niedowierzającą minę, a potem zaczął się śmiać. Słyszała to wyraźnie przez telefon.

— O rany... — wyjąkał.

Nora leżała na szezlongu całkiem naga, wyłącznie w lekkich sandałkach.

— Widzisz coś, co ci się podoba? — zamruczała do słuchawki.

— Szczerze mówiąc, widzę mnóstwo rzeczy, które mi się podobają. Nie widzę ani jednej, która by mi się nie podobała.

— To dobrze. Nie zrób sobie krzywdy, kiedy będziesz zbiegał po schodach.

— Ktoś tu wspominał coś o schodach?

Jeffrey otworzył okno, wyszedł na parapet i zjechał na dół po miedzianej rynnie. Wszystko to było w bardzo sportowym stylu. Ku radości Nory.

Chwilę później pobity został światowy rekord w męskim rozbieraniu się na czas. Jeffrey powoli przysunął się do niej na szezlongu, wbił dłoń pod poduszki i objął ją muskularnymi ramionami. Kiedy już oderwało się go od komputera, był bardzo seksownym mężczyzną.

Nora zamknęła oczy. Nie otwierała ich przez cały czas, kiedy się kochali. Chciała poczuć coś do Jeffreya. Cokolwiek. Ale czuła tylko pustkę.

Daj spokój, Noro. Wiesz, co trzeba zrobić. Przerabiałaś to już wcześniej.

Głos w jej głowie nie brzmiał już jak głos starego przyjaciela. Bardziej przypominał nieproszonego gościa, kogoś, kogo prawie nie znała. Próbowwała go ignorować. Nic to nie dało. Głos stał się jeszcze bardziej nagły. Natarczywy. Władczy.

Jeffrey osiągnął orgazm i zdyszany zsunął się z niej.

— Co za niesamowita niespodzianka. Jesteś wspaniała — wyszeptał.

Zapytaj go, czy nie jest głodny.

Miała ochotę zaprotestować, kazać wewnętrznemu głosowi, żeby się przymknął. Jednak byłaby to tylko strata czasu. Mogła go uciszyć wyłącznie w jeden sposób.

Wiedziała o tym. Wstała bez słowa z szezlonga.

— Dokąd idziesz? — zapytał Jeffrey.

Nora szła już w stronę domu.

— Do kuchni — rzuciła przez ramię. — Zobaczę, co mogę zrobić na kolację. Mam ochotę coś ci ugotować.

## Rozdział 44

O bracie... co robić, co robić? Jak na razie wszystko szło fatalnie.

Turysta siedział w małym obskurnym pokoiku z kolejnym heinekenem w ręku. Wypił już wcześniej cztery puszki. A może pięć? W tym momencie ich dokładna liczba nie wydawała się szczególnie ważna. Podobnie jak oglądany w telewizji mecz Jankesów. Lub stygnąca przed nim na stole pizza z pepperoni i cebulą.

W laptopie miał materiały prasowe na temat strzelaniny w Nowym Jorku. Co najmniej kilkanaście artykułów o „Ulicznej batalii”. Wokół zdarzenia narosło wiele spekulacji, które specjalnie nie zaskoczyły Turysty. Zostawił po sobie masę pytań, na które nie znano odpowiedzi. Dużo atramentu wylano, by przedstawić różne hipotezy — niektóre z nich nawet prawdopodobne, inne księżycowe. Trafnie reasumowała to krótka notatka dołączona do artykułów. „W mieście zaczął się cyrk. Zachowaj spokój, Turysto. Skontaktujemy się z tobą”.

Uśmiechnął się i jeszcze raz przeczytał sprzeczne zeznania naocznych świadków. „Jak to możliwe — dziwił się felietonista z »Newsa« — że ludzie, którzy znajdowali się w odległości sześciu metrów, zapamiętali w tak różny sposób to samo wydarzenie?”.

— Rzeczywiście, jak to możliwe? — powiedział na głos Turysta, po czym odchylił się w fotelu i położył stopy na stole.

Był pewien, że jego tożsamość nie zostanie ujawniona. Podjął niezbędne środki ostrożności, zatarł za sobą ślady. Zniknął niczym duch.

Niepokoiliła go tylko jedna rzecz, i to dość mocno.

Czego dotyczyła lista, którą skopiował z Flash Drive'u? Te wszystkie zagraniczne konta?

Jeden przecinek cztery.

Miliarda.

Co to za afera?

I czy była warta życia biednego szmondaka nieopodal Grand Central?

Najwyraźniej była.

Czy może być warta jeszcze czyjegoś życia?

Na przykład jego?

Zdecydowanie nie.

Czy to fragment szerszego obrazu, który w swoim czasie się wyłoni?

Kto to może wiedzieć... ale z pewnością miał taką nadzieję.

## Rozdział 45

Jeffrey zerknął na Norę ponad palącymi się na stole świeczkami.

— Na pewno ci się tutaj podoba? — zapytał.

— Oczywiście — odparła.

— Wydawałaś się trochę zdeprimowana, kiedy zaproponowałem, że zamiast zjeść w domu, wyjdziemy na miasto.

— Nie bądź głuptasem. Tu jest wspaniale.

Nora usiłowała dostosować język ciała do wypowiedzianych słów. Wymagało to nie lada umiejętności aktorskich. W tym momencie powinna być w jego domu i przyrządzać mu ostatni posiłek. Podjęła już decyzję.

Tymczasem znaleźli się w ulubionej knajpie Jeffreya. Nora nigdy jeszcze nie była tak spięta. Czuła się jak koń stojący w bramce startowej, która za nic nie chce się otworzyć.

— Uwielbiam ten lokal — stwierdził Jeffrey, rozglądając się dookoła.

Siedzieli w restauracji La Primavera w North End w Bostonie. Wystrój był prosty i elegancki: lniane obrusy, lśniąca zastawa, miękkie światło. Kiedy zajęli miejsca, obsługa podała zwyczajną wodę zamiast butelkowanej. Szczerze mówiąc, Norze było wszystko jedno.

Jeffrey jadł osso bucco, Nora risotto z grzybkami porcini. Ale nie miała wcale apetytu. Pili poggioarelllo chianti classico, rocznik 1994. Wino było tym, czego potrzebowała. Kiedy uprzątnięto talerze, Nora skierowała rozmowę na temat przyszłego weekendu. Nie dawała jej spokoju ta niedokończona sprawa.

— Zapomniałaś, kochanie — zwrócił jej uwagę Jeffrey.  
— Przecież wyjeżdżam. Na te targi książki w Wirginii.

— Masz rację, wyleciało mi to z głowy. — Miała ochotę krzyknąć. — Nie potrafię uwierzyć, że pozwalam ci spoufalać się z setkami czytelniczek szalejących na twoim punkcie.

Jeffrey skrzyżował ręce na piersi i pochylił się nad stołem.

— Dużo ostatnio myślałem — oznajmił. — O tym, jak traktujemy nasze małżeństwo. A właściwie, jak ja je traktowałem. Trzymając je w tajemnicy. Wydaje mi się, że byłem wobec ciebie nieuczciwy.

— Uważasz, że spędza mi to sen z powiek? Dlatego, że...

— Nie, byłaś bardzo wyrozumiała. Dlatego gnębiły mnie jeszcze większe wyrzuty sumienia. Chodzi o to, że mam najwspanialszą żonę pod słońcem. Czas, by dowiedział się o tym cały świat.

Nora uśmiechnęła się tak jak powinna, lecz w jej głowie zapaliły się ostrzegawcze światełka.

— A co z twoimi czytelniczkami? — zapytała. — Z tymi wszystkimi paniami, które w przyszłym tygodniu chcą zobaczyć w Wirginii jednego z najbardziej pożądanych i seksownych, oczywiście zdaniem magazynu „People”, kawalerów do wzięcia?

— Pieprzę je.

— Taką właśnie mają nadzieję, skarbie — zauważyła Nora.

Jeffrey ujął jej dłonie i ścisnął w swoich.

— Byłaś wyrozumiała, a ja niesamowicie samolubny. Koniec z tym.

Nora wyczuła, że nie zdoła mu tego wyperswadować.

Przynajmniej nie w tej chwili. Był typowym facetem. Kiedy wbił już sobie do głowy, co jest dla niej najlepsze, nie sposób było go przekonać, że jest inaczej.

— Wiesz co? — powiedziała. — Jedź na te targi książki, oczaruj czytelniczki swoim wdziękiem i erudycją i porozmawiamy o tym, kiedy wrócisz.

— Jasne — odparł tonem, który sugerował coś zupełnie innego. — Jest tylko jeden mały szkopuł.

— Jaki? — zapytała. Chciał się jej ponownie oświadczyć w środku tej zatłoczonej restauracji?

— Udzieliłem wczoraj wywiadu dziennikarce z „New York Magazine”. Odkryłem karty i powiedziałem jej o tobie. O naszym ślubie w Cuernavaca. Powinnaś była ją widzieć, nie mogła się doczekać, żeby umieścić tę wiadomość w artykule. Zapytała, czy ktoś z redakcji nie mógłby zrobić nam obojgu kilku zdjęć. Odparłem, że nie widzę przeszkód.

Wreszcie twarz Nory wyrażała jakieś uczucia.

— Tak powiedziałaś?

— Tak — odparł, ściskając mocniej jej dłoń. — To chyba żaden problem?

— Nie, skądże.

To nie jest problem, pomyślała. To jest totalna katastrofa.



## Rozdział 46

Nazajutrz po południu wróciła do Nowego Jorku. Brakowało jej apartamentu na Manhattanie, jego ciszy i komfortu, rzeczy, które kupowała sobie od lat. Tęskniła do tego, co uważała za swoje prawdziwe życie.

Biorąc kąpiel, wysłuchiwała wiadomości nagranych podczas jej nieobecności. Regularnie je sprawdzała. Były cztery nowe. Pierwsze trzy od rozkapryszonych klientek. Ostatnia od Briana Stewarta, jej towarzysza podróży do Bostonu, podobnego do Brada Pitta.

Wiadomość była krótka i słodka, taka, jakie lubiła. Brian powiedział, jak bardzo się cieszy, że mógł ją poznać, i jak bardzo chciałby się z nią spotkać.

— Powiniennem być z powrotem pod koniec tygodnia i z miłą chęcią wypuściłbym się z tobą na miasto. Czeka nas dobra zabawa, obiecuję.

Skoro nalesz, Brian.

Po gorącej kąpeli zamówiła chińszczyznę i zabrała się do sortowania poczty. Przed końcem wiadomości o jedenastej spała już na kanapie niczym niemowlę. Przespała smacznie całą noc.

Nazajutrz przed południem zajrzała do Hargrove & Sons w Upper East Side. Uważała ten sklep za graciarnię — wielu

sprzedawców było starszych od antyków, którymi handlowali — lecz jej klient, producent filmowy Dale Minton, bardzo lubił to miejsce i koniecznie chciał się tam z nią spotkać.

Przez kilka minut myszkowała sama po sklepie. Minąwszy kolejną sofę w szkocką kratę, poczuła nagle, jak ktoś klepie ją po ramieniu.

— To ty, Olivio?

Stał przed nią podekscytowany Steven Keppler — fatalnie uczesany, urzędujący w śródmieściu adwokat podatkowy w średnim wieku.

— Oo... cześć — przywitała się Nora. Przerzuciwszy w głowie kartki wizytownika, znalazła szybko jego imię. — Jak się masz, Steven?

— Świetnie, Olivio. Wołałem cię. Nie słyszałaś?

Nora wcale się tym nie stropiła.

— Och, to dla mnie typowe. Kiedy robię zakupy, nie słyszę, co się wokół mnie dzieje.

Steven roześmiał się i nie drażył dłużej tematu. Kiedy zaczął rozwodzić się nad tym, jaki to cudowny zbieg okoliczności, Nora przypominała sobie o skłonności adwokata do wgapienia się. Jak mogła o tym zapomnieć? I rzeczywiście, jego oczy zaczęły się wkrótce ślinić. Czy oczy mogą się ślinić? Oczywiście Kepplera z całą pewnością. Nora nie spuszczała wzroku z drzwi wejściowych, wypatrując Dale'a. Groziła jej katastrofa.

— Robisz zakupy dla siebie czy dla klienta, Olivio? — chciał wiedzieć Steven.

W tym momencie zobaczyła Dale'a Mintona. Wkroczył przez frontowe drzwi, jakby należał do niego cały sklep. Gdyby zechciał, z pewnością mógłby go kupić.

— O, właśnie wszedł — odparła.

Starła się nie wpadać w panikę, lecz robiło jej się słabo na myśl, że Dale zawoła ją po imieniu w obecności Kepplera.

— Pozwolę ci zająć się klientem — oznajmił Steven. — Obiecuję tylko, że będę mógł cię zaprosić na kolację.

Facet najwyraźniej umiał korzystać z okazji. Wiedział, podobnie jak ona, że szybszą odpowiedzią jest odpowiedź twierdząca. Odmowna wymagałaby dłuższych tłumaczeń.

— Dobrze — odparła Nora. — Z miłą chęcią. Zadzwoń do mnie.

— Zadzwonię. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam na wakacje, ale po powrocie nie omieszkam przypomnieć ci o obietnicy.

Kiedy odwrócił się, żeby odejść, Dale był w odległości metra. Sądziła już, że zdołała się wykaraskać, kiedy nagle...

— Miło było cię zobaczyć, Olivio! — zawołał głośno Steven.

Nora uśmiechnęła się do niego słabo i zerknęła na Dale'a, który zrobił zdziwioną minę.

— Czy ten facet nie nazwał cię przed chwilą Olivia? — zapytał.

Nora zaczęła się modlić do bogini szybkiego refleksu, która, na szczęście, okazała się łaskawa.

— Spotkałam go na przyjęciu przed kilkoma miesiącami — szepnęła, nachylając się do producenta. — Przedstawiłam się jako Olivia... z oczywistych względów.

Dale pokiwał głową, najwyraźniej usatysfakcjonowany, i Nora uśmiechnęła się. Jej dwa życia pozostały bezpiecznie rozdzielone.

Przynajmniej na razie.

## Rozdział 47

Krążąca pomiędzy starymi meblami blondynka miała oczy osłonięte ciemnymi okularami. Bawiła się w detektywa i, prawdę mówiąc, czuła się trochę śmiesznie. Musiała jednak obserwować Norę Sinclair.

Wszędzie poza Nowym Jorkiem rzucałyby się w oczy. Ale była na Manhattanie, w Upper East Side. Tutaj świetnie wtapiała się w otoczenie. Kolejna klientka oglądająca antyki w Hargrove & Sons.

Przystanąła przed dębowym wieszakiem z błyszczącymi mosiężnymi okuciami i udała, że spogląda na cenę. Jej oczy i uszy skoncentrowane były na Norze.

A może na Olivii Sinclair?

Nie wiedziała, co ma sądzić o wymianie zdań z łysiejącym facetem. Każdy, kto używa dwóch imion, ma prawdopodobnie coś na sumieniu.

Obserwowała dalej Norę, której towarzyszył teraz starszy mężczyzna. Zachowując ostrożność, oddaliła się kilka razy od rozmawiającej pary, lecz i tak udało jej się sporo podsłuchać.

Starszy mężczyzna okazał się klientem. A zatem Nora jest rzeczywiście dekoratorką wnętrz. Jej uwagi, sugestie i żargon zdecydowanie świadczyły o tym, że wie, o czym mówi.

Zawód Nory nigdy nie budził większych wątpliwości.

Problematyczne było jej życie osobiste. Jej tajemnice. Na razie jednak nie było żadnych dowodów na to, że je ma. Dlatego blondynka postanowiła poszukać ich sama.

— Przepraszam, czy mogę pani w czymś pomóc? Blondynka odwróciła się i ujrzała przed sobą starszego sprzedawcę. Miał na sobie tweedową marynarkę, muszkę oraz okulary w metalowych oprawkach, które wydawały się tak samo stare jak on.

— Nie, dziękuję — odparła prawie szeptem. — Tylko się rozglądam, ale nie widzę niczego, co by mi się podobało.

## Rozdział 48

Po tym, jak w sobotę zgubiłem Norę w Bostonie, resztę weekendu można było określić dwoma słowami. Do dupy.

Wybicie szyby w wynajętym samochodzie plasowało się całkiem wysoko na liście moich spontanicznych idiotyzmów. Na szczęście nie złamałem sobie ręki, co wykazały przeprowadzone przeze mnie naprędce oględziny. Wyjątkowo drobiazgowo, polegały w zasadzie na zadaniu sobie jednego pytania: Czy możesz nadal poruszać palcami, ty głupcze?

Kiedy zaświtał poniedziałkowy ranek, podjechałem pod dom Connora Browna, żeby sprawdzić, czy Nora wróciła. Nie było jej. Późnym popołudniem, po odbyciu z takim samym rezultatem tej samej podróży, uznałem, że nadeszła pora, by zadzwonić do niej na komórkę.

Wyjąłem notes, w którym zapisałem numer Nory, i zatelefonowałem do niej z samochodu.

Odebrał jakiś mężczyzna.

— Przepraszam, chyba pomyliłem numer — powiedziałem. — Próbuję skontaktować się z Norą Sinclair.

Nie znał nikogo o takim nazwisku.

Rozłączyłem się i porównałem zapisany w notesie numer z tym, który pojawił się w okienku wykonanych rozmów.

Numer, który wstukałem, był zdecydowanie prawidłowy. Rzecz w tym, że nie należał do Nory.

Hm.

Przez chwilę wpatrywałem się w kierownicę, a potem chwyciłem telefon i ponownie zadzwoniłem. Tym razem w słuchawce odezwał się sympatyczny kobiecy głos.

— Dzień dobry, tu Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie Centennial One.

— Jesteś bardzo przekonująca, Molly — powiedziałem.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Gdybym nie znał cię lepiej, pomyślałbym, że masz w ręku pilniczek do paznokci.

Molly była moją nową recepcjonistką. Po tym, jak Nora śledziła mnie w drodze do pracy, uznano, że „oddział terenowy” nie może być już dłużej prowadzony przez jedną osobę.

— Możesz mi wyświadczyć przysługę? — zapytałem. — Sprawdź, jaki jest numer komórki Nory.

— Mamy przecież jej numer w aktach...

— Możliwe, ale chcę się upewnić, czy go ostatnio nie zmieniła.

— Dobrze. Daj mi dziesięć minut.

— Daję ci pięć.

— Tak traktujesz swoją nową recepcjonistkę?

— Masz rację — odparłem. — Zrób to w cztery minuty.

— To nie fair.

— Tik-tak, tik-tak...

Molly skończyła szkołę dopiero przed dwoma laty. Choć zaniem Susan była nadal zielona i czasami błędnie oceniała sytuację, udowodniła, że szybko się uczy. Nie zdziwiłem się zatem, kiedy zadzwoniła do mnie po trzech minutach.

— Numer jest nadal ten sam — powiedziała, po czym go wymieniła. Porównałem go z numerem, który dała mi Nora.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Różniły się tylko dwiema ostatnimi cyframi. Zostały przestawione.

Ciekawe.

Może to ja błędnie je zapisałem. A może Nora chciała, żebym doszedł do takiego wniosku? Albo przynajmniej dopuścił taką możliwość.

— Coś jeszcze? — zapytała Molly.

— Nie, niczego mi nie trzeba. Dzięki.

Pożegnałem się, odłożyłem komórkę i ponownie wziąłem do ręki notes. Celowo lub nie Norze znowu udało się przede mną umknąć. I co teraz?

Nauczyłem się już wcześniej, wykonując mój zawód, że istnieje niekiedy różnica między informacją, którą się dysponuje, a informacją, której można użyć. Tak właśnie było w tym przypadku. Miałem numer telefonu Nory, ale musiałem się zachowywać tak, jakbym go nie miał.

Napisałem poobijaną ręką liścik i zostawiłem go przy frontowych drzwiach Connora Browna. Byłem raczej pewien, że Nora go znajdzie. Pytanie tylko kiedy.



## Rozdział 49

Pod koniec tygodnia Nora wróciła do Briarcliff Manor, ponieważ musiała zamknąć dom. Chociaż siostra Connora proponowała jej, że może z niego korzystać tak długo, jak zechce, Nora chciała mieć to już za sobą. W gruncie rzeczy miała nadzieję, że nigdy nie zobaczy tej blond dziwki.

Zamierzała za to skorzystać z jej propozycji przejęcia mebli. Wszystkich, od piwnicy aż po strych. Jako dekoratorka wewnątrz wiedziała, ile są warte — a były warte dużo. Dokładnie rzecz biorąc, małą fortunę. O którą z przyjemnością mogła się wzbogacić, skoro miało to uśmierzyć wyrzuty sumienia Lizzy.

Potrzebowała tylko pomocy.

— Estate Treasures, czym mogę służyć?

— Cześć, mówi Nora Sinclair. Czy zastałam Harriet?

— Oczywiście, Noro, zaczekaj chwilę.

Siedząc na kanapie limuzyny, która wiozła ją do domu Connora, Nora przełożyła komórkę do drugiej ręki.

— Czy to moja najlepsza dekoratorka wewnątrz? — odezwała się Harriet.

— Założę się, że mówisz to wszystkim dekoratorom.

— Szczerze mówiąc, tak, i zdziwisz się, ale wszyscy mi wierzą. Jak idą interesy, Noro?

— Nieźle. Właśnie dlatego dzwonię.

— Zatem kiedy możemy się ciebie spodziewać w sklepie?

— Właściwie chciałam cię o coś zapytać. Chodzi mi o wizytę domową.

— Oj. Dokąd mam jechać? Mam nadzieję, że to w obrębie Nowego Jorku? Noro? Odezwij się.

— Do Briarcliff Manor. Niedawno zmarł tam mój klient.

— Bardzo mi przykro.

— Mnie również — odparła chłodnym tonem Nora. — Poproszono mnie, żebym zajęła się wyceną umeblowania całego domu.

— Chcesz je dać w komis?

— Myślałam o tym.

— Wizyta domowa, tak? O ilu pokojach mówimy?

— Dwudziestu sześciu.

— Oj.

— Wiem. Dlatego do ciebie dzwonię. Nikt nie poradzi sobie z tym lepiej od ciebie.

— Załóż się, że mówisz to wszystkim dostawcom.

— I nie uwierzysz, ale wszyscy mi wierzą.

Kilka minut zajęło Norze opisanie niektórych mebli i ustalenie dnia, w którym Harriet mogłaby przyjechać i rzucić na nie okiem. Kiedy się pożegnała, limuzyna podjeżdżała już pod dom Connora.

Kierowca wyjął z bagażnika jej walizkę, a ona wysiadła i podeszła do frontowych drzwi. Wówczas zobaczyła liścik od

Craiga Reynoldsa.

„Proszę o telefon tak szybko, jak to możliwe”.

## Rozdział 50

Zadzwonił mój biurowy telefon i usłyszałem głos Molly.

— To ona.

Uśmiechnąłem się. Była tylko jedna „ona”, którą Molly mogła mieć na myśli. Nora wróciła do miasta. Najwyższa pora.

— Oto, co masz zrobić, Molly — oznajmiłem. — Powiedz pani Sinclair, że będę z nią rozmawiał. A potem spójrz na zegarek i połącz ją ze mną, kiedy minie czterdzieści pięć sekund.

— W porządku.

Odchyliłem się w fotelu i wbiłem wzrok w sufit. Był wyłożony białymi akustycznymi płytkami, które aż się prosiły, żeby ciskać w nie zatemperowanymi ostro ołówkami. Miałem teraz czas, żeby zebrać myśli, ale i tak robiłem to przez cały tydzień. W promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów nie było żadnej należącej do mnie zabłąkanej myśli.

Dzwonek.

Dziękuję, Molly.

Podniosłem słuchawkę i udałem, jak mogłem najlepiej, zabieganego agenta ubezpieczeniowego.

— Jesteś tam jeszcze, Noro?

— Jestem — odparła.

Natychmiast wyczułem, że nie jest zadowolona z tego, że kazałem jej tkwić ze słuchawką przy uchu.

— Możesz jeszcze chwilę poczekać?

Zanim zdążyła zaprotestować, wcisnąłem przycisk „hold” i ponownie wbiłem wzrok w sufit. Tysiąc jeden, tysiąc dwa... Po doliczeniu do tysiąca piętnastu zwolniłem „hold” i głęboko odetchnąłem.

— Kurczę, bardzo cię przepraszam, Noro — oznajmiłem, udając najlepiej, jak mogłem, ogarniętego skrucą agenta ubezpieczeniowego. — Musiałem skończyć rozmowę z klientem na drugiej linii. Rozumiem, że znalazłaś mój liścik?

— Owszem, przed kilkoma minutami. Właśnie wróciłam. Nadeszła pora, żeby sprawdzić, czy jest dobrą kłamczuchą.

— Jak się udała podróż? Poleciałaś do Maryland, prawda?

— Nie, tak naprawdę to była Floryda.

Akurat. Tak naprawdę to był Boston, miałem ochotę powiedzieć, wiedziałem jednak, że nie mogę.

— Tak, rzeczywiście — odparłem. — Nie chciałbym tam głosować. Podróż była udana?

— Bardzo.

— Próbowałem się do ciebie dodzwonić pod ten numer, który mi dałaś, ale okazało się, że należy do kogo innego.

— To dziwne. Jaki numer wybierałeś?

— Poczekaj, sprawdzę. Mam go gdzieś tutaj.

Odczytałem numer Norze.

— To wyjaśnia sprawę — stwierdziła. — Ostatnie dwie cyfry to osiemdziesiąt cztery, a nie czterdzieści osiem. Boże, mam nadzieję, że to nie ja je zamieniłam. Przepraszam, jeśli to ja.

Była dobra w te klocki.

— Nie ma sprawy. Najprawdopodobniej to mój błąd — powiedziałem. — Nie pierwszy raz padam ofiarą swojej cyfrowej dysleksji.

— Tak czy owak już rozmawiamy.

— Oczywiście. Zadzwoiłem do ciebie z powodu dochodzenia.

— Są jakieś nowe wiadomości?

— Można tak powiedzieć — przyznałem i na chwilę zawiesiłem głos. — Nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiała, ale moim zdaniem powinniśmy o tym porozmawiać osobiście.

— Jest aż tak fatalnie?

— Tego nie powiedziałem.

— Gdyby to były dobre wiadomości, przekazałbyś mi je przez telefon. Przyznaj przynajmniej tyle.

— Cóż, owszem, nie są to chyba najlepsze wiadomości — odparłem — ale nie wyciągaj zbyt daleko idących wniosków. Czy moglibyśmy spotkać się jeszcze dzisiaj?

— Mogę wpaść do ciebie do biura koło czwartej.

I przypuszczam, że nie muszę ci mówić, jak do mnie dojechać, Noro, dodałem w duchu.

— Czwarta jak najbardziej mi pasuje. Tyle że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy w innym miejscu. Mamy tutaj ekipę malarską. Wszędzie śmierdzi farbą — skłamałem. — Wiesz może, gdzie jest knajpa Blue Ribbon?

— Jasne, zaraz za miastem. Byłam tam.

Wiem.

— To świetnie — odparłem. — Spotkajmy się o czwartej na kawie. A może zważywszy na porę, zjemy podwieczorek?

— Lepiej nie, jeśli mówimy o tej samej knajpie. Roześmiałem się i zgodziłem, że powinniśmy poprzestać na kawie.

— W takim razie do zobaczenia o czwartej — dodałem. Możesz na mnie liczyć, Noro.

# Rozdział 51

Restauracja Blue Ribbon nie zajęłaby chyba pierwszego miejsca w kategorii jakości posiłków, wystroju ani obsługi, lecz jak na podmiejską knajpę, była całkiem niezła. Jajka były zawsze porządnie ścięte, butelki z keczupem prawie zawsze pełne, a kelnerki — choć nie zwyciężyłyby raczej w konkursie życzliwości — odznaczały się profesjonalizmem. Rozumiały na ogół, co się do nich mówi, i skwapliwie dolewały kawy.

Kiedy wszedłem tam kilka minut przed czwartą, właściciel skinął mi głową na powitanie. W czasie krótkiego pobytu w tym rejonie regularnie jadłem w Blue Ribbon. Byłem pewien, że w okolicy znalazłbym lepsze lokale, lecz nie chciało mi się ich szukać.

— Tak się składa, że będzie nas dwoje — powiedziałem właścicielowi, który na mój widok machinalnie złapał kartę dań. Był Grekiem i paradował w poplamionej czarnej kamizelce i pogniecionej białej koszuli. Chodzący stereotyp, wiem, ale moim zdaniem pozytywny.

Nora pojawiła się kilka minut później. Pomachałem jej z miejsca, gdzie siedziałem, w obitej czerwoną tkaniną łożę z tyłu. Włożyła ciemną spódnicę, kremową bluzkę, która wyglądała na jedwabną, oraz szpilki. To dla mnie, Noro? Naprawdę nie musiałaś. Ponieważ minęła już pora lunchu, a nie

nadeszła kolacji, restauracja była prawie pusta. Bez trudu mnie spostrzegła.

Uścisnęliśmy sobie dłonie na powitanie. Podziękowałem jej, że przyszła. Zauważyłem również, że ładnie pachnie. Miej się na baczności, Craig.

Kiedy usiadła, natychmiast pojawiła się kelnerka. Na jej identyfikatorze widniały słowa „Hej, panienko”, co stanowiło humorystyczny wyłom w absolutnie poza tym poważnym zachowaniu.

Zamówiliśmy kawę, a ja dodatkowo szarlotkę. Wiedziałem, że muszę bardziej dbać o linię, ale z punktu widzenia strategii było to dobre posunięcie. Jak można nie ufać facetowi, który zamawia szarlotkę?

Po odejściu kelnerki wystarczyło mi jedno spojrzenie na Norę, by zrozumieć, że powinienem ograniczyć luźną pogawędkę do niezbędnego minimum. Język jej ciała nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Była podminowana i spięta. Przyszła tutaj, by wysłuchać złych wiadomości, i nie interesowało jej przedłużanie napięcia.

Przystąpiłem więc od razu do rzeczy.

— Czuję się okropnie — wyznałem. — Przez cały czas mówiłem o tym dochodzeniu, jakby było czystą formalnością, którą nie warto się przejmować. Tymczasem przedwczoraj... — Umilkłem i potrząsnąłem z oburzeniem głową.

— Co? Co się stało przedwczoraj?

— To wszystko przez tego cholernego O’Harę! Choć nie krzyknąłem tego na całe gardło, podniesiony głos wystarczył, żeby kilka osób odwróciło głowy. — Nie wiem, dlaczego pozwalają tego rodzaju facetom prowadzić dochodzenie. To jest po prostu niepotrzebne.

Nora wpatrywała się we mnie i czekała na ciąg dalszy, do czego, jak wiedziałem, nie przywykła.

— Najwyraźniej skontaktował się z FBI — powiedziałem.

— Nie rozumiem — odparła, mrużąc oczy.

— Ja też, Noro. O'Hara to najbardziej podejrzliwy typ, jakiego w życiu spotkałem. Cały świat jest dla niego jednym wielkim spiskiem. Facet zdecydowanie kwalifikuje się do wariackowa.

— No to świetnie. — Nora odchyliła się i skrzyżowała ramiona. Skonsternowana, zamrugła zielonymi oczami. Zrobiło mi się jej prawie żal. — FBI? Co to oznacza?

— To oznacza coś, co powinno być oszczędzone każdemu, kto poniósł stratę — odparłem i zrobiłem krótką dramatyczną pauzę. — Obawiam się, że ciało twojego narzeczonego zostanie ekshumowane.

— Co?!

— Wiem, że to straszne, i gdybym mógł temu zapobiec, na pewno bym to zrobił. Ale nie mogę. Ten kretyń O'Hara nie potrafi zrozumieć, że czterdziestoletni facet może w sposób naturalny zejść na atak serca. Chce, żeby przeprowadzono badania.

— Zrobiono przecież sekcję zwłok.

— Wiem... wiem.

— O'Hara nie wierzy w jej wyniki?

— Nie o to chodzi, Noro. Facetowi zależy na bardziej dokładnych badaniach. Ogólne sekcje są... no, właśnie zbyt ogólne; w ich trakcie nie zawsze odkrywa się pewne rzeczy.

— Co masz na myśli? Jakie rzeczy?

Jej pytanie zawisło w powietrzu, gdy pojawiła się kelnerka. Kiedy stawiała na stoliku kawę i szarlotkę, obserwowałem Norę. Coraz bardziej się nakręcała. Jej emocje wydawały mi się autentyczne. Niejasne pozostawały tylko motywy. Czy była pogrążoną w żałobie narzeczoną, czy też morderczynią obawiającą się, że wyjdą na jaw jej czyny?

Kelnerka oddaliła się.

— Jakie rzeczy? — powtórzyłem pytanie Nory. — Przypuszczam, że wszelkiego rodzaju. Na przykład, mówię zupełnie hipotetycznie, jeśli Connor zażywał narkotyki albo



cierpiał na chorobę, którą zataił, wypełniając kwestionariusz polisy, to odszkodowanie może zostać zawieszono.

— Nic takiego nie miało miejsca.

— Ty o tym wiesz i, mówiąc szczerze i poza protokołem, ja również o tym wiem. Niestety. John O’Hara nie ma o tym pojęcia.

Nora ściągnęła papierowe denko z naparstka z mleczkiem i wlała je do kawy. Dodała dwie kostki cukru.

— Wiesz, powiedz temu O’Harze, że może sobie wsadzić w tyłek pieniądze.

— Chciałbym, żeby to było takie proste, Noro. Centennial One ma prawny obowiązek wypłaty odszkodowania, wyjąwszy przypadki, w których doszło do rozbieżności. Mimo że może to zabrzmieć dziwnie, nie masz w tej sprawie większego wyboru.

Nora oparła się łokciami o stół. A potem głowa opadła jej na rękę. Kiedy ją podniosła, zobaczyłem toczącą się po policzku łzę.

— Macie zamiar wykopać trumnę Connora z ziemi? To właśnie chcecie zrobić? — zapytała szeptem^

— Tak mi przykro — powiedziałem i rzeczywiście paśkudnie się czułem. Może była jednak niewinna? — Rozumiesz teraz, dlaczego nie chciałem o tym rozmawiać przez telefon. Mogę cię zapewnić, że to wina O’Hary. Ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

Mówiąc to i patrząc, jak ociera oczy serwetką, nie mogłem nie pomyśleć o moim ojcu i jego słowach.

„Nie wszystko jest takie, jak się wydaje”.

Nie potrafiłem orzec, czy łzy Nory są prawdziwe, czy fałszywe, ale wiedziałem przynajmniej, że zaczyna nienawidzić Johna O’Hary. A im bardziej go nienawidziła, tym większe zaufanie pokładała we mnie.

Co zakrawało na ironię.

Ponieważ John O'Hara nie urzędował w centrali Centennial One w Chicago.

John O'Hara siedział przy stoliku w Blue Ribbon, pałaszował szarlotkę i udawał, że nazywa się Craig Reynolds.

I bynajmniej nie pracował w branży ubezpieczeniowej.

Część 3

**Bardzo niebezpiecz-  
ne gry**

## Rozdział 52

—Co to znaczy „powiedziałem jej, że ekshumujemy ciało Connora”? — warknęła mi do ucha Susan. Była autentycznie wkurzona.

—Zaufaj mi, to obróci się na naszą korzyść — odparłem. — Nora wierzy teraz bardziej niż kiedykolwiek, że jestem po jej stronie. Poza tym mówiłaś, że ta historia z ekshumacją jest ryzykowna. Mogłaby się o niej dowiedzieć, i to nie od nas.

—Mówiłam, że istnieje niewielkie ryzyko.

—A ja mówię, że obróciliśmy to na naszą korzyść.

—My niczego nie obróciliśmy na naszą korzyść, O’Hara. Zrobiłeś to ty, na własną rękę, w ogóle się ze mną nie konsultując.

—Dobrze, trochę się zagalopowałem.

—Nie, O’Hara. Cholernie daleko się zagalopowałeś. To twój znak firmowy, prawda? Dlatego zawsze wpadasz w kłopoty. Dlatego ustaliliśmy plan działania: jedno ma zawsze wiedzieć, co robi drugie.

—Daj spokój, Susan, przyznaj, że to działa na naszą korzyść.

—Nie w tym rzecz. Chcę, żebyś był graczem zespołowym, rozumiesz? Nie jesteś już tajnym policjantem.

— Masz rację — odparłem po chwili. — Jestem tajnym agentem federalnym.

— Jeśli wytniesz mi jeszcze parę takich numerów, szybko przestaniesz nim być. Nie lubię kowbojów.

Żadne z nas nie odzywało się przez kilka sekund.

— Wiesz co? — przerwałem milczenie. — Podobało mi się bardziej, kiedy mnie podbudowywałaś.

Susan nerwowo się roześmiała.

— Powiedz mi, ty geniuszu, jaki będzie twój następny krok, teraz, kiedy Nora już wie, że wykopujemy jej narzeczonego?

— To proste — odparłem. — Poczekamy na wyniki sekcji. Jeśli laboranci stwierdzą, że coś jest nie tak, będziemy mieli naszą morderczynię.

— I tak będziemy musieli udowodnić, że to jej sprawa.

— Co jest o wiele łatwiejsze, jeśli się wie, czego szukać.

— A jeśli niczego nie stwierdzą?

— Wtedy przekażę Norze dobre wiadomości i jeszcze usilniej będę starał się podstawić jej nogę.

— Zapominasz o jednym.

— Mianowicie?

— Że może być niewinna.

— I to mówi ktoś, kto uważa, że wszyscy są winni?

— Twierdzą tylko...

— Nie, rozumiem. Wszystko jest możliwe. Nie zapominaj, że ta kobieta jest zamieszana w co najmniej dwa przypadki nagłej śmierci w dwóch stanach. Jeśli to zbieg okoliczności, w takim razie Nora Sinclair ma rzeczywiście wielkiego pecha do facetów.

— Głuptas ze mnie — odparła. — Posadźmy ją na krzesło elektrycznym.

— No, teraz już lepiej. Przez chwilę myślałem, że jesteś kimś innym.

— Mówiąc o kimś innym, jakie masz gwarancje, że Nora nie zacznie cię podrywać?

— Spokojna głowa. Craig Reynolds to nie jest ktoś z jej ligi — odparłem. — Facet za mało zarabia.

— Nigdy nic nie wiadomo. Mówiłeś, że uważa, iż jesteś po jej stronie. Na tej podstawie może dla odmiany zadowoląć się byle czym.

— Ale ja dysponuję tylko slumsowatym apartamentem.

— Chyba nie zaczynasz znowu na ten temat?

— Nie, ale jeśli muszę spędzać więcej czasu w tej norze, poproszę o dodatek za pracę w trudnych warunkach.

— Będziesz miał wiele szczęścia, jeśli to okaże się najtrudniejszą częścią zadania, O'Hara.

## Rozdział 53

Nora delikatnie pchnęła drzwi do izolatki Olivii w szpitalu Pine Woods i spróbowała przywołać na twarz uśmiech. Była w fatalnym nastroju i dobrze o tym wiedziała. Podobnie jak wszyscy, którzy zdążyli się z nią zetknąć, kiedy weszła na oddział psychiatryczny — Emily Barrows oraz ta nowa pielęgniarka, Patsy.

Przez krótką chwilę zachowywała się tak, jakby poprzedniego dnia nie spotkała się w ogóle na kawie z Craigiem Reynoldsem. Jakby w ogóle nie poinformował jej, że ciało Connora zostanie ekshumowane.

— Dzień dobry, mamó.

Olivia Sinclair siedziała w żółtej koszuli nocnej na pościeli. Uśmiechnęła się do córki apatycznie.

— O, dzień dobry.

Wiszące nisko przez większą część dnia chmury zaczęły się wreszcie rozchodzić. Przez szpary między żaluzjami do pokoju wpadło słoneczne światło. Nora chwyciła stojące w kącie krzesło i przysunęła je do łóżka.

— Dobrze wyglądasz, mamó.

Coś takiego mogłaby powiedzieć każda córka. Różnica polegała na tym, że Nora autentycznie w to wierzyła. Nie

widziała matki taką, jaka była. Widziała ją we wspomnieniach. Może wynikało to z siły przyzwyczajenia. Kiedy Olivia poszła do więzienia, Norze nie wolno było jej odwiedzać. Gdy dorastała, matka zastygła w czasie. Nora tułała się po domach dziecka i wyobrażenie matki było jedynym stałym elementem w jej życiu.

—Lubię czytać, wiesz.

Niech to szlag...

—Wiem, że lubisz czytać, mamó. Zapomniałam kupić ci książkę. Miałam ostatnio bardzo ciężki... bardzo ciężki...

Na trawniku za oknem zaczęła pracować kosiarka. Jazgot silnika sprawił, że Nora się wzdrygnęła. Zabrakło jej nagle tchu i poczuła się jak sparaliżowana. Maską spadła jej z twarzy i zaatakował ją zewnętrzny świat. Otarła łzy, ciekące jej z oczu.

—Przepraszam, mamó.

Po raz pierwszy w życiu Nora opowiedziała matce o nawiedzającym ją stałe śnie, w którym patrzy, jak ta strzela do ojca. Mówiła o tym, jak bardzo wryła się jej w pamięć tamta noc, słowa, które wtedy padły, to, jak wszyscy byli ubrani, nawet odór siarki.

Jakie to ma znaczenie? Ona nawet nie wie, kim jestem, pomyślała Nora.

Złapała papierową chusteczkę z nocnej szafki. Miała wrażenie, że pękła tama. Łzy, emocje, wszystko się z niej wylewało. To było silniejsze od niej. Musiała z kimś porozmawiać.

Zaczerpnęła oddechu, pragnąc, by jej płuca wypełniły się powietrzem. Po chwili wypuściła je i zamknęła oczy.

—Zrobiłam straszne rzeczy, mamó. Muszę ci o nich opowiedzieć.

Otworzyła oczy. Miała zamiar wyznać całą prawdę, ale nie zdążyła. Z matką działo się coś bardzo złego. Nora zerwała się z krzesła i podbiegła do drzwi.

—Pomocy! — krzyknęła, wypadając na korytarz. — Pośpieszcie się, potrzebuję pomocy! Moja matka umiera!



## Rozdział 54

Siostra Barrows uniosła wzrok znad karty zleceń i spojrzała w stronę, z której dobiegł krzyk. Natychmiast rozpoznała głos Nory.

Obiegając dookoła stanowisko pielęgniarek, zawołała Patsy, która była w składziku.

Znalazszy się na korytarzu, zobaczyła, że Nora wymachuje gorączkowo rękami. Od pokoju Olivii Sinclair dzieliło ją około trzydziestu metrów. Emily pokonała je szybciej, aniżeli pozwalała na to jej tusza.

— O co chodzi? — zawołała. — Co się stało?

— Nie wiem! — odrzyknęła Nora. — Dostała jakichś... Emily minęła ją, wbiegła do izolatki i zobaczyła przed sobą scenę, jakby wyjętą z „Egzorcysty”. Wypreżone na łóżku ciało Olivii Sinclair, było wstrząsane konwulsjami. Od stukotu metalowej ramy łóżka można było niemal ogłuchnąć.

Wszystko to — łącznie ze skrajną paniką, w jaką wpadła Nora — nie wywarło większego wrażenia na Emily, która zachowała całkowity spokój. Zerkając przez ramię, ujrzała pojawiającą się w progu Patsy.

— Pomóż mi — poleciła młodszej pielęgniarce. Patsy podeszła do niej szybkimi, nerwowymi krokami.

— To twój pierwszy atak? — zapytała starsza pielęgniarka.

Patsy kiwnęła głową.

— W porządku, powiem ci, co masz robić. Po pierwsze obróć ją na bok, żeby się nie zakrztusiła, kiedy zacznie wymiotować. — Emily skrzyżowała ręce na piersiach i skinęła na Patsy, która stała nieruchomo w miejscu. — Rusz się, moja droga.

Patsy ocknęła się i obróciła Olivię na bok.

— I co teraz? — zapytała.

— Teraz czekaj.

— Na co?

— Na ustąpienie ataku.

— To wszystko, co mam robić?

— Dokładnie. Nie próbuj w jakikolwiek sposób krępować jej ruchów. Po prostu patrz na zegar. W dziewięciu na dziesięć przypadków atak nie trwa dłużej niż pięć minut. Jeśli się przedłuży, wezwiemy doktora.

Nora stała jak wryta, nie mogąc uwierzyć, że Emily wykorzystuje atak jej matki, by podszkolić młodszą pielęgniarkę.

— Na pewno możecie zrobić coś więcej! — zawołała.

— Naprawdę nie możemy, Noro. Uwierz mi, to wydaje się o wiele gorsze, niż jest w rzeczywistości.

— A język? Nie grozi jej, że połknie język?

Emily potrząsnęła głową, starając się zachować spokój.

— To bajki — stwierdziła. — Nie ma takiej możliwości.

Nory bynajmniej to nie usatysfakcjonowało. Chciała domagać się, by wezwano lekarza, nagle jednak wszystko się skończyło. Łomotanie łóżka, hałas, konwulsje.

W pokoju zapadła cisza. Emily ułożyła Olivię na plecach i oparła jej głowę na cienkich jaśkach. Nora podbiegła do matki, złapała ją za rękę i uścisnęła.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, matka odpowiedziała jej słabym uściskiem.

— Wszystko w porządku, mamó — powiedziała cicho Nora. — Wszystko w porządku.

— Już dobrze — szepnęła siostra Barrows, kładąc uspokajającym gestem dłoni na jej ramieniu. — Wiem, że wydawało ci się, że umiera, ale uwierz mi, moja droga, kiedy ktoś umiera, to widać. To widać.

## Rozdział 55

Dwa metry pod ziemią?

Naprawdę nie wiem, skąd się wzięło to wyrażenie. Na pewno nie miało zastosowania do cmentarza Sleepy Hollow przy starym holenderskim kościele w Northern Westchester. Choć dół wykopany przy nagrobku Connora Browna miał prawie dwa metry głębokości, nadal nie było śladu trumny. Dopiero kiedy sterta ziemi urosła w dwójnasób, usłyszałem w końcu głucho łupnięcie szpadla o drewno.

Dobrze, że nie wykopywałem zwłok na słynnym starym cmentarzu, na którym pochowany jest podobno Washington Irving i kilku Rockefellerów.

— Powinni nazwać ten serial „Cztery metry” — powiedziałem do stojącego obok mnie gliniarza. Domyśliłem się, że nie ma HBO, ponieważ nie zrozumiał żartu. Jego obojętna mina mogła jednak równie dobrze wynikać ze zmęczenia oraz złego humoru.

Zamierzałem dokonać ekshumacji tak szybko i dyskretnie, jak tylko możliwe. To oznaczało ograniczenie ekipy, rezygnację z głośnego sprzętu oraz wyznaczenie całej akcji na godzinę drugą w nocy. Jasne światło dnia i zakrojona na wielką skalę operacja były całkowicie zbędne.

Oprócz gliniarza o kamiennym obliczu miałem do dyspozycji trzech pracowników cmentarza, którzy po ustawieniu

dwóch małych reflektorków przez jakąś godzinę ryli szpadlami w ziemi. Jediną towarzyszącą nam poza tym osobą był kierowca z laboratorium anatomopatologii FBI, tak młody, że chyba dopiero przed tygodniem dostał prawo jazdy. Zerknąłem ponownie na stojącego obok gliniarza.

— Mówi się o cmentarnej szychcie, nie?

Nie doczekałem się w odpowiedzi wybuchu śmiechu ani nawet chichotu. Jak sobie życzysz, pomyślałem.

Ponownie skupiłem uwagę na ziejącej w ziemi dziurze. Trzej faceci z cmentarza stali na odkopanej do połowy trumnie Connora Browna. Mieli zamiar przymocować taśmy do uchwytów, które nie wydawały się jednak zbyt solidne.

— Jesteście pewni, że te wichajstry utrzymają cały ciężar? — zapytałem.

Wszyscy trzej popatrzyli na mnie.

— Powinny — odparł najwyższy z nich, który miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Wysławiał się płynnie po angielsku. Pozostali potrafili tylko płynnie kiwać głowami.

Taśmy zostały przymocowane i trzej grabarze wyleźli z wykopu. Ułożyli na nim aluminiową ramę z korbą i doczepili do niej taśmy.

Nagle rozległ się hałas.

Co to było, do diabła?

Nikt nie powiedział tego na głos, lecz sądząc po naszych minach, wszyscy myśleliśmy to samo. Zabrzmiało to jak trzask gałązki albo czyjeś kroki. Czyżby Jeździec Bez Głowy wybrał się na nocną przejażdżkę?

Zastygliśmy w bezruchu i nadstawiliśmy ucha. Nad nami kołysały się, skrzypiąc i pojękując, grube dębowe konary. U naszych stóp szeleściły poruszane wiatrem liście. Hałas się nie powtórzył.

Trzej grabarze, którzy, jak się zdaje, byli o wiele mniej strachliwi od nas, wrócili do pracy i zaczęli kręcić korbą.

Trumna z Connorem Brownem powoli się uniosła.

Prawie jak na zawołanie zerwał się silniejszy wiatr. Powiało chłodem i dreszcz przeszedł mi po krzyżu. Nie jestem zbyt religijny, ale nie mogłem nie pomyśleć o tym, co robimy. Zakłócaliśmy spokój umarłym. Naruszaliśmy porządek natury.

Owładnęły mną złe przeczucia.

Trach!

Odgłos przebił się przez szum wiatru i odbił zwielokrotnionym echem. Tym razem to nie była gałązka. Dźwięk był dziesięć razy głośniejszy. Uchwyty odpadły od trumny i jej wieko otworzyło się z potwornym zgrzytem przypominającym szorujące o szkolną tablicę gwoździe. Z trumny wysunęła się w zwolnionym tempie jej zawartość. Zwłoki Conнора Browna.

—Jezu Chryste! — wrzasnął stojący przy mnie gliniarz. Podbiegliśmy do skraju dołu i w nozdrza wpadł nam odór

zgnilizny. Poczułem w gardle odruch wymiotny i musiałem cofnąć się o krok — wcześniej jednak zdążyłem zobaczyć ciało. Rozkładającą się twarz; białe włókniste tkanki; oczy sterczące w oczodołach, szkliste, lecz wpatrujące się prosto we mnie.

Grabarze klęli po angielsku i hiszpańsku, a chłopak z laboratorium potrząsał tylko głową. Obok siebie miałem policjanta, który rzygał jak kot.

—I co teraz, do diabła, zrobimy? — zapytałem.

Odpowiedź przybrała formę drabiny. Kopiający musieli zejść z powrotem do dołu. Żeby wydobyć ciało, trzeba było wynieść na plecach.

—Prosimy o pomoc — oświadczył rzecznik grabarzy.

To była najłatwiejsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem.

Odrzuciłem się do gliniarza, który zgięty wpół nadal pozbywał się resztek kolacji. Na jego bladej twarzy malował się wyraz niedowierzania.

— Ja? — wyjąkał. — Tam na dół?

Mój uśmiech nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości.

Przykro mi, chłopie, ale powinienes się śmiać z dowcipów starego agenta.

## Rozdział 56

Nora nie wiedziała, czy ją dostrzegli, ale z całą pewnością usłyszeli. Trzask gałązki, która złamała się pod jej stopą, gdy próbowała podejść bliżej, zabrzmiał niczym fajerwerk.

Kiedy zebrani przy grobie odwrócili się w jej stronę, przypadła do ziemi przy najbliższym nagrobku, podciągnęła kolana pod brodę i wstrzymała oddech. Być może zbyt dużo ryzykowała, wybierając się na cmentarz.

Nie mogła się jednak powstrzymać.

Musiała zobaczyć ekshumację, bez względu na to, jak makabryczna mogła się okazać. Ciało Connora wydobyte z ziemi... Czy naprawdę zadadzą sobie tyle trudu?

Owszem, zrobili to.

Zadrżała. Według legendy, gdzieś tutaj, w nieoznaczonym miejscu, pochowano czarownicę. Chociaż Nora miała na sobie ciepły sweter, na plecach poczuła chłodny dotyk granitu. Powoli wyjrzała zza nagrobka. Uff! Grabarze wrócili do pracy. Taśmy zostały przywiązane do jakiegoś urządzenia nad grobem Connora. Zaczęli podnosić trumnę.

Patrzyła na to z niedowierzaniem. Przy każdym obrocie korby ogarniał ją coraz większy niepokój. Dotychczas wszystko szło tak gładko. Nie miała powodów do zmartwienia. Była wolna i poza wszelkimi podejrzeniami. A teraz to.



Za kogo uważa się ten cały O'Hara? Dupek! Skurwiel!

I w ogóle gdzie się, do diabła, podziewa?

Była pewna, że śledząc tej nocy Craiga Reynoldsa, będzie miała sposobność zobaczyć O'Harę. To głównie z tego powodu tu się wybrała.

O'Hara to żaden z trzech mężczyzn z łopatami, o tym była przekonana. Na pewno też nie był gliniarzem. Poza Craigiem znajdował się tam jeszcze jeden facet, ale trudno go uznać za dorosłego. To niemożliwe, żeby Johnem O'Harą był ten pałacy jak lokomotywa dzieciak, pomyślała.

W tym momencie trumna wyłoniła się z ziemi i Nora odwróciła wzrok, nie mogąc znieść tego widoku. Opierając się o kamienny nagrobek, słyszała, jak wali jej serce.

To było jednak nic w porównaniu z tym, co zdarzyło się chwilę później.

Z grobu Connora dobiegł potworny trzask. Nora poczuła, że cała tężeje. Nie wiedziała, co się stało, i w gruncie rzeczy nie chciała tego wiedzieć.

Musiła jednak to zobaczyć.

Wyjrzała zza nagrobka.

Otworzyła szeroko oczy i o mało nie krzyknęła. Trumna Connora kołysała się w powietrzu z otwartym na oścież wiekiem. Nora domyśliła się, co się stało, i widząc wymiotującego policjanta, miała ochotę pójść w jego ślady.

I pewnie nic nie zdołałoby jej powstrzymać, gdyby silniejszy nie okazał się inny instynkt.

Ten, który kazał jej uciekać.

## Rozdział 57

Nazajutrz po powrocie na Manhattan Nora pojechała prosto do salonu kosmetycznego Bliss w SoHo. Zamówiła peeling z marchwi i ziaren sezamu na całe ciało, masaż z gorącym olejkim, manicure oraz pedicure. W zwykłych okolicznościach nic nie odprężyło jej bardziej niż tego rodzaju błoga pielęgnacja.

Jednak po trzech godzinach i wydaniu czterystu dolarów wcale nie poczuła się lepiej. Nie dawała jej spokoju poprzednia noc. Było późne popołudnie i drżała na myśl o samotnym wieczorze.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Elaine i Allison. Może będą miały ochotę na zaaranżowane w ostatniej chwili spotkanie? Sięgając po komórkę, zmieniła zdanie.

Przyszedł jej do głowy lepszy pomysł na poprawę samopoczucia. Zamiast dumać nad tym, co się zdarzyło, skoncentruje się na tym, co może się wydarzyć. Na swoim następnym kandydacie. Brianie Stewart, szykuj się do gry.

Zadzwoniła do zamożnego komputerowego magnata, którego poznała w samolocie, i zapytała, czy ma plany na wieczór.

— Nic, czego nie mógłbym odwołać — odparł szybko. — Daj mi dwie minutki.

Wyczyścił swój grafik zajęć i kiedy do niej oddzwonił, był gotów wypełnić go ponownie. Wyłącznie Norą.

— Mam nadzieję, że jutro rano nie musisz się zbyt wczesnie zrywać — ostrzegł ze śmiechem, po czym podekscytowany uprzedził, co ją czeka.

Koktajle w barze King Cole.

Kolacja w restauracji Vong.

A następnie dyskoteka w klubie Lotus w West Village.

Nora była zachwycona. Po spędzeniu nocy na cmentarzu najlepszym lekarstwem wydawało się wyjście na miasto.

## Rozdział 58

W barze King Cole, przy perrier jouet, Brian Stewart rozweselał Norę zabawnymi historyjkami z dzieciństwa. Słuchała ich i śmiała się do rozpuku. Nie uszło jednak jej uwagi, że w wielu z nich występowała jego rodzina. Po tonie Briana domyśliła się, że są ze sobą blisko związani, i to wzbudziło jej zazdrość. Podczas długoletniej tułaczki po domach dziecka cieszyła się, gdy ktoś raczył pamiętać o jej urodzinach.

Nie zamierzała jednak oczywiście opowiadać o tym Brianowi.

Na tym etapie swojego życia Nora dopracowała do perfekcji fikcyjny życiorys. Ojciec architekt. Matka nauczycielka. Szczęśliwe dzieciństwo spędzone w trójkę pośród wzgórz Litchfield w stanie Connecticut. Im częściej o tym opowiadała, tym łatwiej jej przychodziło nie pamiętać prawdy. Miała nadzieję, że pewnego dnia zapomni, że matka zabiła ojca na jej oczach.

Przy kolacji Brian przerzucił się na wino, a Nora na wodę Pellegrino. Jedli i popijali i coraz lepiej czuli się w swoim towarzystwie. Patrząc na swojego towarzysza, Nora nie musiała już wyobrażać sobie Brada Pitta. Brian był wystarczająco przystojny na swój sposób.

A poza tym zabawny, co nie zdarzało się wcale tak często w przypadku bogaczy. Na ogół zamożni mężczyźni okazywali się przy bliższym poznaniu potwornymi nudziarzami,

skupionymi na sobie. Trudno było znaleźć takich, którzy byliby jednocześnie bogaci i podniecający. Tym bardziej cieszyła się, że poznała Briana.

Miała wrażenie, że on odwzajemnia jej uczucia.

Wyglądało na to, że mogą sobie darować tańce w Lotusie. Nora próbowała wyobrazić sobie jego apartament. Z pewnością był ogromny. Być może Brian jest właścicielem penthouse'u albo interesującego poddasza. Powinna się o tym wkrótce przekonać.

— Dobrze się bawisz? — zapytał.

— Znakomicie.

Brian uśmiechnął się. Nie był to jednak wesoły uśmiech. Coś go gnębiło i sprawiał wrażenie podenerwowanego. Nora nachyliła się.

— Co się stało?

Brian obracał w palcach łyżeczkę, zupełnie jakby zbierał się na odwagę. Okazało się, że rzeczywiście jest mu potrzebna.

— Muszę ci o czymś powiedzieć — oświadczył. — Muszę ci się z czegoś zwierzyć.

— Niech to szlag. Jesteś żonaty.

— Nie, nie jestem żonaty, Noro.

Łyżeczka została poddana wyrafinowanym torturom.

— Chodzi o to, kim jeszcze nie jestem — dodał, po czym odłożył łyżeczkę i wziął głęboki oddech. — Chcę ci powiedzieć, że tak naprawdę nie jestem bogatym producentem oprogramowania.

Słowa zawisły w powietrzu i zapadła po nich cisza. Nora kompletnie zatkała. Brian poczerwieniał na twarzy i to wcale nie z powodu wypitego alkoholu. Jego wyznanie otrzeźwiło oboje.

— Mówię ci o tym, ponieważ nie mogę cię dłużej okłamywać — wyjaśnił.

— A dlaczego mnie okłamałeś?

— Bałem się, że nie będziesz mną zainteresowana.

Nora zamrugała kilka razy.

— Czym się zajmujesz? — zapytała.

— Jestem copywriterem w agencji reklamowej.

— Jasne, kłamstwem zarabiasz na życie. W Bostonie nie czekali na ciebie inwestorzy wysokiego ryzyka?

— Nie, po prostu klient. Gillette.

Nora pokręciła głową.

— Powiedzmy sobie szczerze: uznałeś, że mogę cię polubić tylko pod warunkiem, że jesteś bogaty?

— Chyba tak.

— A może okłamałeś mnie, bo myślałeś, że dzięki temu uda ci się spędzić ze mną jedną noc? Dzisiejszą noc?

— To nieprawda.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Czyżby?

— No, może nie do końca — przyznał. — Przynajmniej z początku. Jak już powiedziałem, nie mogę cię dłużej okłamywać.

— Czy cokolwiek z tego, co mi mówiłeś, jest prawdą?

— Owszem. Właściwie wszystko. Wszystko z wyjątkiem tego, że jestem bajecznie bogaty. Przepraszam, że cię oszukałem. Możesz mi wybaczyć?

Nora wahała się, w gruncie rzeczy dla lepszego dramatycznego efektu. W końcu wzięła go za rękę.

— Tak — odparła. — Mogę to zrobić. Wybaczam ci, Brian.

Po kilku minutach, kiedy wszystko wróciło do normy, przeprosiła go, mówiąc, że chce skorzystać z toalety. Mijając ją i wychodząc na zewnątrz, żeby wezwać taksówkę, która miała zawieźć ją do domu, zastanawiała się, ile czasu zajmie Brianowi uświadomienie sobie, że już do niego nie wróci.

## Rozdział 59

Wysoka blondynka szybko odwróciła twarz, kiedy mijała ją Nora. Przez chwilę znalazły się tak blisko siebie, że czuła ciepło emanujące z ciała tej kobiety. To był niebezpieczny moment. Popełniła błąd, zajmując to miejsce.

Blondynka siedziała przy barze, popijając martini i przez cały czas obserwując Norę. Była przekonana, że to randka. Pierwsza, sądząc po mowie ich ciał. Nie słyszała ich rozmowy, ale było jasne, że przypadli sobie do gustu.

Tym bardziej zagadkowe było nagłe wyjście Nory.

Minęło kilka minut. Dźgając wykałaczką oliwkę pływającą w martini, blondynka rozważała różne możliwości. Może Nora wyszła, żeby do kogoś szybko zatelefonować. Albo wypalić papierosa. Jednak nigdy wcześniej nie widziała jej palącej.

Blondynka zerknęła na stolik, przy którym czekał towarzysz Nory. Był całkiem przystojny. Podobny trochę do...

— Przepraszam — dobiegł ją głos z tyłu.

Odwracając się, zobaczyła szpakowatego mężczyznę w średnim wieku. Miał na sobie golf, sportową marynarkę i skropił się zdecydowanie zbyt obficie płynem po goleniu. Popatrzyła na niego bez słowa.

Mężczyzna oparł dłoń na sąsiednim pustym stołku.

— To miejsce jest zajęte?

— Nie sędzę.

W odpowiedzi uśmiechnął się szeroko i usiadł.

— Trudno uwierzyć, że nikogo nie ma obok takiej ślicznej kobiety — powiedział, pochylając się i kładąc rękę na kontuarze. — Mogę pani zafundować następnego drinka?

— Nie skończyłam jeszcze tego.

— Nie ma problemu, zaczekam — odparł bezczelnym tonem. — Jeśli będzie trzeba, i całą noc.

Blondynka spojrzała na niego zalotnie, po czym podniosła kieliszek i wylała mu martini na głowę.

— Widzi pan, już skończyłam — powiedziała.

Następnie wstała i ruszyła, ale nie w stronę drzwi. Zorientowała się, że Nora nie wróci, i podeszła do stolika, przy którym samotnie siedział jej towarzysz.

— Przepraszam, czy czeka pan na Norę Sinclair? — za pytała.

Mężczyzna popatrzył na nią zaskoczony.

— Eee... tak, właściwie tak.

— Obawiam się, że Nora już nie przyjdzie.

— Co pani ma na myśli?

— Widziałam, jak wychodziła z restauracji.

Jeszcze bardziej zaskoczony, zerknął nad jej ramieniem w stronę wyjścia i zrobił taki ruch, jakby chciał tam pobiec.

— Niech pan się nie fatyguje — radziła blondynka. — Minęło już co najmniej pięć minut.

Mężczyzna usiadł.

— Nie rozumiem. Jest pani jej przyjaciółką czy kimś w tym rodzaju?

— Nie, tego bym nie powiedziała — odparła, po czym zajęła miejsce Nory. — Czy mimo to mogłabym zadać panu kilka pytań?



## Rozdział 60

Nora musiała przynajmniej na kilka dni wyrwać się z Nowego Jorku. Na szczęście było miejsce, do którego mogła się udać.

Ruch na międzystanowej autostradzie 1-95 był niewielki, a jeszcze luźniej zrobiło się na drodze numer 395. Niestety, na pół godziny przed Bostonem to się zmieniło. Stojąca w poprzek naczepa tira zablokowała ruch na odcinku kilku kilometrów i Nora przypomniała sobie, dlaczego zawsze wolała podróżować samolotem.

Mimo to wcale się nie przejęła.

Po nocy na cmentarzu i kolacji z Brianem Stewartem — tą karykaturą Don Juana bez prawdziwych dinero — zależało jej na odrobinie stabilizacji. Na tym, żeby koła dotykały ziemi. Całodzienna podróż do Bostonu dobrze jej zrobiła. Podobnie jak noc z mężusiem.

— Boże, jak ja się za tobą stęskniłem! — zawołał Jeffrey, witając ją w holu domu. Trzymając ją w ramionach, całował jej usta, policzki i szyję, a potem zaczynał od nowa.

— Zaczynam ci wierzyć — odparła drwiącym tonem. — Już myślałam, że do reszty zapomniałeś o mnie na tych swoich targach książki w Wirginii, otoczony tłumem zakochanych kobiet.

— Jak mógłbym zapomnieć o tym, o tym i o tym? — pytał Jeffrey.

— Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości — powiedziała Nora.

Całując się i wygłupiając, wspięli się po schodach do głównej sypialni. Ich ubrania znalazły się na podłodze, a oni, zlni potem, kochali się tego popołudnia, a potem jeszcze raz wczesnym wieczorem. Przez cały ten czas rozstali się tylko na krótką chwilę, kiedy Jeffrey wstał z łóżka i zbiegł na dół, żeby odebrać zamówione wietnamskie dania.

Jedząc sałatkę wakami, kurczaka cuu long oraz wołowinę z trawą cytrynową, pieścili się i oglądali „Północ, północny zachód”. Nora uwielbiała Hitchcocka, który według niej był najbardziej porąbanym sukinsynem pod słońcem. Ale kiedy Cary Grant zawisł na Mount Rushmore, Jeffrey zapadł w sen.

Nora cierpliwie czekała. Kiedy w końcu usłyszała jego ciche poświstywanie, wyslizgnęła się z łóżka, pobiegła korytarzem do gabinetu i usiadła przed komputerem.

Poszło jej naprawdę gładko. Bez trudu odnalazła zakodowane konto, sprawdziła je i dowiedziała się, ile Jeffrey zachował na deszczową pogodę. Prawie sześć milionów.

Zbliżała się szybko chwila prawdy, zdecydowanie szybciej niż wizyta fotografa z „New York Magazine”.

Ale nie wszystko naraz. Najpierw pozostało do załatwienia kilka niezakończonych spraw w Briarcliff Manor. Wszystkie związane były z pewnym agentem ubezpieczeniowym i wynikami pewnych badań. Ciekawe, jak by to przedstawił stary Alfie Hitchcock? Filmując scenę na cmentarzu, na pewno przyprowadziłby ludzi o dreszcze, pomyślała Nora i na jej ustach pojawił się uśmiech.

# Rozdział 61

Turysta, ach, biedny Turysta, był sfrustrowany, niespokojny i wymięty. Wolałby znajdować się teraz w stu innych miejscach, lecz musiał być tutaj: w swoim tymczasowym mieszkaniu daleko od domu.

Nadal nie wiedział, co myśleć o wykazie zagranicznych kont. Ich właściciele z całą pewnością unikali płacenia podatków. Ale kim byli? Jaka była cena wejścia na tę listę? I dlaczego kosztowała czyjeś życie?

Przeczytał już gazetę oraz grubą powieść Nelsona Demille'a o Wietnamie. Teraz siedział na kanapie i studiował najnowszy numer „Sports Illustrated”. Kiedy był w połowie artykułu o coraz mniejszych szansach bostońskich Red Soków na zdobycie pucharu, coś zakłóciło ciszę.

Ktoś dzwonił do drzwi.

Turysta chwycił leżącą obok beretę, wstał, podszedł do okna i spojrzął zza zasłony na ganek przed wejściem.

Stał na nim facet z płaskim kwadratowym pudłem w ręku. Na podjeździe za jego plecami zaparkowana była toyota camry z zapalonym silnikiem.

Turysta uśmiechnął się. Podano do stołu.

Schował pistolet za pasek na plecach, zakrył go koszulą

i powitał kolejnego dostawcę z Pepe's House of Pizza. Od przybycia w te strony zamawiał tam pizzę co najmniej sześć razy.

— Z pepperoni i cebulą? — zapytał dostawca.

Miał koło dwudziestki, może trochę więcej. Trudno było zgadnąć, bo twarz zasłaniał mu daszek bejsbolowej czapki Red Soksów.

— Zgadza się. Ile?

— Szesnaście pięćdziesiąt.

— Powiniennem już chyba zapamiętać — mruknął pod nosem Turysta i sięgnął do kieszeni spodni. Nic w niej nie znalazł. — Niech pan chwilę poczeka, pójdę po portfel. — Już miał się odwrócić, kiedy zobaczył, że dostawca stoi na deszczu. — Może pan wejdzie do środka? — zaproponował.

— Dzięki, bardzo pan miły.

Facet wszedł do przedpokoju, a Turysta pośpieszył do kuchni po portfel.

— Leje jak z cebra — rzucił przez ramię.

— Owszem. Z powodu deszczu mamy większy ruch.

— Pewnie. Po co pruć w strugach wody na kolację, kiedy ktoś może ją przywieźć. — Turysta wrócił z dwudziestodolarowym banknotem w dłoni. — Proszę bardzo. Jesteśmy kwita.

Dostawca podał mu pizzę i wziął dwudziestkę.

— Dzięki, bardzo pan miły — powtórzył, po czym z uśmiechem wyciągnął broń spod przeciwdeszczowego płaszcza. — Tyle że nie jesteśmy jeszcze kwita.

Turysta sięgnął gorączkowo do tyłu, ale spóźnił się; zrobił to zbyt ospale.

— Nie ruszaj się — powiedział dostawca pizzy. Obszedł Turystę dookoła i uwolnił go od wciśniętej za pasek dżinsów beretty. — Teraz oprzyj obie ręce o ścianę.

— Kim jesteś?

— Jestem facetem, przez którego będziesz żałować, że nie zamówiłeś chińszczyzny, O'Hara.

## Rozdział 62

Czując się niesamowicie głupio, John O'Hara, Turysta, pozwolił się obmacać. Nie potrafił uwierzyć, że dał się załatwić temu dzieciakowi, takiemu szczyłowi, takiemu gnoj-kowi.

— Dobrze, teraz powoli obróć się dookoła.

O'Hara obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Bardzo powoli.

— A teraz powiedz, gdzie to jest? — spytał chłopak. — Walizka. Co jest w środku? Co z niej wyciągnąłeś?

— Nie wiem. Szczerze, człowieku.

— Gówno prawda, człowieku.

— Hej, naprawdę nie kłamię. Od razu ją oddałem. W garażu w Nowym Jorku.

Dostawca przycisnął lufę pistoletu do czoła O'Hary. Mocno, aż zaboląło.

— W takim razie nie mamy chyba o czym gadać.

— Jeśli mnie zabijesz, będziesz martwy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Tak to funkcjonuje.

— Nie sądzę — odparł dostawca pizzy i odbezpieczył broń.

O'Hara próbował rozszyfrować jego spojrzenie. Nie spodobało mu się to, co w nim zobaczył — chłód i pewność siebie. Ten facet pracował chyba dla człowieka, który sprzedał plik. Może sam był sprzedawcą.

— No dobrze, zaczekaj. Wiem, gdzie to jest.

— Gdzie?

— Mam to tutaj. Miałem przez cały czas.

— Pokaż.

O'Hara zaprowadził go korytarzem do sypialni. Słyszał dobiegającą z sąsiedniego mieszkania muzykę. Zastanawiał się, czy nie zawołać o pomoc.

— Pod łóżkiem — wyjaśnił. — Wyjmę to. Jest w mojej torbie.

— Stój tam, gdzie jesteś. Ja zajrzę pod łóżko w imieniu nas obu. — Dostawca pizzy pochylił się i zerknął. Pod łóżkiem rzeczywiście znajdowała się czarna torba. — Nie wiesz, co to jest, prawda? — zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Ponieważ gdybyś wiedział, nie sądzę, żebyś tu z tym spał.

— W takim razie powinienem się chyba cieszyć, że ci to oddam.

— Zgadza się. A teraz wyciągnij to. Powoli i spokojnie.

— Jaką grasz w tym rolę? Jesteś sprzedawcą? Czy tylko kolejnym pośląncem?

— Wyciągnij torbę. A swoją drogą, jestem pośląncem. Podobnie jak mój przyjaciel. Facet, którego zastrzeliłeś przy Grand Central. Był dla mnie jak brat.

Turysta uklęknął i sięgnął powoli pod łóżko.

— Trzymaj jedną rękę na górze — polecił dostawca pizzy.

— Jak sobie życzysz.

Lewa ręka oparła się o pościel na łóżku, prawa poszukała torby.

Oraz pistoletu przylepionego taśmą do jej boku.

— Trzymasz torbę? Nie próbuj żadnych sztuczek.

— Tak, trzymam. Odpręż się, chłopie. Jesteśmy obaj zawodowcami, nie?

— Jeden z nas na pewno.

O'Hara wyciągnął rękę spod łóżka i oddał dwa strzały. Facet dostał dwie kulki w klatkę piersiową i padł martwy na

podłogę. Właściwie widać było dwóch martwych facetów: jednego na podłodze, a drugiego w lustrze w drzwiach szafy, co sprawiało podwójnie przykre wrażenie.

O'Hara poszukał przy nim dowodu tożsamości i nie zdziwił się, nie znajdując żadnego. Nie było nawet portfela.

Następnie poszedł do kuchni i wykonał niezbędny telefon. Powinni przyjechać, zabrać ciało, a także wywabić krwawe plamy z dywanu. Byli nadzwyczaj sprawni. Przed ich przyjazdem mógł zrobić tylko jedno.

Otworzył pudło i wziął kawałek pizzy z pepperoni i cebulą. Pierwszy kęs był zawsze najlepszy. Przeżuwając jedzenie, analizował ważne pytania. Kto naślał na niego dostawcę pizzy? Kto wiedział, że tu się zaszyl? W jaki sposób on, O'Hara, mógł wykorzystać te informacje w przyszłości? No i czy w ogóle miał jeszcze jakąś przyszłość?

## Rozdział 63

— Co porabiasz, O'Hara?

— To i owo. Znasz mnie, zawsze mam coś do roboty. Co wykazały testy, którym poddano świętej pamięci Connora Browna?

— Nic... *nada*... zero — odparła z rozczarowaniem Susan.

Po trzydniowym oczekiwaniu w moim tymczasowym apartamencie odebrałem od niej telefon. Zadzwoiła do mnie późnym rankiem. Na biurko Susan trafił właśnie raport z drugiej sekcji Connora Browna. Wyjaśniła, że pogłębione testy przyniosły w zasadzie te same wyniki. Facet zmarł na zawał serca. Żadnego śladu, że ktoś mu pomógł. Nic. *Nada*. Zero.

— Czy stwierdziliście w ogóle cokolwiek, czego nie wykazała pierwsza sekcja? — zapytałem.

— Tylko dość paskudny wrzód żołądka — odpowiedziała. — Oczywiście u faceta, który pracuje w finansach i umiera w wieku czterdziestu lat na serce, to normalka.

— Chyba tak. Nic więcej?

— Masz na myśli: nic więcej oprócz otarć powstałych po tym, jak ciało wypadło z trumny?

— Cholera... Dzieciak z anatomopatologii puścił farbę?

— Nie, farbę puścił gliniarz, który po trzech dniach nadal ma odruchy wymiotne.



Uśmiechnąłem się, oglądając obrazy zapisane w mojej pamięci.

— To była brudna robota i ktoś musiał ją odwalić.

— Oczywiście ktoś oprócz ciebie.

— Posłuchaj, facet nie śmiał się z moich żartów.

— Nie mów nic więcej.

— Domyślam się, że pora zadzwonić do Nory.

— Przyszło mi coś do głowy — powiedziała Susan. — Może nie powinieneś jej jeszcze mówić o wynikach testów. Poczekajmy, może zacznie pękać.

— Zgodziłbym się, gdyby chodziło o kogokolwiek innego. Z Norą ten numer nie przejdzie. Nabierze tylko jeszcze większych podejrzeń. Obawiam się, że da dyla.

— Jesteś pewien?

— O ile można być czegokolwiek pewnym. Moim zdaniem, jeśli dojdzie do przełomu, to tylko wówczas, kiedy Nora uwierzy, że wszystko jest cacy.

— To znaczy, kiedy powiesz jej, że pieniądze są w drodze?

— Otóż to. Niech uwierzy, że jest o milion dziewięćset tysięcy bogatsza.

— Ja też uwierzyłabym wtedy, że wszystko jest cacy.

— Oboje byśmy uwierzyli.

— To oznacza, że będziesz musiał działać szybciej — orzekła Susan. — Wymówka, że wysłaliśmy czek pocztą, pozwoli ci co najwyżej na krótką zwłokę.

— Nie powinno być z tym problemów. Craig Reynolds zaskarbił sobie jej względy. Zyskam jeszcze więcej, kiedy zadzwonię z dobrymi wiadomościami.

— Pamiętaj o jednym — powiedziała Susan. — O czymś, co jest zawsze ważne, kiedy masz z nią do czynienia.

— To znaczy?

— Starając się uspić jej czujność, sam miej się na baczności.

## Rozdział 64

Była pora lunchu, kiedy Susan weszła do Angelo, jednej z najstarszych i najlepszych restauracji w Little Italy, położonej w dodatku nieopodal biur FBI. Doktor Donald Marcuse czekał na nią w ustronnej łoży.

—Susan... Cóż za zaszczyt. Coś takiego, udało ci się wyrwać z biura!

Susan mimo woli się uśmiechnęła. Donald Marcuse wiedział, że najłatwiej ją rozweselić sarkazmem. Był sądowym psychiatrą, który współpracował często z FBI. Po rozpadzie swojego małżeństwa Susan spotykała się z nim przez mniej więcej sześć miesięcy.

—Swoją drogą, masz piękną fryzurę — powiedział. Susan nosiła ostatnio krótkie włosy i zaczęła je lekko farbować na brązowo, czym strasznie się dreczyła.

—Tak z czystej ciekawości — odparła — bo w gruncie rzeczy guzik mnie to obchodzi, ale czy to nie była przypadkiem seksistowska odzywka?

Doktor wrzucił ramionami.

—Oto moja teoria: jeśli coś takiego ma prawo powiedzieć kobieta, mężczyzna też jest rozgrzeszony. Ale nie wiem, czy ta teoria się obroni.

— Chyba nie. Jest zbyt logiczna.

Zamówili lunch, a potem rozmawiali chwilę o bieżących sprawach i o tym, że Nowy Jork schodzi na psy. W końcu Susan zerknęła na zegarek.

— Dosyć bicia piany na dziś? — spytał Marcuse i miło się uśmiechnął. — Co naprawdę chodzi ci po głowie?

W ciągu następnych kilku minut Susan opowiedziała psychiatrze wszystko, co wiedziała o Norze Sinclair. Następnie poprosiła go, żeby postarał się nakreślić jej psychologiczny portret. Chciała wiedzieć, co uczyniło z Nory zabójczynią i jakiego rodzaju zabójczynią się stała.

Kiedy Marcuse przedstawiał jej swoje przemyślenia, jak zwykle robiła notatki. Później zamierzała przejrzeć je w biurze i być może zapoznać z nimi O'Harę.

Według doktora „czarna wdowa” to kobieta, która systematycznie zabija małżonków oraz partnerów seksualnych, a od czasu do czasu również innych członków rodziny. Alternatywą „wdowy” jest osoba, która zabija dla zysku. Tego rodzaju zabójczym traktuje swoją działalność w kategoriach czystego interesu.

— Prawie wszystkie seryjne morderczynie zabijają dla zysku — dodał Marcuse, który znał się na rzeczy.

Nora żywiła prawdopodobnie silnie zakorzenione przekonanie, że mężczyznom nie należy ufać. Być może została kiedyś skrzywdzona, zasugerował doktor. Jeszcze bardziej prawdopodobne było to, że skrzywdzona została jej matka. Przez mężczyznę albo kilku mężczyzn, kiedy Nora była mała.

— Być może Nora była molestowana w dzieciństwie. Większość moich kolegów przychyłałaby się do takiego wniosku. Ja nie przywiązuję wagi do tego rodzaju łatwych odpowiedzi. Odbierają całą przyjemność.

Donald Marcuse skończył wreszcie mówić o Norze i spojrzął na Susan.

— Zalaźła ci za skórę, prawda? — zapytał. — To do ciebie niepodobne.

Susan uniosła wzrok znad notatek.

— Ona jest bardzo niebezpieczna, Donaldzie. Gównu mnie obchodzi, czy była molestowana. Jest ładna i czarująca, i jest morderczynią. I nie zamierza przestać zabijać.

## Rozdział 65

Uznałem, że nie ma co dłużej tracić czasu. Po rozmowie z Susan niezwłocznie zadzwoniłem do Nory na komórkę. Nie odpowiedziała. Nagrałem jej się na pocztę głosową, zaznaczając, że mam dobre wiadomości.

Nora też nie traciła czasu. Oddzwoniła do mnie prawie natychmiast.

— Dobre wiadomości to coś, czego mi trzeba — powiedziała.

— Tak mi się wydawało. Dlatego od razu do ciebie zadzwoniłem.

— Czy to dotyczy... — zaczęła i zawiesiła, głos.

— Tak, mamy wyniki drugiej sekcji — wyjaśniłem. — Nie wiem, czy można to określić mianem „dobrych wiadomości”, ale z pewnością ucieszysz się, kiedy powiem, że kolejne testy potwierdziły wnioski, jakie wypływały z pierwszej sekcji.

Nora nie odezwała się.

— Jesteś tam?

— Jestem — odparła po kolejnej chwili milczenia. — Masz rację. „Dobre wiadomości” to zdecydowanie nie jest odpowiednie określenie.

— W takim razie może „ulga”?

—Może — zgodziła się i nagle załamał się jej głos. —  
Może teraz Connor będzie mógł nareszcie odpoczywać w  
spokoju.

Zaczęła cicho płakać i muszę przyznać, że brzmiało to  
przekonująco. Po ostatnim pociągnięciu nosem przeprosiła  
mnie.

—Nie musisz przeproszać — zapewniłem. — Wiem, ja-  
kie to było dla ciebie ciężkie. Choć właściwie może i nie  
wiem.

—Chodzi o to, że nie mogę przestać o tym myśleć. O  
tym, że wykopano jego trumnę.

—To było z pewnością jedno z najbardziej nieprzyjem-  
nych przeżyć, jakich doświadczyłem w mojej pracy — po-  
wiedziałem.

—To znaczy, że tam byłeś? — zapytała.  
Prawda cię ocali.

—Niestety, tak.

—A ten facet, który jest za wszystko odpowiedzialny?

—Masz na myśli tego psychola, O'Hare?

—Tak. Coś mi mówi, że chętnie uczestniczyłby w takim  
przedsięwzięciu.

—Może i tak — odparłem — ale facet nadal siedzi w  
Chicago. Między nami mówiąc, nie należy do ludzi, którzy  
chcieliby ubrudzić ręce. Ale dobra wiadomość... i myślę, że  
tym razem mamy prawo użyć tego określenia... jest taka, że  
O'Hara gotów jest wreszcie zamknąć to małe dochodzenie.

—Rozumiem, że niczego już nie podejrzewa?

—Och, on zawsze będzie podejrzewał wszystkich o  
wszystko. Jednak tym razem zdał sobie sprawę, że fakty są  
takie, jakie są. Centennial One dokona wypłaty. Milion  
dziewięćset tysięcy, co do grosza.

—Kiedy to nastąpi?

—Sprawie trzeba nadać bieg. No wiesz, teraz chodzi już  
tylko o rutynowe przekładanie papierów. Moim zdaniem  
będę miał dla ciebie czek za jakiś tydzień. To ci odpowiada?

— Jak najbardziej. Czy nie muszę w tym czasie czegoś zrobić? To znaczy wypełnić jakichś dokumentów?

— Trzeba będzie podpisać potwierdzenie wypłaty, ale zrobisz to, kiedy będziesz miała w ręku pieniądze. Oprócz tego musisz zrobić tylko jedno.

— Co takiego? — zapytała.

— Zjeść ze mną lunch. Przynajmniej w ten sposób mogę ci wynagrodzić wszystkie przykrości, których ci przysporzyłem.

— To naprawdę nie jest konieczne. Poza tym to wcale nie twoja wina. Byłeś słodki. Mówię serio, Craig.

— Wiesz co, masz rację — odparłem ze śmiechem. — Jeśli ta firma powinna zafundować komuś lunch, to właśnie tobie.

— Amen — powiedziała, sama również wybuchając śmiechem. Swobodnym i radosnym. Zrelaksowanym. Niepowstrzymanym. Który stanowił muzykę dla moich uszu. Albowiem brzmiał jak śmiech kogoś, kto przestaje mieć się na baczności.

## Rozdział 66

Telefon w domu w Westchester zadzwonił nazajutrz koło jedenastej rano. Nora odebrała, przekonana, że to Craig chce potwierdzić zaproszenie na lunch.

Myliła się.

— To ty, Noro?

— Tak. Kto mówi?

— Elizabeth. Elizabeth Brown.

Cholera. Siostra Connora telefonowała z Santa Monica i Norze zrobiło się głupio, że nie poznała jej po głosie. Formalnie rzecz biorąc, była gościem w jej domu.

Zakłopotanie Nory nie trwało jednak długo. Elizabeth w dalszym ciągu dręczyło poczucie winy. Jej głos ociekał słodyczą.

— Martwiłam się o ciebie — powiedziała. — Dobrze się czujesz?

Nora uśmiechnęła się pod nosem.

— Dziękuję, Elizabeth, jakoś się trzymam. Naprawdę jestem wdzięczna, że się odezwałaś. Z początku bałam się tutaj mieszkać. Oczywiście nie będę nadużywała twojej gościnności.

— Och, proszę, nie sądzisz chyba, że dlatego dzwonię — odparła Elizabeth. — Nawet mi to do głowy nie przyszło.

— Naprawdę?



— Oczywiście. Poza tym nawet gdybym chciała, nie miałabym czasu zająć się sprzedażą domu.

— Domyślam się, że jesteś zavalona pracą.

— Owszem. Dwa moje budynki są aktualnie w budowie, a pod trzeci kopią fundamenty.

— Uroki pracy architekta...

— Chciałabym je poznać. — Elizabeth westchnęła. — Nie, obawiam się, że jeśli chodzi o liczbę przepracowanych godzin, jestem typową pracoholiczką. Może to najlepszy sposób, żeby nie myśleć o Connorze.

— Wiem, o czym mówisz — odparła Nora. — Tylko w zeszłym miesiącu wzięłam trzech dodatkowych klientów... o trzech więcej niż zazwyczaj obsługuję.

Rozmawiały jeszcze przez kilka minut. W ich pogawędce nie było żadnego przymusu. Żadnego wahania. Każde zdanie wydawało się naturalne.

— Wiesz co, to przykre — oznajmiła w końcu Elizabeth.

— Co takiego?

— Okoliczności, w jakich się poznałyśmy. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

— Święta racja.

— Gdybyś w trakcie swoich peregrynacji zahaczyła o moją okolicę, to może zjemy razem lunch albo coś w tym rodzaju. Albo kiedy ja zawitam do Nowego Jorku...

— Bardzo chętnie — odparła Nora. — Naprawdę bardzo chętnie. Jesteśmy umówione.

W twoich snach, Lizzie.

## Rozdział 67

Tuż przed wpół do pierwszej podjechałem pod dom Conнора Browna... tak właśnie nazywałem w myślach to miejsce. Nora wyszła przez frontowe drzwi, zanim zdążyłem się zatrzymać.

Miała na sobie lekką letnią sukienką bez rękawów, w czerwone i zielone kwiaty, podkreślającą miło jej opaleniznę, nie mówiąc o nogach. Wsiadła do mojego samochodu i od razu oznajmiła, że umiera z głodu.

— To jest nas dwoje — odparłem.

Pojechaliśmy do miasteczka Chappaqua, do restauracji o nazwie Le Jardin du Roi. Była ekskluzywna, ale nie przesadnie wykwinna — białe obrusy i drewniane belki nad głowami czyniły z niej chyba modny podmiejski lokal. Usiedliśmy przy stoliku dla dwojga w odległym rogu.

Goście składali się w połowie z biznesmenów, w połowie z pań, które przyszły na lunch. Naszą parę — mnie w garniturze oraz Norę w kwiecistej letniej sukience — można było zaliczyć od biedy do obu tych kategorii. Tak czy inaczej, Nora była bez wątpienia najatrakcyjniejszą kobietą, co potwierdzały obracające się głowy obecnych tam mężczyzn.

Podszedł do nas kelner.

— Mogę podać państwu coś do picia?

Nora nachyliła się ku mnie.

— Będziesz miał kłopoty, jeśli zamówię wino? — zapytała.

— Zależy, ile butelek — odparłem i uśmiechnąłem się. — Nie, nie złamię żadnych wewnętrznych przepisów firmy — zapewnilem ją, kiedy odwzajemniła mój uśmiech.

— To dobrze — stwierdziła, podając mi kartę win.

— Nie, śmiało — powiedziałem. — Ty wybierz.

— Skoro nalegasz...

— Może potrzebują państwo chwili namysłu? — zapytał kelner.

— Nie, to nie będzie konieczne. — Nora przysunęła do siebie kartę win i natychmiast wskazała palcem pozycję w połowie strony. — Chateauneuf du Pape — powiedziała.

Podjęcie decyzji zajęło jej niecałe sześć sekund.

— Kobieta, która wie, czego chce — skomentowałem, kiedy kelner skinął głową i odmaszerował.

Nora wzruszyła ramionami.

— Przynajmniej jeśli chodzi o wino.

— Miałem na myśli bardziej ogólne sprawy.

Posłała mi zaciekawione spojrzenie.

— To znaczy?

— Na przykład twoją karierę. Jestem przekonany, że od najmłodszych lat chciałaś być dekoratorką wnętrz.

— To nieprawda.

— Chcesz powiedzieć, że nigdy nie meblowałaś swojego Wyśnionego Domku Barbie?

Nora roześmiała się i wyglądało na to, że na razie całkiem dobrze się bawi.

— No dobrze, rzeczywiście — zgodziła się. — A ty? Zawsze wiedziałeś, co chcesz robić?

— Nie. W moim stoisku z lemoniadą sprzedawałem tylko lemoniadę. Ani jednej polisy ubezpieczeniowej.

— Właściwie chciałam cię o to całkiem poważnie zapytać. Nie zrozum mnie źle, ale w twoim przypadku odniosłam

całkiem przeciwstawne wrażenie. Jakbyś był stworzony do czegoś innego.

— Na przykład do czego? W jakiej roli mnie widzisz, Noro? Co powinienem robić?

— Nie wiem. Coś...

— Bardziej ekscytującego?

— Nie to miałam na myśli.

— Owszem, miałaś, i to nic złego. Nie czuję się urażony.

— Nie powinieneś. Właściwie powinieneś potraktować to jako komplement.

Zachichotałem.

— Teraz przeciągasz struną.

— Nie, mówią poważnie. Masz w sobie coś szczególnego, jakąś wewnętrzną siłę. No i jesteś zabawny.

Od odpowiedzi wybawił mnie kelner, który przyniósł wino. Kiedy otwierał butelkę, Nora i ja zerknęliśmy do menu.

Czy ze mną flirtowała? Nie, Einsteinie, flirtowaliśmy ze sobą oboje.

Nora zakotyssała winem w kieliszku, wypła je i stwierdziła, że jest dobre. Kelner napełnił kieliszki. Kiedy odszedł, zaproponowała toast.

— Za Craiga Reynoldsa. Za to, że był dla mnie taki niewiarygodnie miły w złą godzinę.

Podziękowałem i wpatrując się w siebie, stuknęliśmy się kieliszkami. Nie wiedziałem, że zła godzina dopiero nastąpi.

## Rozdział 68

Faceci w garniturach wyszli. Podobnie jak panie, które jadły lunch. Z wypełniającego Le Jardin popołudniowego tłumu pozostały tylko dwie osoby. Nora i *moi*. Domowe pate, sałatka z karczocha, pieczony łosoś oraz małże świętego Jakuba — wszystko to już skonsumowaliśmy, aczkolwiek w niespiesznym tempie. Na naszym stoliku w rogu pozostała tylko prawie pusta butelka wina.

Nasza trzecia butelka wina Chateauneuf du Pape.

Zwróćcie uwagę, że mój pierwotny plan bynajmniej nie zakładał wypicia w trakcie lunchu połowy winnicy. Kiedy się rozpędziliśmy, pierwotny plan został zmodyfikowany, i to kilkakrotnie. Alkohol stanowi w końcu wspaniałe serum prawdy. Czyż był jakiś lepszy sposób, by dowiedzieć się o Norze czegoś, czego nie powinienem się dowiedzieć? Im dłużej rozmawialiśmy, tym większe miałem szanse. Tak przynajmniej sobie powtarzałem.

W końcu zerknąłem przez ramię na kelnerów, którzy nakrywali stoliki do kolacji. Młody chłopak zamiatał leniwie podłogę.

— Istnieje cienka granica pomiędzy zasiedzeniem się i zamarrudzeniem — powiedziałem do Nory. — Wydaje mi się, że właśnie ją przekroczyliśmy. Lepiej się stąd wynośmy,

zanim wymiecie nas razem z okruszkami.

Dałem znak kelnerowi, który z wielką ulgą podał nam rachunek. Trzydziestoprocentowy napiwek sprawił, że wychodziliśmy bez poczucia winy, chociaż niekoniecznie trzeźwi. Przynajmniej jeśli chodzi o Norę. Przecież była chuda jak patyk. Również czułem efekty spożytego alkoholu, mając nad nią przewagę czterdziestu kilometrów.

— Może się trochę przejdziemy? — zaproponowałem po wyjściu na zewnątrz.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy się zgodziła. Popijanie w pracy to jedno. Popijanie i siadanie za kierownicą to co innego. Wiedziałem, że wystarczy łyk świeżego powietrza i poczuje się lepiej.

— Może odwiedzimy Clintonów — zaświergotała Nora. — Mieszkają przy tej ulicy.

Postanowiłem puścić to mimo uszu. Nie chciałem iść na łatwiznę. Spacerowaliśmy, mijając wystawy. Zatrzymałem się przed pasmanterią o nazwie „Srebrna Igła”.

— Przypomina mi moją matkę — powiedziałem. — Uwielbiała robić na drutach.

— Jakiego rodzaju rzeczy? — zapytała Nora, która była zaskakująco uważną słuchaczką, wcale nie tak bardzo skupioną na sobie.

— Normalne. Kołdry, poduszki, swetry. Raz na Boże Narodzenie, kiedy byłem jeszcze w szkole średniej, zrobiła mi dwa swetry, jeden czerwony, drugi niebieski.

— To słodkie.

— Tak, ale nie znasz mojej matki — dodałem, podnosząc palec. — Na kolację zszedłem w czerwonym swetrze i wiesz, co mi powiedziała? „Co się stało? Nie podoba ci się niebieski?”.

Nora traciła mnie w ramię.

— Zmyślasz!

Owszem, zmyślałem.

— Nie, to prawda — powiedziałem i ruszyliśmy dalej. — A twoja matka? Też lubi robić na drutach?

Nora nagle zmarkotniała.

— Moja matka... odeszła przed kilku laty.

— Przykro mi.

— Nic się nie stało. Kiedy żyła, była wspaniałą mamą. Wędrowaliśmy dalej, tym razem w milczeniu.

— Widzisz, co zrobiłem... — mruknąłem, potrząsając głową.

— Co?

— Udało mi się zepsuć idealnie piękną chwilę.

— Nie bądź głupi — odparła, machając ręką. — To nadal jest piękna chwila. Prawdę mówiąc, dawno już tak dobrze się nie bawiłam. Potrzebowałam tego.

— Ach, mówisz tak tylko dlatego, żeby mnie pocieszyć.

— Nie, mówię tak, bo dzięki tobie czuję się lepiej. Do-myślasz się chyba, że ostatnie tygodnie były dla mnie okropne. A potem ni stąd, ni zowąd, pojawiłeś się ty.

— Owszem, tyle że jeszcze bardziej dałem ci w kość.

— Z początku tak — zgodziła się. — Później okazało się, że jesteś aniołem w przebraniu.

O mało się nie wzdrygnąłem, zdając sobie sprawę z niezamierzonej ironii tego porównania. Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu i czekaliśmy na zielone światło. Słońce zaczęło się chować za koronami drzew. Nora skrzyżowała ręce na piersiach i lekko zadrżała. Wydawała się taka delikatna.

— Proszę — powiedziałem, zdejmując marynarkę i rzucając jej na ramiona. Kiedy ściągnęła razem kłapy, nasze dłonie na krótko się zetknęły. Przed nami zapaliło się zielone światło, ale nie zrobiliśmy nawet jednego kroku. Zamiast tego staliśmy nieruchomo, wpatrując się w siebie.

— Nie chcę, żeby to się skończyło — powiedziała, a potem nachyliła się do mnie i szepnęła: — Pojedźmy gdzieś, dobrze?

## Rozdział 69

Nie musiałem być Johnnym Casanową, żeby zgadnąć, co ma na myśli. „Pojedźmy gdzieś”. Nawet Johnny Kapuściana Głowa zrozumiałby w lot tę niezbyt subtelną aluzję. Nora nie mówiła o filizance kawy, po której rozjaśniłoby nam się w głowach.

Nie, jedyną niejasną dla mnie w tym momencie sprawą było pytanie: „Jak zareaguje na to Johnny O’Hara?”.

Przez cały lunch nie przeszkadzało mi to, że ja i Nora coraz bardziej się do siebie zbliżamy, flirtujemy, czy jak tam nazwać to, co robiliśmy. W gruncie rzeczy, tak to miało wyglądać. Teraz nagle za bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

Czy mogła być mną zainteresowana? Oczywiście nie moim prawdziwym ja. Chodziło o Craiga Reynoldsa, agenta ubezpieczeniowego.

Może to efekt wina, które wypija. A może chodziło o coś innego, coś, czego nie dostrzegłem. Rola, jaką odgrywała. Jedno było pewne. Nie leciała na moje pieniądze.

Sprzedawanie ubezpieczeń na życie nie jest na ogół uważane za lukratywną profesję. Nawet najlepsi agenci nie mogą się równać z kimś pokroju Connora Browna, dyrektora funduszy osłonowych i finansowego guru. Poza tym Nora wiedziała, gdzie mieszkam jako Craig. Wiedziała już, że bmw



i eleganckie ciuchy to tylko pozory. Mimo to powiedziała to, co powiedziała.

„Pojedźmy gdzieś”.

Stałem na skrzyżowaniu w miasteczku Chappaqua, wpatrując się głęboko w jej zielone oczy. Na rozwidleniu dróg.

— Chodź ze mną — zaproponowałem.

Podeszliśmy do mojego samochodu zaparkowanego przed restauracją. Otworzyłem przed nią drzwiczki od strony pasażera.

— Dokąd mnie zabierasz? — zapytała.

— Zobaczysz.

Obszedłem dookoła samochód i usiadłem za kierownicą. Zapięliśmy pasy, po czym zapaliłem silnik i stojąc w miejscu, dodałem kilka razy gazu. A potem wrzuciłem bieg.

# Rozdział 70

Nora zorientowała się, dokąd jedziemy, na półtora kilometra przed dotarciem do celu.

— Odwozisz mnie do domu, prawda?

Odwróciłem się do niej i kiwnąłem powoli głową.

— Przepraszam — powiedziałem.

— Ja też cię przeproszam. Ale masz rację. To chyba przez to wino. Tak mi głupio.

Mój ton oraz język mojego ciała miały świadczyć o tym, że z łatwością podjąłem tę decyzję, że myśl o spędzeniu z nią nocy nigdy nie przyszła mi do głowy. Niestety, nie była to do końca prawda.

Nora była niezwykle piękną kobietą, która złożyła mi zaskakującą propozycję. Musiałem użyć całej siły woli, żeby przypomnieć sobie, dlaczego z nią jestem.

Nie sposób jednak zaprzeczyć, że istniała między nami chemia, przyciąganie. Coś, czego, byłem o tym przekonany, nie potrafiła udawać. A nawet jeśli potrafiła, dlaczego miałem się tym przejmować?

Ostatni odcinek drogi do „domu Connora” przebyliśmy w milczeniu. Kiedy na nią raz zerknąłem, nie mogłem nie

zauważyć, że podwinęła się jej sukienka. Odsłaniając opalone, jędrne, szczupłe uda i przypominając, czym przed chwilą wzgardziłem.

Skręciłem na kolisty zwirowy podjazd i zatrzymałem się w miejscu. W tym momencie Nora chyba mi odpuściła.

— Rozumiem — powiedziała. — W zaistniałych okolicznościach raczej nie powinniśmy tego robić.

— Chyba nie.

— Dziękuję za lunch. Było bardzo miło.

Nachyliła się i cmoknęła mnie w policzek. Poczułem, jak muskają mnie jej włosy. W nozdrza wpadł mi zapach jej perfum, bardzo przyjemny, o cytrusowej nucie.

— Dam... uhm... — Odchrząknąłem. — Dam ci znać, kiedy będziemy gotowi do wypłaty odszkodowania, dobrze?

— Jasne, Craig. Byłeś wspaniały.

Nora wysiadła z samochodu i odeszła powoli w stronę schodów. Czy odchodziła również z mojego życia? Zaczekałem, aż wyjmie klucze z torebki. Potem odwróciłem wzrok i przez kilka sekund kręciłem gałką radia. Kiedy na nią ponownie spojrzałem, nadal próbowała otworzyć drzwi.

— Wszystko w porządku? — zapytałem, opuszczając szybę.

Odwróciła się do mnie sfrustrowana, kręcąc głową i wzdychając.

— Ten cholerny zamek chyba się zaciął. To staje się coraz bardziej krępujące.

— Zaczekaj.

Wysiadłem z samochodu i przyjrzałem się kluczowi. Rzeczywiście wystawał do połowy z zamka.

Jednak wcale się nie zaciął.

Kiedy nacisnąłem klucz, wsunął się gładko do cylindra. Odwróciłem się i zobaczyłem Norę, która była tuż-tuż.

— Mój ty bohaterze — powiedziała, przytulając się do mnie. Jej nogi były bardzo jędrne. Piersi bardzo miękkie. Objęła mnie ramionami i zaczęła całować mnie w dolną

wargę. — Oszukałam cię. Tak naprawdę wcale nie sędzę, że to zły pomysł.

W tym momencie górę wziął instynkt i nie mogłem już polegać na mojej silnej woli.

Odwzajemniłem pocałunek.

# Rozdział 71

Niczym łamiąca się fala wpadliśmy do holu. Zamknąłem za sobą drzwi kopniakiem. Co ty wyprawiasz, O'Hara?

Nadal mogłem to przerwać. Mogłem się wycofać. Musiałem tylko przestać całować się z Norą.

Nie potrafiłem tego zrobić. Była taka miękka, tak wspinałem się czułem, mając ją w ramionach. Cudownie pachniała: jej ciało i włosy. Zielone oczy były tak blisko.

Nora wzięła mnie za rękę i wsunęła ją między opalone uda. Na chwilę zabrakło jej tchu. Kiedy dotknąłem gładkiego jedwabiu fig, ścisnęła mnie mocniej i zaczęła kołysać biodrami. Jęknęła i to musiało być prawdziwe, musiało. Dlaczego miałaby przede mną udawać?

Moja marynarka i koszula wylądowały na podłodze. A potem spodnie. Na ułamek sekundy przestaliśmy się całować, żeby Nora mogła ściągnąć sukienkę przez głowę.

— Przerznij mnie — powiedziała, lekko zdyszana. Tak po prostu. Tyle że w jej ustach zabrzmiało to seksownie i nieodparcie.

Pociągnęła mnie na podłogę, po czym siadła okrakiem na moich udach, odsunęła figi, wzięła mnie w dłoń i wprowadziła w siebie. Nawet w tak upojnej chwili w głowie kołatała mi myśl: Dajesz się zerznąć, O'Hara.

Byłem kompletnie oszołomiony. Pokój wirował nad moją głową. Pokój? Znajdowaliśmy się w marmurowym holu domu Connora Browna, mężczyzny, z którym się zaręczyła. Mężczyzny, którego być może zabiła. Nie można było chyba wyobrazić sobie bardziej porąbanej sytuacji.

Pomyśl, co robisz. Nagle usłyszałem, że coś dzwoni przy moich stopach, i dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, co to jest.

Moja komórka.

Chryste. Wiedziałem, kto dzwoni. Susan! Chciała się dowiedzieć, co porabiam. I jak tu nie wierzyć w kobiece wyzucie czasu.

— Nawet nie myśl o tym, żeby odebrać — uprzedziła mnie Nora.

Nie bój się, nie zrobię tego.

Dzwonek umilkł, a my kontynuowaliśmy to, co robiliśmy, ani na chwilę nie zwalnając tempa. Wpadliśmy w rytm, idealnie zespolony rytm. Po twarzy muskały mnie jej piękne brązowe włosy. Była na górze; potem na dole; kłęczała na czworakach i patrząc na delikatny łuk jej pleców, słyszałem głębokie jęki, które prosiły o więcej, aż w końcu oboje szczytowaliśmy i w holu odbiły się echem nasze głosy.

Przez dobre kilka minut, a może i dłużej gapiliśmy się po prostu oboje w sufit, nie mówiąc nic i próbując uspokoić oddech.

W końcu się odezwałem.

— Zaciął się zamek, tak?

— Przecież to ty dałeś się nabrać.

— Żebyś wiedziała — odparłem.

A potem roześmialiśmy się, naprawdę szczerze, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaka nam się w życiu przytrafiła. Nora potrafiła się pięknie śmiać, kiedy była na luzie. Człowiek chciał śmiać się razem z nią.

— Jesteś głodny? — zapytała. — Co powiesz na stek? Mam wołowinę Kobe. A może omlet?

— W dodatku jest świetną kucharką!

— Przyjmuję to za odpowiedź twierdzącą. Jeśli masz ochotę, w pokoju gościnnym jest prysznic. Po schodach, pierwsze drzwi po prawej.

— Pysznic to wspomniała rzecz — mruknąłem.  
Nora obróciła się na bok i pocałowała mnie.

— Nie tak wspomniała jak ty, Craigu Reynoldsie — powiedziała.

## Rozdział 72

Wyszedłem spod natrysku i wytarłem wierzchem dłoni zaparowane lustro, by móc spojrzeć sobie w oczy. Potrząsnąłem głową. A potem zrobiłem to jeszcze raz.

Naprawdę przeholowałeś, O'Hara.

Praca tajnego agenta wymaga pewnej swobody manewru, lecz tym razem przekroczyłem wszelkie granice. Wykonałem Z nawiązką to, co mi polecono, ale nie powinienem raczej dostać za to medalu w Hoover Building w Waszyngtonie.

Od tej chwili czekał mnie taniec na linie.

— Żyjesz, Craig?

Nora wołała mnie, stojąc u podnóża schodów. Otworzyłem drzwi łazienki.

— Pysznic był boski. Już idę.

— To dobrze — stwierdziła. — Twój omlet zaraz będzie gotowy.

Zaczesalem włosy do tyłu, ubrałem się i zbiegłem na dół, żeby pomóc Norze w kuchni. Było na co popatrzeć, kiedy tak stała, tylko w figach i biustonoszu, z łopatką w ręku. Cóż za prześliczne ciało, co za cudowny uśmiech...

Zauważyłem, że na stole jest tylko jedno nakrycie.

— Nie będziesz nic jadła? — zapytałem.



— Nie, skubnęłam już trochę szynki — odparła i podniosła butelkę wody. — I popijam to co zwykle. Muszę dbać o linię.

— Ja zadbam o twoją linię za ciebie. Nie będę z niej spuszczał oka.

Usiadłem i patrzyłem na Norę, kiedy smażyła omlet. To znaczy raczej pożerałem ją wzrokiem. Była tak samo piękna z tyłu, jak z przodu. A co do talii... jakiej talii?

Uspokój się, O'Hara.

Naprawdę nie potrafiłem. To było dziwne uczucie i przypomniałem sobie nagle faceta, którego kiedyś znałem. Pracował w wydziale zwalczania narkotyków — porządny gość, dobry gliniarz. Przynajmniej do chwili, kiedy popełnił fatalny błąd. Z czystej głupoty skosztował raz towaru i wpadł w nałóg.

Lekcja była oczywista. Nawet po prysznicu wciąż pachniałem Norą. Wciąż czułem jej smak. I mogłem myśleć tylko o tym, jak bardzo znowu jej pragnę. Nie wiedziałem, jak się opanować.

— Smacznego — powiedziała.

Spojrzałem na wielki puszysty omlet, który przede mną postawiła.

— Wygląda wspaniale — stwierdziłem. Poczulem wilczy apetyt, być może dlatego, że lunch był taki skromny. Wziąłem

do ręki widelec i zjadłem jeden kawałek. — Pycha.

Nora wysunęła do przodu podbródek.

— Chyba byś mnie nie oszukiwał?

— Kto, ja?

— Tak, ty, Craigu Reynoldsie. — Pochyliła się i przeczesła mi dłonią włosy. — Chcesz piwo albo coś w tym rodzaju?

— Może trochę wody.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, był alkohol. Nora poszła do kredensu po szklankę, a ja pałaszowałem dalej omlet. Rzeczywiście był wyborny.

— Możesz zostać na noc? — zapytała, wracając z wodą. — Proszę, zostań.

Jej prośba zaskoczyła mnie, choć może nie powinna. Rozejrzałem się po kuchni i chyba dopiero teraz zaczęło do

mnie docierać, gdzie jestem. Cały sprzęt był na najwyższym profesjonalnym poziomie, naprawdę piękny. Firmy Viking, Traulsen, Wolf, Miele, Gaggia — najlepsze marki na świecie.

Nora zerknęła w stronę holu. Na marmurowej podłodze wciąż leżała jej sukienka na ramiączka.

— Chyba trochę za późno, żeby robić ceregiele — powiedziała.

Miała rację i zamierzałem jej to przyznać... gdy nagle coś bardzo dziwnego zaczęło się dziać w moim brzuchu.

## Rozdział 73

— Co ci jest? — zapytała Nora.

— Nie wiem — odparłem. — Ni stąd, ni zowąd czuję się, jakbym...

Jakbym miał zaraz zarzygać całą kuchnię.

Zerwałem się z krzesła i pobiegłem do łazienki. Ledwie zdążyłem dopaść ustępu. Padłem na kolana i gwałtownie zwymiotowałem. Poszedł cały omlet, a także resztki lunchu.

— Dobrze cię czujesz, Craig? — zapytała zza drzwi łazienki.

Nie, nie czułem się dobrze. Porwała mnie sztormowa fala mdłości i cały się chwiałem. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Mogłem tylko złapać się mocno sedesu i mieć nadzieję, że mi przejdzie.

Gdyby mógł mnie teraz widzieć ten gliniarz z cementarza...

— Craig? Nie strasz mnie.

Byłem zbyt zaabsorbowany rzyganiem, żeby z nią konwersować. Kręciło mi się w głowie i wyraźnie osłabłem.

— Może ci coś przynieść? — zapytała.

Obejmując rękoma porcelaną, poczułem nagły lęk: co będzie, jeśli atak nigdy mi nie przejdzie? Tak bardzo źle się czułem; byłem taki przerażony.

— Craig, proszę, powiedz coś — ponagliła.

Chwilę później atak minął. Na szczęście. Tak samo szybko, jak się pojawił. Po prostu.

— Nic mi nie jest — oświadczyłem, równie zadowolony, jak zaskoczony. — Zaraz wyjdę.

Poczłapałem do umywalki, wyplukałem usta i spryskałem zimną wodą twarz. Ponownie przejrzałem się w lustrze. To Siusiało być zatrucie pokarmowe, prawda?

Nie można było jednak wykluczyć innej możliwości — dostałem torsji, ponieważ fatalnie skrewiłem i gnębiły mnie wyrzuty sumienia. Innymi słowy, mieszanka omletu i mojego gigantycznego poczucia winy okazała się lekko niestrawna.

Jezus, O'Hara. Weź się w garść!

Wróciłem do kuchni i do bardzo skonfundowanej Nory.

— Śmiertelnie mnie wystraszyłeś — powiedziała.

— Przepraszam. To było dziwne. — Próbowałem za wszelką cenę znaleźć przekonujące wyjaśnienie. — Może jajko było Zepsute?

— Możliwe. Och, okropnie się czuję. Och, Craig. Ale już ci lepiej, prawda?

Pokiwałem głową.

— Na pewno? Nie próbuj zgrywać bohatera.

— Nie próbuję.

— Teraz to ja czuję się okropnie — oznajmiła. — Już nigdy nie będziesz chciał zjeść niczego, co ugotuję.

— Nie bądź głupia, to nie twoja wina. — Kąciki ust opadły jej żałośnie. Wydawała się zraniona i wystraszona. Podszedłem i objąłem ją. — Pocałowałbym cię, ale...

Nora nagle się uśmiechnęła.

— Mogę ci znaleźć szczoteczkę — powiedziała. — Pod Jednym warunkiem...

— Jakim?

— Że zostaniesz tutaj na noc. Jeszcze raz... z uczuciem... bardzo cię proszę.

Może gdyby nie miała na sobie tylko majtek i biustonosza...

Może gdybym nie trzymał jej w tym momencie w ramionach... Być może wtedy mógłbym jej odmówić. Może... choć szczerze w to wątpię.

—Zostanę, ale też pod jednym warunkiem — powiedziałem.

—Wiem, o czym myślisz, i zgadzam się — odparła.

Oznaczało to, że tej nocy spaliśmy z dala od małżeńskiej sypialni. Choć w zasadzie niewiele zazналиśmy snu. Obiecałem sobie, że to będzie tylko jedna noc. Nazajutrz położę temu kres. Znajdę sposób, żeby być blisko niej, lecz nie utrzymywać intymnych stosunków.

Mimo to czułem w głębi duszy, że źle się dzieje. Czułem to wszędzie.

Zadurzyłem się w Norze.

# Rozdział 74

Następnego dnia rano obudził mnie przykry odgłos dzwonka do drzwi. Nora usiadła na łóżku.

—Kto to może być o tak wczesnej porze?

Zerknąłem na zegarek.

—Cholera.

—Co?

—Nie jest wcale tak wczesnie. Prawie wpół do dziesiątej. W odpowiedzi na jej ustach pojawił się figlarny uśmiech, jednocześnie zdrowy i ponętny.

—Nieźle się umęczyliśmy.

—Proszę bardzo, śmiej się. Od godziny powinienem być w biurze.

—Nie martw się, napiszę ci usprawiedliwienie.

Dzwonek zabrzączał ponownie, tym razem kilkakrotnie.

Przypominał odgłos wietrznych dzwonekó w podczu hu-raganu.

—Ktokolwiek to jest, pozbędę się go — stwierdziła No-ra.

Wstała bajecznie naga z łóżka, podeszła do okna i wyj-rzała zza firanki.

—Cholera, na śmierć zapomniałam.

—O czym?

— To Harriet.

Nie miałem pojęcia, kim jest Harriet, i niewiele mnie to obchodziło. Wiedziałem tylko, że nie chcę, by ktokolwiek tu się dobijał — nie kiedy byłem w środku.

— Zdołasz się jej pozbyć?

— Właściwie nie bardzo. Wyświadcza mi wielką przysługę.

— A jeśli mnie z tobą zobaczy?

— To się nie zdarzy. Poprosiłam ją, żeby obejrzała meble, które zabierze do swojego komisju. Zostań chwilę, nie będziemy wchodzić do tego pokoju. To nie potrwa długo.

Dla Johna O'Hary nie stanowiło to wielkiego problemu; Craig Reynolds musiał jednak iść do pracy.

— Już i tak jestem spóźniony, Noro — powiedziałem. — Musi tu być jakieś tylne wyjście, przez które zdołam się wyślizgnąć.

— Widziała twój samochód. Jeśli zniknie, kiedy będzie stąd wychodziła, zacznie mnie wypytywać. Oboje tego nie chcemy.

Wzięłem głęboki oddech i wypuściłem powietrze z płuc.

— Ile ci to zajmie?

— Powiedziałam ci, niedługo. — Otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz. — Przepraszam, Harriet, już schodzę! — zawołała. — Śliczny kapelusz, kochanie. — Nagle odwróciła się i wskoczyła do mnie z powrotem do łóżka. — A co do twojego biura — powiedziała, sięgając pod prześcieradło — nie sądzę, żebyś musiał tam dzisiaj iść.

— Nie sądzisz?

— Absolutnie nie. Uważam, że powinienes pójść na wargary, żebyśmy mogli się trochę zabawić.

To, co mówiłem, nie miało znaczenia. Dłoń Nory pod prześcieradłem odkryła już, co myślałem.

— Mógłbym chyba wziąć wolny dzień...

— Zuch chłopak.

— Co będziemy robić?

Nora zerknęła na okrywające mnie prześcieradło.

— Powiem ci co. Wygląda na to, że ktoś wybiera się na kemping.

Wyskoczyła z łóżka. Była bardzo zwinna. Musiała dużo Ćwiczyć.

— Zaczekaj, nie możesz mnie tak teraz zostawić! — zawołałem.

— Muszę. Harriet czeka na dole i powinnam coś na siebie płożyć. — Zerknęła ponownie na prześcieradło i na jej twarzy pojawił się ten sam figlarny uśmiech. — Zachowaj tę myśl na później — dodała.



## Rozdział 75

Leżałem na łóżku, gapiąc się w sufit i starając się zachować tę myśl. Sypialnia należała pewnie kiedyś do służącej albo niani, ale i tak wydawała się o wiele miłsza od mojej. Zacząłem się zastanawiać, jak spędzić resztę dnia i dokąd wybrać się z Norą. A co ważniejsze, jak pokierować naszym rodzącym się związkiem, czy jak nazwać to, co nas połączyło.

Nora z pewnością wiedziała, jak zdobyć to, czego chciała. Ale czy byłem tym, czego chciała? I czego chciałem ja sam? Udowodnić, że jest niewinna?

Powinienem dać sobie z tym spokój. Jedyne naprawdę ważne pytanie brzmiało: czy miała coś wspólnego ze śmiercią Connora Browna oraz zniknięciem jego pieniędzy? Moim zadaniem było uzyskanie odpowiedzi.

Zamknąłem oczy i po kilka sekundach szeroko je otworzyłem.

Wyskoczyłem z łóżka, podbiegłem do wiszącego na krześle garnituru, wyciągnąłem komórkę z kieszeni spodni i zerknąłem na wyświetlający się numer, żeby przekonać się o tym, o czym dobrze już wiedziałem. To była Susan!

Nie mogłem wypiąć się na nią po raz drugi. Wiedziała, że zawsze noszą ze sobą telefon i że nie będą poza zasięgiem.

Zachowuj się naturalnie, O'Hara.  
— Halo?  
— Dlaczego szepczesz? — zapytała.  
— Jestem na turnieju golfa.  
— Ha, ha. Gdzie jesteś naprawdę?  
— W bibliotece Briarcliff Manor.  
— W to wierzę jeszcze mniej.  
— Ale to prawda — odparłem. — Szlifuję mój ubezpieczeniowy żargon.  
— Dlaczego?  
— Nora zadawała mi masę pytań. Jest bardzo bystra. Nie mam pojęcia, czy mnie sprawdza, czy jest po prostu ciekawa. Tak czy owak, muszę wiedzieć, o czym mówię.  
— Kiedy się z nią ostatnio kontaktowałeś?  
— Doszedłem do wniosku, że „przez całą noc” nie będzie najlepszą odpowiedzią na to pytanie.  
— Wczoraj — odparłem. — Craig Reynolds zabrał ją na lunch, żeby przeprosić za wszystkie przykrości, które spotkały ją z powodu Johna O'Hary.  
— Trafne posunięcie, spryciarzu. Wspomniałeś oczywiście o zbliżającej się wypłacie?  
— Owszem, i sprawiło jej to wyraźną ulgę. Właśnie wtedy zaczęła mnie wypytywać o szczegóły.  
— Sądzisz, że cię podejrzewa?  
— Trudno coś powiedzieć w jej przypadku.  
— Musisz coś zrobić, żeby się przed tobą otworzyła.  
Przełknąłem głośno ślinę.  
— Powiem ci, co myślę — oznajmiłem. — Może po tym lunchu Craig Reynolds powinien zaprosić ją na kolację?  
— Masz na myśli randkę?  
— Nie ująłbym tego w ten sposób. Niedawno zmarł jej narzeczony. Ale owszem, coś w rodzaju randki. Powiedziałaś, że powinna się bardziej otworzyć.  
— No nie wiem... — mruknęła Susan.

— Ja też nie wiem. Kończą mi się pomysły, nie mówiąc o czasie.

— A jeśli ci odmówi?

Roześmiałem się.

— Nie doceniasz uroku osobistego O'Hary.

— Nieprawda. Dlatego właśnie pracujesz przy tej sprawie, przyjacielu. Wspomniałeś jednak, że Nora nie robi wrażenia dziewczyny, która zadurzyłaby się w agencie ubezpieczeniowym.

Ugryzłem się w język.

— Szczerze mówiąc, myślałem, że będziesz się martwić tym, że się zgodzi.

— Wierz mi, że będę — odparła. — Ale chyba masz rację. To prawdopodobnie nasza ostatnia szansa.

Miałem właśnie zamiar jej przytaknąć, kiedy za drzwiami rozległy się głosy. Nora i Harriet wchodziły po schodach i rozmawiały.

— Cholera...

— Co się stało?

— Muszę kończyć — powiedziałem. — Bibliotekarka posłała mi groźne spojrzenie.

— No dobrze, kończmy. Bądź ostrożny, O'Hara.

— Masz rację. Wygląda na wredną babę.

— Bardzo śmieszne.

Rozłączyłem się i zacząłem ponownie wpatrywać się w sufit. Nie byłem zachwycony tym, że muszę okłamywać Susan, ale nie miałem wyboru. Chciała wiedzieć, czy Nora coś podejrzewa. Zadałem sobie to samo pytanie, myśląc o Susan. Czy wyczuła, że kłamię?

Należała do najbardziej nieufnych osób, jakie znałem. Dlatego była moją szefową.

## Rozdział 76

Nora wróciła, uśmiechając się radośnie i tryskając energią. Wskoczyła do łóżka i zaczęła całować mnie w pierś, policzki i usta. Przewracała przy tym oczyma i robiła śmieszne miny, za które w innych okolicznościach nawet bym ją pokochał.

— Tęskniłeś za mną?

— Straszliwie — odparłem. — Jak ci poszło z Harriet?

— Wspaniale. Mówiłam ci, że to nie potrwa długo. Jestem dobra. Nie uwierzyłybyś, jaka dobra.

— To nie ty musiałaś tkwić sama w tym pokoju.

— Och, mój ty biedaku — powiedziała, drocząc się ze mną. — Potrzebujesz świeżego powietrza. To kolejny powód, dla którego nie możesz iść dzisiaj do pracy.

— Odpowiedź odmowna nie wchodzi w rachubę?

— W gruncie rzeczy... nie.

Wskazałem głową marynarkę i spodnie, wiszące na krzesle.

— No dobrze, ale czy na pewno chcesz, żebym spędził z tobą dwa dni ubrany w te same ciuchy?

Nora wzruszyła ramionami.

— Już raz je z ciebie zdjęłam. Mogę to zrobić jeszcze raz. Wzięliśmy prysznic, ubraliśmy się i wybraliśmy na przejażdżkę jej mercedesem.

— Dokąd jedziemy? — zapytałem.

Nora włożyła ciemne okulary.

— Zaufaj mi, wszystko zaplanowałam.

Najpierw pojechaliśmy pod miejscowe delikatesy o nazwie Villarina's. Zachowywałem się oczywiście, jakbym był tam wcześniej. Kiedy weszliśmy do środka, zapytała, czy jest coś, czego nie jadam.

— Poza moimi omletami — zaznaczyła.

— Nie jestem wielkim amatorem sardynek — oznajmiłem. — Poza tym mogę jeść wszystko.

Zamówiła małą ucztę. Różne sery, pieczoną paprykę, sałatkę z makaronem, oliwki, suszone mięso, kilka bagietek. Zaproponowałem, że zapłacę, ale w odpowiedzi sięgnęła po torebkę i oświadczyła, że nie chce o tym słyszeć.

Następnym przystankiem był sklep z alkoholami.

— Co powiesz, żebyśmy dzisiaj przerzucili się na kolor biały? — zapytała. — Ja osobiście preferuję pinot grigio.

Sprawdziła, jakie butelki są już schłodzone, i wyciągnęła tiefenbrunnera. Mieliśmy wszystko, czego trzeba na piknik.

Utwierdziłem się w tym przekonaniu, kiedy pokazała mi leżący w bagażniku koc. Kaszmirowy, ze znakiem Polo. Wsadziła go tam, kiedy brałem prysznic.

Pojechaliśmy nad pobliskie jezioro Pocantico i znaleźliśmy skrawek trawy, który zapewniał odrobinę intymności, a także widok na posiadłość Rockefellera z wszystkimi jej kosztownymi wzgórzami, dolinami i całą resztą.

— Czy to nie lepsze od chodzenia do pracy? — zapytała, kiedy rozłożyliśmy koc.

Ale ja nie zapominałem, że jestem w pracy. W trakcie pogawędki o jedzeniu i winie starałem się, najsubtelniej jak mogłem, wyciągnąć z Nory jakieś informacje, które wskazałyby, że maczała palce w śmierci Connora Browna oraz transferze pieniędzy, od którego zaczęło się całe śledztwo.

Próbując ocenić jej wiedzę na temat komputerów, wspo-

niałem mimochodem o Firewallu wbudowanym w nowy program, którego używałem w biurze.

— I pomyśleć, że jeszcze przed rokiem myślałem, że Firewall to coś w rodzaju azbestu — dodałem sprytnie, kiedy kiwnęła głową.

— Zupełnie jak ja. Dowiedziałam się, co to jest, od jednego z klientów. Był ważniakiem od komputerów.

— Jednym z tych milionerów, którzy dorobili się na Internecie? Jezu, co oni robią z taką forszą?

Nora zrobiła kolejną śmieszoną minę.

— Na szczęście dla mnie urządzają na nowo domy. Nie wyobrażasz sobie, ile potrafią na to wydać.

— To prawda. Wyobrażam sobie, jakie muszą płacić podatki.

— Wiem. Mają oczywiście sposoby, żeby je zminimalizować — dodała.

— Masz na myśli prawne furtki? Tak?

Przez chwilę mi się przyglądała.

— Tak, na przykład prawne furtki.

Lekko zmrużyła oczy. Ujrzałem w nich wahanie graniczące z podejrzliwością. To wystarczyło, żebym się wycofał.

W związku z czym przez pozostałą część popołudnia rozgrywałem to na luzie... niczym ktoś, kto dostał niespodziewanie wolny dzień i spędza go z kobietą, którą nie może się nasycić.

# Rozdział 77

Wracaj do domu, O'Hara. Uciekaj, ty idioto.

Ale wcale nie uciekłem.

Po pikniku poszliśmy do studyjnego kina w Pleasantville. To również był pomysł Nory. Grali „Okno na podwórze”, jej zdaniem jeden z najlepszych filmów wszech czasów.

— Kocham Hitchcocka. Wiesz dlaczego, Craig? Jest zabawny i pokazuje mroczną stronę życia. To tak, jakbyś oglądał dwa wspaniałe filmy za cenę jednego.

Podczas seansu nałykaliśmy się tyle popcornu, że postanowiliśmy darować sobie kolację, którą Nora planowała w pobliskiej knajpie Iron Horse. Stercząc z nią na miejskim parkingu, czułem się niczym licealista, który nie wie, jak zakończyć randkę.

Nory nie dręczyły takie wątpliwości.

— Chodźmy do ciebie — powiedziała.

Patrzyłem na nią przez chwilę, analizując wyraz jej twarzy. Widziała przecież, w jakiej norze mieszkam. Czy specjalnie mnie podpuszczała, żeby zobaczyć, jak zareaguję? A może naprawdę wcale jej to nie obchodziło?

— Do mnie?

— Nie masz chyba nic przeciwko?  
— Jasne. Ale muszę cię ostrzec, że może nie tego oczekujesz.

— To znaczy? Czego według ciebie oczekuję?  
— Powiedzmy, że to odbiega daleko od tego, do czego przywykłaś.

W tym momencie Nora spojrzała mi prosto w oczy. —  
Lubię cię, Craig, i tylko to jest ważne. Tylko ty i ja. Jasne?  
Pokiwałem głową.

— Jasne.  
— Mogę ci zaufać? Chcę tego.  
— Oczywiście, że możesz mi zaufać. Jestem twoim agentem ubezpieczeniowym.

Ustalwszy to, pojechaliśmy do mojego mieszkania. Ashford Court Gardens, moje wyśnzione gniazdko. Nora nie zatrzepotała ślicznymi rzęsami, kiedy zobaczyła dom po raz drugi.

Trzymając się za ręce, weszliśmy do środka.  
— Powiniennem cię uprzedzić, że pokojówka strajkuje — powiedziałem z uśmiechem. — Uznała, że nie może pracować w takich warunkach.

Nora omiotła wzrokiem niezbyt schludne wnętrze.  
— Nic nie szkodzi — stwierdziła. — Widzę, że nie widzisz się z nikim innym. Nawet mi się to podoba.

Zaproponowałem jej piwo i odparła, że chętnie się napije, podając jej puszkę w kuchni, pamiętałem, żeby zadrwić z żółtych blatów z formiki, zanim ona zdąży to zrobić.

Nora pociągnęła łyk i odłożyła na bok czerwoną skórzaną torebkę.

— No i co, nie pokażesz mi reszty mieszkania?  
— Właściwie prawie całe już zobaczyłaś.  
— Masz przecież sypialnię?

Obiecałem sobie wcześniej, że to musi się skończyć tu i teraz. Oczywiście gdybym tego naprawdę chciał, nie wylądowalibyśmy nigdy w mojej kuchni. Powiedziałbym jej coś w kinie, zasugerowałbym, że „chcę trochę przystopować”.



Zamiast tego zaczęliśmy się całować jeszcze przed wejściem do sypialni i wiedziałem, że za chwilę znów wskoczymy do łóżka.

Miałem jednak zamiar naprawdę obrócić to na moją korzyść. I wydawało mi się, że wiem, od czego zacząć.

## Rozdział 78

— Jak udało ci się zajrzeć do torebki Nory bez jej wiedzy? — zapytała Susan.

No cóż, szefowo, miałem ochotę odpowiedzieć, kiedy ja i Nora przestaliśmy uprawiać namiętny szalony seks w mojej wynajętej garsonierze, zaczekałem, aż zaśnie, po czym wyknąłem się do kuchni i przetrząsałem jej torebkę.

Po zastanowieniu jednak...

— Mam swoje sposoby — stwierdziłem po prostu. — Czy nie dlatego właśnie mnie wybrałaś?

— Powiedzmy, że masz pewne osiągnięcia, O'Hara. No i byłeś akurat pod ręką.

Siedziałem w biurze, relacjonując przez telefon to, co było przedmiotem naszej wcześniejszej rozmowy: wczorajszą „randkę” z Norą. Susan najbardziej obawiała się o to, że mogę okazać się zbyt nachalny i splotę zwierzyne.

Ha.

Kiedy przekonałem ją, że to zupełnie bezpodstawne obawy, zainteresowała się tym, co znalazłem w torebce Nory.

— Możesz powtórzyć, jak się nazywa ten kauzyperda? — zapytała.

— Steven A. Keppler.

— Jest adwokatem podatkowym i mieszka w Nowym Jorku?

— Tak jest napisane na jego wizytówce.

— Jak prędko możesz z nim porozmawiać?

— Z tym może być pewien kłopot. Dzwoniłem i dowiedziałem się, że Keppler jest na wakacjach aż do przyszłego tygodnia.

— Facet może oczywiście o niczym nie wiedzieć.

— Albo może wiedzieć o wszystkim. Jestem optymistą, pamiętasz?

— Jeśli Nora jest jego klientką, będzie się powoływał na tajemnicę zawodową.

— Nie inaczej.

— Co wtedy zrobisz?

— Jak już powiedziałem, mam swoje sposoby.

— Wiem, i to mnie przeraża — odparła. — Pamiętaj, że z prawnikami musisz się obchodzić w rękawiczkach. Niektórzy z nich, możesz w to wierzyć lub nie, naprawdę znają się na prawie.

— Zabawne, nie?

— Będziesz mnie informował? Będziesz mnie informował.

— Zawsze to robię.

Rozłączyłem się z Susan, odsunąłem fotel od biurka i wziąłem głęboki oddech. Byłem podenerwowany i wytrącony z równowagi. Trąciłem obcasem spację na klawiaturze komputera i monitor się rozjaśnił. Przynurzałem się z powrotem do biurka, otworzyłem plik dotyczący Nory i zacząłem przeglądać pierwsze zdjęcia, które zrobiłem cyfrowym aparatem po pogrzebie Connora Browna.

Zatrzymałem na ekranie ostatnie i bacznie mu się przyjrzałem.

Na tym zdjęciu Nora rozmawiała na schodach rezydencji z siostrą Connora, Elizabeth. Była ubrana na czarno i miała na nosie te same przeciwsłoneczne okulary, które włożyła, jadąc ze mną na piknik. Elizabeth Brown, prawie tak samo przystojna jak ona, to typowa kalifornijska blondynka. Wiedziałem z jej dossier, że jest architektem.

Pochyliłem się i zacząłem uważnie studiować fotografię. W scenie, na którą patrzyłem, nie było pozornie nic niezwykłego. Ale tak na ogół bywa. Percepcja nie odzwierciedla rzeczywistości. Albo Nora nie miała nic do ukrycia... albo udało jej się wszystkich nabrać. Policję. Przyjaciół. Elizabeth Brown. Chryste. Czy naprawdę mogła stać i spokojnie rozmawiać z siostrą człowieka, którego zamordowała?

Czy była aż taka przekonująca? Taka sprytna? O tym, że jest naprawdę niebezpieczna, świadczył fakt, że nie wiedziałem tego na pewno. Nawet teraz.

Wiedziałem tylko jedno: nie mogłem się doczekać, by znów się z nią spotkać.

Zamykając plik, uświadomiłem sobie, że nie panuję nad sytuacją. Musiałem coś zrobić. Stałem za blisko ognia. Musiałem się odsunąć. Wyluzuj, O'Hara. Przynajmniej na kilka dni.

Wtedy wpadłem na pewien pomysł. Może był to sposób na uporządkowanie moich spraw.

Zadzwoiłem jeszcze raz do Susan i powiedziałem jej, co chcę zrobić.

— Potrzebuję kilku dni urlopu.

## Rozdział 79

W środowe popołudnie Nora wyszła z windy na ósmym piętrze szpitala psychiatrycznego Pine Woods. Pociągnęła ostatni łyk wody z butelki, wyrzuciła ją do kosza i jak zwykle podeszła do stanowiska pielęgniarek. Tyle że tego popołudnia nie było tam nikogo. Ani Emily, ani Patsy, dziewczyny o wyjątkowo pasującym do niej imieniu. Nikogo.

— Halo? — zawołała.

Żadnej odpowiedzi, tylko echo jej własnego głosu. Nora zawahała się, a potem ruszyła dalej korytarzem. Po tylu latach nie musiała się chyba za każdym razem meldować.

— Witaj, mammo.

Olivia Sinclair odwróciła się do stojącej w progu córki.

— Witaj — odparła ze swoim typowym obojętnym uśmiechem.

Nora pocałowała ją w policzek i przysunęła sobie krzesło.

— Dobrze się czujesz?

— Lubię czytać, wiesz.

— Lubisz — potwierdziła Nora, po czym położyła torebkę na podłodze, sięgnęła do plastikowej torby, którą ze sobą przyniosła, i wyjęła najnowszą powieść Patricii Cornwall. — Proszę. Tym razem nie zapomniałam.

Olivia Sinclair wzięła książkę i przesunęła powoli dłonią po okładce, wodząc palcem wskazującym po wytłoczonym tytule.

— Wyglądasz o wiele lepiej, mamo. Zdajesz sobie sprawę, jak mnie ostatnio wystraszyłaś?

Nora obserwowała matkę, która w dalszym ciągu wpatrywała się w błyszczącą okładkę. Oczywiście, że nie zdała sobie sprawy. Mury, które zbudowała wokół swojego świata, były zbyt grube.

Uświadomienie sobie tego faktu, zwykle bardzo przykre, tym razem przyniosło Norze ulgę. Po nagłym ataku matki zamartwiała się, że to jej wina. Sądziła, że spowodowały go jej łzy, emocje i nagła potrzeba przyznania się do popełnionych grzechów — to wszystko, co powinna pozostawić przed progiem tego pokoju. Im dłużej nad tym myślała, tym większej nabierała pewności, że tak właśnie było.

Ale nie teraz.

Patrząc na matkę — tak oddaloną, tak kompletnie obojętną — zdała sobie sprawę, że cały incydent nie miał z nią nic wspólnego. Choć wydawało się to dziwaczne, gnębiące ją wcześniej poczucie winy mogło być załączkiem nadziei.

— Na pewno ci się spodoba. To następna powieść o Kay Scarpencie. Powiesz mi, czy była dobra, kiedy cię znowu odwiedzę, dobrze?

— Lubię czytać, wiesz.

Nora uśmiechnęła się. Do końca wizyty mówiła tylko o pozytywnych, zabawnych rzeczach. Chwilami matka spoglądała , na nią, lecz przez większość czasu wpatrywała się w wyłączony „telewizor.

— No dobrze, będę się zbierać — oznajmiła Nora po godzinie.

Matka podniosła stojącą na nocnej szafce plastikową filiżankę. Była pusta.

— Chcesz trochę wody? — zapytała Nora.

Wstała i sięgnęła po dzbanek, kiedy matka kiwnęła głową.

— O, tu też nic nie ma — stwierdziła, po czym wzięła dzbanek i poszła z nim do łazienki. — Zaraz wracam, dobrze?

Matka ponownie kiwnęła głową.

Odczekała chwilę, a potem, słysząc odgłos odkręcanego kranu, sięgnęła pod prześcieradło po list, który wcześniej napisała. Wyjaśniła w nim wiele spraw, o których od wielu lat chciała, lecz nie mogła opowiedzieć swojej córce.

Teraz czuła, że musi wyznać Norze prawdę.

Zsunęła bose stopy z łóżka. Ściskając w dłoni list, sięgnęła po otwartą torebkę Nory i wrzuciła go do środka. To było takie proste: wystarczyło wypuścić go z ręki.

## Rozdział 80

— Tu siostra jest!

Zaskoczona Emily Barrows, która zajmowała swoje miejsce na stanowisku pielęgniarek, podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą Norę Sinclair, jak zwykle olśniewającą. Emily nie usłyszała jej kroków. Była zbyt pochłonięta lekturą.

— Och, cześć, Noro.

— Nie widziałam siostry, kiedy tutaj przyszłam.

— Przepraszam cię, moja droga. Pewnie byłam w łazience — odparła Emily. — Dzisiaj po południu jestem sama.

— Co się stało z tą drugą pielęgniarką... tą, którą siostra szkolila?

— Masz na myśli Patsy? Zachorowała. — Emily wskazała leżącą przed nią otwartą książkę. — Na szczęście mamy dziś spokojny dzień.

— Co czytasz?

Emily pokazała jej okładkę. „Czas na litość”, Jeffreya Walkera. Nora uśmiechnęła się.

— To dobry pisarz — powiedziała.

— Genialny.



— I przyjemnie na niego popatrzeć.

— Jeśli lubi się wysokich mężczyzn o surowej urodzie.

Emily obserwowała śmiejącą się Norę. W niczym nie przypominała spiętej, rozgoryczonej kobiety, która pojawiła się tutaj poprzednio. Wydawała się być w lepszym humorze niż kiedykolwiek.

— Miło spędziłaś czas z matką, Noro? Wygląda na to, że tak.

— Owszem, miło. Z całą pewnością milej, niż kiedy byłam tu ostatnim razem. — Nora założyła włosy za uszy. — A skoro już o tym mowa — dodała — chciałabym przeprosić za moje zachowanie tamtego dnia. Reagowałam bardzo emocjonalnie. Siostra za to z wielkim spokojem zapanowała nad sytuacją. Była siostra wspaniała. Dziękuję, Emily.

— Nie ma za co, po to tu jestem.

— No, cóż, cieszę się, że siostra była tutaj tamtego dnia. — Nora zerknęła na książkę Emily. — Kiedy wyjdzie jego następna książka, załatwię siostrze egzemplarz z autografem.

— Naprawdę?

— Jasne. Tak się składa, że znam pana Walkera. Pracowałam z nim.

Emily promiennie się uśmiechnęła.

— O Boże, będę taka szczęśliwa!

— Przynajmniej tyle mogę dla siostry zrobić. — Nora posłała jej ciepły uśmiech. — Od czego w końcu są przyjaciele?

Choć było to tylko pytanie retoryczne, Emily zrobiło się bardzo miło. Nora pomachała jej wreszcie na pożegnanie i ruszyła w stronę windy.

Widząc, jak wciska przycisk, Emily wróciła do lektury powieści Jeffreya Walkera. Podniosła głowę dopiero, kiedy za Norą zamknęły się drzwi kabiny. I dopiero wtedy coś zobaczyła.

Leżącą na kontuarze czerwoną torebkę.

Nora powinna zorientować się, że jej nie ma, kiedy tylko zjedzie na dół. Mimo to Emily zadzwoniła do ochrony, po czym podjęła przerwana lekturę. Zanim doczytała zdanie do końca, jej oczy ponownie powędrowały do przepięknej, z pewnością drogiej torebki.

Zauważyła, że jest otwarta.

# Rozdział 81

Elaine i Allison nie wierzyły własnym uszom. Odkąd mąż Nory, Tom, zmarł gwałtowną śmiercią, nie przywykły do tego, żeby ich przyjaciółka opowiadała o innym mężczyźnie.

Właśnie to teraz robiła. Jadły kolację w Mercer Kitchen w SoHo, pośród ścian z surowej cegły. W gruncie rzeczy, trudno to było nawet nazwać opowiadaniem. Raczej „wynoszeniem pod niebiosa”. To było absolutnie nie w jej stylu.

— Jest w nim jakaś niewiarygodna energia, tuż pod powierzchnią. Taka spokojna pewność siebie, którą uwielbiam. Stąpa twardo po ziemi, ale jest jednocześnie wyjątkowy.

— No, no... kto by pomyślał, że agenci ubezpieczeniowi mogą być tacy seksowni? — zażartowała Elaine.

— Ja na pewno nie — odparła Nora. — Właściwie Craig nie powinien być agentem.

— Powiedz nam lepiej, jak się ubiera — powiedziała Allison, jak zawsze zainteresowana modą.

— Nosi eleganckie garnitury, ale nic sztywnego. Nie lubi chodzić w krawacie. Chyba go w nim nigdy nie widziałam.

— No dobrze, skupmy się na najważniejszym — wtrąciła Elaine, machając ręką. — Jaki jest ten twój facet w łóżku?

Allison przewróciła oczyma.

— Elaine!

— No co? Przecież mówimy sobie wszystko.

— Tak, ale oni dopiero się poznali. Skąd wiesz, czy w ogóle uprawiali seks?

Allison popatrzyła z chytrym uśmieszkiem na przyjaciółkę.

— Uprawialiśmy seks — poinformowała je Nora.

Elaine i Allison pochyliły się.

— I co? — zapytały obie jednocześnie.

Nora, która całkowicie panowała nad sytuacją, pociągnęła powoli łyk cosmopolitana. — Seks był w porządku... Nie, żartuję. Był niesamowity.

Wszystkie trzy roześmiały się jak nastolatki.

— Tak ci zazdrościsz! — zawołała Elaine.

Nora nagle spoważniała i zaskoczyło to nawet ją samą.

— Kiedy z nim jestem, nie czuję się sama. Od dawna tak się nie czułam. Wydaje mi się... wydaje mi się, że jesteśmy do siebie bardzo podobni.

— Może szukałyśmy w złym miejscu. — Elaine zwróciła się do Allison. — W tym mieście mieszka milion samotnych mężczyzn, a ona spotyka Pana Wyśnionego gdzieś na zabitej deskami prowincji.

— Nie powiedziałaś nam w ogóle, co tam robiłaś — zauważyła Allison.

— Mam klienta w Briarcliff Manor — wyjaśniła Nora. — Odwiedzałam sklep z antykami w Chappaqua i zobaczyłam, jak Craig szukał starych wędek. Kolekcjonuje je.

— Reszta jest historią — mruknęła Allison.

— Złowiła go tam — dodała Elaine. — Powtarzam jeszcze raz: tak ci zazdrościsz!

W rzeczywistości wcale jej nie zazdrościła i Nora dobrze o tym wiedziała. Jeżeli już, to się cieszyła: cieszyła się, że

jej przyjaciółka, która najwyraźniej nie umiała ułożyć sobie życia, w końcu kogoś spotkała. Allison cieszyła się razem z Elaine.

— Kiedy zobaczymy tego Craiga? — zapytała.

— No właśnie — przytaknęła Elaine. — Kiedy będziemy mogły zobaczyć Pana Wyśnionego?

## Rozdział 82

Po kolacji Nora wróciła na swoje poddasze, myśląc tylko o Craigu. Całe to gadanie o miłości sprawiło, że go nagle zapragnęła. Chciała usłyszeć jego głos, ale musiała się do tego przygotować. Przebrała się w piżamę, wskoczyła do łóżka i wystukała numer.

Craig odebrał po pięciu dzwonekach.

— Obudziłam cię?

— Nie, skądże — odparł. — Byłem w drugim pokoju. Czytałem.

— Coś dobrego?

— Niestety nie. Dokumenty z pracy.

— Brzmi nudnie.

— I jest nudne. Tym bardziej cieszę się, że zadzwoniłaś.

— Tęsknisz za mną?

— Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

— Ja tak samo — odparła. — Chciałabym z tobą być.

Coś mi mówi, że wcale byś wtedy nie czytał.

— Tak? A co bym robił?

— Trzymał mnie w objęciach.

— Coś jeszcze?

— Całował mnie — szepnęła do słuchawki.

- Gdzie cię całował?
- W usta.
- Miętko czy mocno?
- Najpierw miętko, potem mocno.
- A czego dotykałyby moje ręce? — zapytał.
- Różnych interesujących miejsc.
- Na przykład?
- Moich piersi. Na początek.
- Hm. Z tego, co pamiętam, to bardzo udany początek.

Gdzie jeszcze?

- Wewnętrznej strony ud.
- Ooch, to mi się podoba.
- ...zaczekaj, przesuwają się wyżej. Powoli. Drażniąco.
- To podoba mi się jeszcze bardziej.

Nora przygryzła dolną wargę.

- Mnie też.
- Czujesz mnie? — zapytał szeptem.
- Tak.
- Jestem w tobie?

Klik.

- Co to było? — zapytał.
- Cholera, ktoś jest na drugiej linii.
- Zignoruj go.

Nora spojrzała na numer dzwoniącego.

- Nie mogę, to moja przyjaciółka.
- Teraz my rozmawiamy — zaprotestował ze śmiechem.
- Bardzo śmieszne. Poczekaj chwilę. Jadłam z nią wczesniej kolację i jeśli nie odpowiem, będzie się niepokoiła.

Nora przełączyła telefon na drugą linię.

- Elaine?
- Chyba jeszcze nie spałaś?
- Nie, wcale nie śpię.
- Zaczekaj, jesteś jakaś zdyszana.
- Rozmawiam z kimś na drugiej linii.

- Nie mów... z Craigiem?
- Tak.
- A ja przerwałam ci w samym środku, tak?
- Nic się nie stało.
- *Telecoitus interruptus*. Przepraszam.
- Nie musisz.
- Chciałam ci tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszę, kochanie. A teraz wracaj do tego, co oboje robicie.
- Chciałabym.
- Jaaaak ja ci zazdroszczę!

Klik.

- Nadal tam jesteś? — zapytała Nora.
- Jestem — odparł.
- Na czym stanęliśmy?
- W punkcie, po przekroczeniu którego na pewno nie zasną dziś w nocy.
- Ja też. Jutro przyjadę do ciebie po autentyk. Spodziewała się odpowiedzi. Zamiast tego w słuchawce zapadła cisza. Co on kombinował?
- Jutro nie mogę — odparł w końcu.
- Dlaczego?
- Mam nasiadówkę w centrali w Chicago. Właśnie do niej się przygotowywałem.
- Jaką nasiadówkę? Nie możesz ich po prostu olać?
- Mógłbym, bo to coś w rodzaju seminarium. Niestety, jestem jednym z mówców.
- O! — mruknęła przygnębiona. — Szkoda.
- Za kilka dni będę z powrotem.
- Zadzwońisz do mnie z Chicago?
- Oczywiście. Będziemy mogli kontynuować to, czego dziś nie skończyliśmy.
- Jeśli będziesz grzeczny.
- Och, na pewno będę grzeczny — zapewnił ją. — Nie musisz się o mnie martwić.



# Rozdział 83

Nora jednak się martwiła.

Przez całą noc. Powiedziała, że nie będzie mogła zasnąć, i się nie pomyliła. Chciała za wszelką cenę wiedzieć, czy Craig mówił prawdę. Kiedy wspomniał o seminarium, obudziły się w niej podejrzenia, podobnie jak wówczas, gdy po raz pierwszy się spotkali. Coś było nie w porządku.

Nazajutrz obudziła się o świcie. Nie wzięła prysznicza. Nie umalowała się. Nie było czasu do stracenia. W starym swetrze i nasuniętej na oczy czapeczce bejsbolowej pojechała na północ do Westchester. Jej pierwszym celem był dom Connora w Briarcliff Manor.

Tam przesiadła się z czerwonego kabrioletu do jednego z dwóch samochodów, które obrastały kurzem w garażu. Dokładnie rzecz biorąc, do zielonego jaguara xjr.

Dzięki temu Craig nie powinien jej rozpoznać. A poza tym lubiła jaguara prawie tak samo jak mercedesa.

Dwadzieścia minut później stała już nieopodal domu Craiga z wielkim kubkiem kawy ze Starbuck's na kolanach. Popijała ją i czekała.

Śledząc go za pierwszym razem, nie wiedziała, czego się spodziewać. Teraz było inaczej. Powiedział, że w południe wylatuje z miasta.

Koło dziesiątej otworzyły się drzwi obłożone farbami i Craig wyszedł na zewnątrz. W jaskrawożółtym podkoszulku i sportowej marynarce wyglądał całkiem atrakcyjnie. Jeśli jechał na lotnisko, pora była odpowiednia. W dodatku niósł walizkę.

Nora odetchnęła z ulgą.

Patrzyła, jak wsiada do swojej beemki. Zaczesaane do tyłu włosy wciąż były mokre po prysznicu. Emanujący z niego urok był taki naturalny! Tęskniła za nim, choć nie wyjechał jeszcze z miasta.

Wycofał się z krótkiego podjazdu i skręcił w jej stronę. Nora pochyliła się szybko, kiedy ją mijał. Zielony jaguar, choć najatrakcyjniejszy z zaparkowanych przy krawężniku samochodów, był tylko jednym z wielu.

Jechała za nim kilka kilometrów, aż stało się absolutnie jasne, że jedzie na lotnisko. A zatem wszystko w porządku. Lepiej niż w porządku. Craig zadzwoni do niej wieczorem z Chicago, a ona powie mu, jak bardzo za nim tęskni, co przyjdzie jej z łatwością. Pożartuje z nim na temat telefonicznego orgazmu.

Nora uśmiechnęła się na tę myśl. Zastanawiała się, co się z nią dzieje.

Jechała za Craigiem w odległości mniej więcej stu metrów drogą prowadzącą na lotnisko. Dobrze ją znała. Jadąc, strofowała się w duchu. Jej mantrą było „lepiej ulec paranoi, niż później żałować”, ale tym razem wyraźnie przeholowała.

Już wcześniej żywiła wobec niego podejrzenia, lecz podobnie jak za pierwszym razem okazały się niestuszne.

Do chwili gdy włączył kierunkowskaz.

## Rozdział 84

Na lotnisko Westchester można się dostać wieloma drogami, niestety, ta do nich nie należała. Nie można jej było nawet określić mianem malowniczej. Kiedy Craig wrzucił kierunkowskaz i skręcił, Nora od razu domyśliła się, że zmierza gdzie indziej.

Nie chciała wyciągać pochopnych wniosków. Istniało coś takiego jak białe kłamstwo i na razie nie traciła nadziei. Może chciała jej sprawić niespodziankę.

Po kilku kilometrach, tuż przed granicą Connecticut, zobaczyła tablicę z nazwą miejscowości Greenwich, i pomyślała o mieszczącym się tam jej ulubionym sklepie jubilerskim, Betteridge. Próbowwała wyobrazić sobie Craiga, który ofiarowuje jej małe, obwiązane wstążką pudełeczko i mówi, że zmyślił podróż do Chicago, ażeby zrobić jej niespodziewany prezent.

Greenwich zostało jednak po chwili z tyłu.

W tym momencie jej nadzieje niemal zgasły. Nadal nie chciała wyciągać przedwczesnych wniosków, ale czuła, że budzi się w niej gniew. Gniew, uraza oraz wiele innych uczuć, z których żadne nie było dobre.

Właśnie wtedy Craig wjechał do Riverside w Connecticut. Widać było, że dobrze zna ten teren. Jakim cudem? W końcu skręcił w ślepą uliczkę.

Nora zatrzymała się na rogu. Rozejrzała się dokoła. Domy nie były duże, ale dobrze utrzymane. W niczym nie przypominały jego zapuszczonego apartamentu w Westchester.

Co takiego robił Craig w Connecticut? Po co zabrał walizkę? Dlaczego ją okłamał?

Mniej więcej w połowie uliczki jego bmw zjechało na podjazd przy czerwonej skrzynce na listy. Wyteżając wzrok, Nora obserwowała z daleka, jak Craig wysiada z samochodu. Przeciągnął się, a potem wszedł po schodkach do domu w stylu kolonialnym, białego budynku z zielonymi okiennicami.

Zanim zdążył zapukać, drzwi otworzyły się na oścież i na zewnątrz wybiegli dwaj chłopcy.

Rzucili mu się w ramiona, a on uściskał i ucałował malców w sposób, który natychmiast wykluczył to, że może być ich wujkiem, kuzynem bądź też starszym bratem. Craig Reynolds był z całą pewnością ich ojcem.

Czy to oznaczało, że... jest żonaty?

Spojrzenie Nory pobiegło z powrotem ku drzwiom, w których pokazał się ktoś jeszcze. Serce zabiło jej mocniej i zrobiło jej się niedobrze. Jednak widząc stojącą tam kobietę, zdała sobie sprawę, że nie patrzy na panią Reynolds. Chyba że Craig miał słabość do cudzoziemek w typie babci. Ta kobieta miała wypisane na czole słowo „niania”.

A potem wzrok Nory przyciągnęła kolejna osoba. Z okna na piętrze wychylała się inna kobieta — atrakcyjna pani domu. Machała do Craiga. Na czole miała wypisane co innego.

Żona.

Nora oparła się o zagłówek jaguara i soczyście zakląła. Z jej ust posypały się przekleństwa.

— Ty pierdolony kłamco, ty oszuście, ty śmieciu! Craig!

Patrzyła, jak idzie wraz z dwoma chłopcami w stronę drzwi. Nie mogła od nich oderwać wzroku. Próbowwała to sobie wszystko poukładać. Nadal było coś, czego nie rozumiała. Dlaczego miał apartament w Westchester, skoro mieszkał tutaj?

Zanim zdążyła zastanowić się nad tym pytaniem, frontowe drzwi się otworzyły. Craig i dwaj chłopcy wyszli na dwór, śmiejąc się i poklepując po plecach, i teraz każdy z jego synów miał plecak. Craig niósł dużą turystyczną torbę. Wszyscy wsiedli do bmw. Odjeżdżali. Ale dokąd?

Nora zerknęła na stojący przed nią znak ślepej uliczki i wrzuciła bieg. Nie mogła pozwolić, żeby po raz drugi tego ranka Craig minął zielonego jaguara.

Skręciła w sąsiednią uliczkę, zatrzymała się i przez kilka minut namyślała, co robić dalej. Nie obchodziło jej, dokąd Craig zabiera swoje dzieci. Z pewnością nie na seminarium w Chicago, gdzie miał wygłosić referat. Co jeszcze powinna wiedzieć oprócz tego, że zdradzał żonę?

Nic.

Postanowiła, że wróci do Westchester i przesiądzie się do mercedesa. Później, w którymś momencie, Craig do niej zadzwoni. To będzie interesujące, nieprawdaż?

Przed odjazdem nie mogła się jednak powstrzymać: musiała po raz ostatni rzucić okiem na śliczny mały domek na przedmieściu. Przyjrzeć mu się z bliska. Tak jakby nie mogła do końca uwierzyć w to, co widziała w ciągu kilku ostatnich minut. Craig najwyraźniej prowadził podwójne życie. Był do niej bardziej podobny, niż sobie wyobrażała. Może dlatego tak ją pociągał?

Skręciła w jego uliczkę i powoli zbliżyła się do podjazdu. Nagle wcisnęła hamulec i wbiła wzrok w skrzynkę na listy. Z boku wymalowano na niej szablonem nazwisko; wyblakłe, lecz wciąż czytelne.

Tym razem naprawdę nie mogła uwierzyć w to, co widziała.

Na skrzynce widniało nazwisko O'Hara.

## Rozdział 85

Wściekła i zdradzona, być może nawet trochę zrozpaczona, Nora pędziła niczym demon do Westchester. Pełna pogardy, odchodziła od zmysłów.

Nie dawały jej również spokoju złowrogie pytania, na które nie знаła odpowiedzi. Po co ta historia z O'Harą? Czy istniała polisa ubezpieczeniowa? Co miała myśleć o seksie? Jedyłą pewną rzeczą było to, że została okłamana, i to przez eksperta.

I co ty na to, kochanie? Okłamana przez profesjonalistę.

Po przyjeździe do domu Connora dała upust wypełniającej ją furii, rozbijając na kawałki kosztowne przedmioty. Wywróciła do góry nogami stół i podarła obraz. Cisnęła wazą Baccarata o ścianę. Wszędzie wały się okruchy szkła.

Następnie skatowała się sama. Wypiła ponad pół butelki wódki, przez cały czas mamrocząc pod nosem, aż do chwili, gdy słowa, które padały z jej ust, zlały się w bełkot. Poprzysięgła zemstę, ale jej zaplanowanie musiało poczekać. Po południu zasnęła na sofie w salonie.

Obudziła się dopiero nazajutrz rano. Kac, chociaż paskudny, był niemal błogosławieństwem. Odwracał jej uwagę od tego, co kazało jej się upić.

Ale nie na długo. Gniew powrócił, gdy parzyła kawę. Chodziło o zapach. Orzechy laskowe z wanilią. Kawę o tym samym zapachu wypita z Craigiem, kiedy po raz pierwszy się pojawił.

Tyle że to nie był wcale Craig. To nigdy nie był Craig.

Kac w końcu zelżał. Z jaśniejszym umysłem wróciła do pytań, na które nie znała odpowiedzi. Najważniejsze z nich brzmiało: dlaczego O'Hara udaje kogoś innego?

Zapomnij o polisie ubezpieczeniowej. Nie wiadomo, czy Towarzystwo Ubezpieczeniowe Centennial One w ogóle istnieje.

Widząc biuro w mieście, przyjęła za pewnik, że istnieje. Teraz w nic już nie wierzyła. Zadzwoiła do informacji telefonicznej w Chicago i zapytała o centralę Centennial.

—Zaraz panią przełączę — powiedziała telefonistka. Norze to nie wystarczyło. Zapisała numer i własnoręcznie się połączyła.

—Dzień dobry. Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie Centennial One — odezwał się sympatycznie brzmiały kobiecy głos.

—Czy mogę mówić z panem Johnem O'Harą?

—Przykro mi, ale pan O'Hara jest w podróży.

—Czy mogę prosić o połączenie z jego pocztą głosową?

—Niestety, nasz system poczty głosowej uległ awarii — odparła kobieta.

—Bardzo sprytne.

—Słucham?

—Nieważne.

—Jeśli pani sobie życzy, mogę przekazać mu wiadomość.

—Nie, nie trzeba. — Nora miała już odłożyć słuchawkę, lecz nagle się zawahała. — Przepraszam, jak się pani nazywa?

—Susan.

—Właściwie, Susan, chciałabym cię o coś zapytać. Możesz mi powiedzieć, czy Craig Reynolds jest nadal pracownikiem waszej firmy?

— Proszę zaczekać, sprawdzę w spisie. Powiedziała pani „Reynolds”?

— Owszem.

— Tak, mam go. Pan Reynolds pracuje w jednym z naszych biur w Nowym Jorku. Dokładnie w Briarcliff Manor. Chce pani jego numer?

— Tak, proszę.

Nora zapisała numer.

— Dziękuję, Susan.

— Nie ma za co, pani... przepraszam, zapomniałam, jak się pani nazywa.

— Nie przedstawiłam się.

Nora odłożyła słuchawkę, po czym sięgnęła do torebki i wyjęła wizytówkę, którą dał jej „Craig”. Rzeczywiście, numery się zgadzały.

— Jesteś dobry, O’Hara — mruknęła, biorąc do ręki samochodowe kluczyki.

Miodowy miesiąc dobiegł końca.



## Część 4

# **Dopóki śmierć nas nie rozłączy**

## Rozdział 86

Przez całą drogę do Briarcliff Manor Nora wciskała w radiu przycisk SZUKAJ, przeskakując ze stacji na stację. Nie było ani jednej piosenki, której miałaby ochotę wysłuchać; wszędzie grali zaszary rap, od którego chciało jej się wyć. I w końcu autentycznie zawyła. Była spięta i podminowana nie tylko dlatego, że wypięła morze kawy. Działała tak na nią każda myśl o O’Harze.

Kiedy zadzwoniła komórka, o mało nie zjechała z drogi.

To on.

W pierwszej chwili miała ochotę wyzwąć go od ostatnich, by domyślił się, że wie, jaki z niego ptaszek. Jednak sięgając po telefon, zmieniła zdanie. Nie daruje mu tak łatwo.

Spojrzała na wyświetlacz, lecz w blasku słońca nie mogła odczytać numeru. A jednak była pewna, że to on.

— Halo?

— Gdzieś ty się podziewała?

Tyle była warta jej pewność. Lekko zirytowany głos należał do Jeffreya. Od dwóch dni nie odpowiadała na jego telefony.

— Tak mi przykro, skarbie. Właśnie miałam do ciebie dzwonić — powiedziała. — Ubiegłeś mnie.

Jeffrey natychmiast się rozchmurzył.

—Jezu, już się martwiłem, kochanie. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteś.

Potrzebowała szybko wymówki, i to dobrej.

—To ta sama cholerna klientka... piekielna wiedźma. Ta sama, która zagroziła, że zerwie ze mną umowę, jeśli razem z nią nie wybiorę tkanin. Pamiętasz?

—Jak mógłbym zapomnieć? Straciłem przez nią nasz wspólny weekend.

Nora wymownie milczała.

—Och nie... nie mów... — jęknął.

—Spróbuję się z tego wymigać.

—Czego się tym razem domaga?

—Chce, żebym przyjechała do jej domu w East Hampton i obejrzała nową oranżerię. To dobra klientka, jedna z moich pierwszych.

—Jutro jest już piątek, Noro. Kiedy będziesz wiedziała?

Był wściekły. Zwracał się do niej po imieniu tylko wtedy, gdy był maksymalnie wkurzony.

—Zadzwoń do ciebie dziś po południu — obiecała. — Wierz mi, robi mi się słabo na samą myśl, że spędzę z tą babą kolejny weekend. Tęsknię za tobą.

—Poznaję po głosie, że jesteś zestresowana, skarbie. Czy poza tym wszystko w porządku?

—Tak, oczywiście. — Przed oczyma stanął jej O'Hara. — Czasami wystarczy jeden człowiek, żeby wytrącić cię z równowagi.

—Tym bardziej powinnaś być z jedyną osobą, dzięki której poczujesz się lepiej — powiedział Jeffrey. — Zadzwońisz do mnie później? Kocham cię.

Nora przyrzekła, że zadzwoni, i zakończyła rozmowę, mówiąc, że też go kocha.

Cieszyła się, że udało jej się tak zgrabnie „obsłużyć” Jeffrey'ego — poza tym jednak nie miała zbyt wielu powodów do zadowolenia. Coraz trudniej było jej nadążać za własnymi kłamstwami, a to rodziło ryzyko. Jednak nie zamierzała

zająć się podczas weekendu Jeffreyem, nie wybadawszy wcześniej, co takiego knuje O'Hara.

Minutę później była już w centrum Briarcliff Manor. Cudem znalazła miejsce do parkowania, po czym wysiadła z samochodu i spojrzała na szyld nad oknami pierwszego piętra.

„Ubezpieczenia na Życie Centennial One”.

Przeczytała powoli napis, jakby za pierwszym razem coś jej umknęło. Nic nie było już dla niej oczywiste.

Już nie, O'Hara.

## Rozdział 87

— Dzień dobry, w czym mogę pani pomóc?

Nora spojrzała przez ciemne okulary na siedzącą za biurkiem młodą kobietę — dwudziestokilkuletnią, o inteligentnych oczach i wyglądzie kogoś, kto nadawał się do zdecydowanie lepszej pracy.

— Chciałabym widzieć się z Craigiem Reynoldsem. Mam nadzieję, że go zastałam.

Młoda kobieta leciutko się zawahała. Musi być w to wtajemniczona, pomyślała Nora. Całkiem niezła z niej aktorka.

— Przykro mi, ale pana Reynoldsa nie ma w biurze.

Nora zerknęła na zegarek.

— Wyszedł na lunch? Może do Amalii?

— Nie, podróżuje.

— Wie pani, kiedy wróci?

— Chyba w poniedziałek — odparła kobieta. — Czy była pani umówiona? Może chciałaby pani zarezerwować inny termin?

— Nie. Craig powiedział, że mogę wpaść przy okazji. Może pani będzie mogła mi pomóc. Chciałabym dostać kopię polisy ubezpieczeniowej.

W oczach kobiety znowu pojawiło się wahanie. Poza tym jednak świetnie grała swoją rolę.

— Czy to pani polisa?

— Nie, ale jestem jej beneficjentką.

— Rozumiem. — Kobieta pokręciła głową. — Niestety, mogę dać kopię polisy tylko jej właścicielowi.

Nora zerknęła na stojącą na biurku tabliczkę z nazwiskiem.

— Ma pani na imię Molly, prawda?

— Tak.

— Widzi pani, Molly, w tym przypadku może to się okazać trudne, ponieważ właściciel polisy nie żyje.

— O Boże, tak mi przykro.

— Mnie też jest przykro. Był moim narzeczonym.

Molly najwyraźniej coś sobie przypomniała.

— Nazywa się pani Sinclair, tak?

— Skąd pani wie?

Molly obejrzała się przez ramię, jakby chciała podkreślić, w jak małym biurze się urzęduje.

— Jest nas tutaj tylko dwoje. Dlatego znam pani sprawę. Powtórzę jeszcze raz: ogromnie mi przykro.

Nora zdjęła ciemne okulary i spojrzała jej prosto w oczy.

— A zatem otrzymanie od was kopii polisy nie będzie chyba stanowiło dużego problemu?

Molly zamrużyła kilka razy i w końcu się uśmiechnęła.

— Oczywiście. Zobaczę, czy uda mi się ją znaleźć w gabinecie pana Reynoldsa.

Kiedy Molly weszła do gabinetu, Nora się rozejrzała. Sekretariat był niewielki i sprawiał wrażenie autentycznego. Na biurku leżały akta i drukowane broszury. Mimo to coś tu nie pasowało. Dokładnie rzecz biorąc, Molly. Jak na kogoś, kto rzekomo wiedział o wszystkim, co działo się w biurze, zbyt często uciekała się do improwizacji.

Chwilę później wróciła do sekretariatu z pustymi rękoma, potrząsając głową.

— Przepraszam, pani Sinclair, ale nie mogę znaleźć polisy — oświadczyła.

Nora stuknęła się w czoło.

— Wie pani co? Właśnie sobie przypominałam. Craig powiedział mi, że mają ją w waszej centrali w Hartford.

— Tak powiedział? To znaczy, że tam musi być.

Nora przyglądała się przez sekundę Molly. Młoda kobieta pomyliła się o jeden raz za dużo. Jej „szef najwyraźniej zapomniał wspomnieć, że centrala Centennial One mieści się w Chicago.

Nora założyła ciemne okulary.

— W takim razie będę chyba musiała poczekać do poniedziałku i powrotu Craiga.

— Powiem mu, że pani tu była, dobrze?

Jestem pewna, że to zrobisz, Molly, pomyślała Nora.

Wróciła do samochodu i natychmiast wyjęła komórkę. Sposób, w jaki działał na nią O'Hara, zaczął przypominać podwodny wir. Włączyła szybkie wybieranie i wcisnęła „2”. Od tej chwili to było najważniejsze. Szybkość. Musiała działać szybko i załatwić wszystkie niedokończone sprawy.

— Halo?

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość, skarbie — powiedziała.

— Jakoś się wymigałaś?

— Udało się. Przez cały weekend będę należała tylko do ciebie.

— Fantastycznie! — zawołał Jeffrey. — Umieram z tęsknoty.

## Rozdział 88

W upiornej ciszy zbliżaliśmy się w trójkę ku miejscu, w którym zamierzaliśmy rozbić wieczorem nasz obóz. To miało być coś wspańskiego. Coś ekstra.

— Nie będziemy mieli żadnych kłopotów, tato?

Spojrzałem na Maxa, młodszego z moich dwóch synów.

W wieku sześciu lat zaczynał powoli pojmować, na czym polega odpowiedzialność. Natomiast jego ojciec powinien chyba zapisać się na kurs, żeby to sobie przypomnieć. Choć może akurat nie w tej chwili.

— Nie, mamy specjalne pozwolenie, żeby tu być dziś wieczorem — odparłem.

— Tak, kapuściana głowo — mruknął John Junior. — Tato nie zabrałby nas tutaj, gdyby wcześniej nie spytał.

Dziewięcioletni John Junior dawno już odkrył rozkosze bycia starszym bratem.

— Wyluzuj, J. J. — powiedziałem mu. — Max zadał dobre, mądre pytanie. Naprawdę.

— Tak! — ucieszył się Max. — Mądre!

Uśmiechnąłem się pod nosem i przyspieszyłem kroku.

— Chodźcie, chłopcy. Jesteśmy już prawie na miejscu.

W trakcie naszych poprzednich wycieczek zabrałem ich na Bear Mountain i poprowadziłem szlakiem Mohawków.



Pojechałem nawet z nimi na tydzień do Yellowstone. Teraz czułem, że muszą zrobić coś zupełnie innego. A może chciałem zagłuszyć wyrzuty sumienia z powodu Nory? Tak czy owak mogłem spędzić z nimi tylko jeden wieczór i pragnąłem, żeby to było coś niepowtarzalnego.

—No i co wy na to? — zapytałem, kiedy stanęliśmy na miejscu.

Max i John Junior wpatrywali się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Po raz pierwszy w życiu oniemieli, a ja byłem zachwycony. W Bronksie niewiele jest miejsc, gdzie można rozbić obóz, nie miałem jednak wątpliwości, że znalazłem najlepsze.

— Witajcie na stadionie Jankesów, chłopcy.

Obaj natychmiast rzucili plecaki i wybiegli na boisko. Zbliżał się zmierzch i dookoła nie było żywej duszy. Tylko nasza trójka. Derek Jeter wraz z kolegami objeżdżał właśnie zachodnie wybrzeże i mieliśmy cały stadion tylko dla siebie. Dom, który zbudował Babe Ruth! Wychodząc, zamknijcie za sobą drzwi, powiedział mi kumpel z dyrekcji. Nie zrobił złego interesu — w końcu dobrze jest mieć dług wdzięczności u faceta z FBI.

Otworzyłem torbę i wyjąłem niezbędne wyposażenie. Kije, rękawice, czapki, koszulki i kilkanaście sfatygowanych piłeczek.

—No dobrze, kto chce pierwszy odbijać?

—Ja, ja, ja!

—Nie, ja, ja, ja!

Dopóki ostatnie promienie słońca nie zgasły za wysokimi trybunami i olbrzymią tablicą wyników, moi synowie i ja bawiliśmy się na stadionie Jankesów jak jeszcze nigdy w życiu.

—Naprawdę będziemy tutaj nocować? — zapytał z niedowierzaniem John Junior.

—Oczywiście, kapuściana głowo — zaćwierkał Max, odplacając się starszemu bratu pięknym za nadobne. — Tato tak powiedział.

— Zgadza się — przytaknąłem, po czym wyjąłem z torby namiot. — Jak go ustawimy? — zapytałem. Jeden palec wskazał bazę domową, drugi stanowisko pitchera. — Wiecie co, zawrzyjmy kompromis i ustawmy go przodem do trzeciej bazy — powiedziałem. — Tam właśnie grał mój ulubiony zawodnik Jankesów w czasach, kiedy dorastałem.

— Jak się nazywał? — zapytał John Junior.

— Craig Nettles — odparłem. Zawsze podobało mi się to imię.

Chłopcy i ja rozbiliśmy namiot. To znaczy ja go rozbiliem, a Max i John Junior nadal biegali jak szaleni po boisku. Rozpierała ich niesamowita radość i serce mi rosło, kiedy na nich patrzyłem. Być może przypomniałem sobie wreszcie, co jest dla mnie najważniejsze.

## Rozdział 89

Stojąc w holu wejściowym domu w Back Bay, obściskiwali się i całowali niczym para napalonych nastolatków.

— Co za szczęście. — Jeffrey westchnął, trzymając Noreę w ramionach i gładząc ją po włosach. — Mam cię na cały długi weekend. Wyobrażasz sobie?

— Nie bądź zgryźliwy. Mam wyrzuty sumienia, że odrywam cię od powieści — powiedziała. — Wiem, jak mało zostało ci do końca.

— Właściwie nic już nie zostało.

Popatrzyła na niego skonsternowana, a potem szeroko się uśmiechnęła.

— Skończyłeś?

— Wczoraj, po całonocnym maratonie. Musiałem rozładować frustrację z powodu braku wiadomości od ciebie.

— No widzisz? — Szturchnęła go żartobliwie w pierś. — Nie powinnam tak ci się wieszać u szyi.

— Zabawne, że to powiedziałaś.

— Co masz na myśli?

— Wieszanie. Zmieniłem zakończenie: tak teraz umiera mój główny bohater.

— Naprawdę? Daj przeczytać.

— Dobrze, ale najpierw coś ci pokażę. Chodź.

— Tak, mój panie. Pójdę za tobą wszędzie.

Wziął ją za rękę i zaprowadził na górę. Minęli bibliotekę i skierowali się ku głównej sypialni.

— Jeśli chcesz mi pokazać to, co myślę, że chcesz pokazać, już to widziałam — zakpiła.

Jeffrey roześmiał się.

— Myślisz tylko o jednym! — Przed wejściem do sypialni zatrzymał się i odwrócił do Nory. — Teraz zamknij oczy — szepnął.

Nora posłuchała go i weszli razem do środka.

— W porządku, możesz już otworzyć — powiedział. Nora zrobiła to. Jej reakcja była natychmiastowa.

— O mój Boże!

Spojrzała na Jeffreya, a potem ponownie na ścianę nad kominkiem i powoli podeszła do wiszącego tam olejnego obrazu — jej portretu.

— I?

— Jest przepiękny — wyznała i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, jak to mogło zabrzmieć. — To znaczy...

— Nie, masz rację, jest przepiękny. — Jeffrey objął ją od tyłu i przytulił twarz do jej włosów. — Jak mógłby nie być?

Nora wpatrywała się w obraz tak długo, aż w oczach stanęły jej łzy. Jeffrey rzeczywiście ją kochał. Obraz przedstawiał to, co do niej czuł, jak ją widział.

Jeffrey ponownie ją uściskał.

— Widzisz, to nie był materac, tylko płótno. Skoro już tu jesteśmy... — Urwał, zerkając przez ramię na mahoniowe łóżko z baldachimem.

Nora odwróciła się do niego twarzą.

— Naprawdę wiesz, jak zaciągnąć dziewczynę do łóżka.

Jeffrey uśmiechnął się.

— Każdy sposób jest dobry.

— Kocham ten obraz.

— A ja kocham ciebie.

W drodze do łóżka całowali się i rozbierali. A potem Jeffrey delikatnie podniósł Norę — lekką niczym piórko w jego silnych ramionach. Położył ją na kołdrze i przez chwilę zwlekał. Wpatrywał się w nią, chcąc nacieszyć oczy pięknym widokiem. Nora pozwoliła mu na to. Zastąpił ją naga był dla niej taki dobry.

Kochali się najpierw powoli. Potem z pasją, w ogóle się nie wstrzymując. Ich nogi i ręce splotły się niczym zapalnik. Aż w końcu eksplodowali. To znaczy eksplodował Jeffrey, a Nora odegrała swoją rolę wprost perfekcyjnie, przynajmniej tak samo dobrze jak Meg Ryan w „Kiedy Harry spotkał Sally”, tyle że bez efektu komicznego.

Przez minutę leżeli objęci ramionami, nie odzywając się ani słowem. W końcu Jeffrey wziął głęboki oddech i przewrócił się na bok.

— Jestem głodny — oznajmił. — A ty?

Nora oparła głowę o poduszkę. Nie mogła oderwać wzroku od portretu na ścianie. Przez moment spoglądała we własne oczy i zastanawiała się, czy jest na świecie choć jedna podobna do niej kobieta.

— Tak — odparła w końcu cicho. — Ja też jestem głodna.

## Rozdział 90

Kiedy Jeffrey wszedł do kuchni, piękna jak marzenie Nora stała nad polerowaną nierdzewną płytą kuchenną marki Viking.

— Miałaś rację — powiedział. — Pysznic dobrze mi zrobił.

— Widzisz, mówiłam ci. Nora wie najlepiej.

Jeffrey zerknął jej przez ramię na patelnię.

— Na pewno nie chcesz, żebym ci w czymś pomógł?

— Na pewno, kochanie. Nad wszystkim panuję — odparła, sięgając po łypatkę.

Rzeczywiście nie mógł nic zrobić. Podjęła już decyzję. Kiedy usiadł, obróciła po raz ostatni omlet na patelni.

Nie ma już odwrotu. Muszę to zrobić. Dzisiaj wieczorem.

— Och, zapomniałem ci powiedzieć — oznajmił. — Ten fotoreporter przyjeżdża w przyszły weekend. W sobotę po południu będzie nam robił zdjęcia do artykułu.

— To chyba oznacza, że przemyślałeś sprawę i już się zdecydowałeś?

— Żeby powiedzieć całemu światu, jaki ze mnie szczęściarz? Owszem. Jeffrey Walker i Nora Sinclair są szczęśliwym małżeństwem. Coraz bardziej zależy mi na tym, żeby to ujawnić.

Nora stłumiła śmiech.

— O co chodzi?

— Powiedziałaś to takim tonem, jakby chodziło o publiczną ofertę akcji — odparła.

Wyłączyła palnik i przełożyła omlet Jeffrey'a na talerz. Nadeszła pora, żeby go zjadł. Przez całą minutę siedziała z nim przy stole i obserwowała w milczeniu, jak połyka kęs po kęsie. Wydawał się szczęśliwy i zadowolony z życia. Dlaczego miałoby być inaczej?

— Opowiedz mi o swojej książce — poprosiła. — Kończy się wieszaniem?

Jeffrey pokiwał głową.

— Pisałem już o gilotynie, o pojedynkach na szpady i plutonach egzekucyjnych, ale nigdy o poczciwej starej szubienicy.

Nagle podniósł dłonie do gardła, głośno zacharczał i dopiero po chwili wybuchnął śmiechem. Nora uśmiechnęła się z przymusem.

— Wiesz co, Noro, powinniśmy porozmawiać o...

— Co się stało?

— Nic — odparł Jeffrey i zrobił taką minę, jakby coś stało mu w gardle. — Co to ja mówiłem? — Odchrząknął. — A tak, powinniśmy porozmawiać o...

Znowu urwał. Nora obserwowała uważnie jego twarz. Lek zaczynał już działać, ale obawiała się, że dała mu zbyt małą dawkę. W tym momencie objawy powinny być wyraźniejsze. Coś było nie w porządku.

— Co to ja mówiłem? — zapytał, próbując wziąć się w garść. Chwilę później zaczął chwiać się na krześle. Jego głos brzmiał niczym zepsuta płyta. — Powinniśmy porozmawiać... porozmawiać... o miodowym miesiącu.

Złapał się za brzuch, jęknął z bólu i spojrzał jej bezradnie w oczy. Nora wstała od stołu, podeszła do zlewu i nalała szklanek wody. Odwrócona do niego plecami, wsypała do niej proszek, końską dawkę prostygminy, lub, jak lubił ją nazywać jej pierwszy mąż, kardiolog Tom, szprycy. Połączona z fosforanem chlorochiny, który Nora dodała do omletu, prostygmina prowadziła do niewydolności układu

oddechowego, a następnie do zawału serca. Przy tym organizm całkowicie ją wchłaniał.

— Masz, weź to — powiedziała, podając mu szklanę. Jeffrey zakaszłał i parsknął śliną.

— Co... co to jest? — zapytał, usiłując z trudem skupić wzrok na musującej miksturze.

— Po prostu to wypij. Pomoże ci na wszystko. Chlup, chlup. Bul, bul.



# Rozdział 91

Turysta potrzebował odpowiedzi; musiał połączyć we właściwy sposób fragmenty układanki. Musiał odnaleźć w tym jakiś sens.

Cała ta sprawa stała się nagle dla O'Hary — dla Turysty — bardzo osobista.

Tajemniczy plik, który przejął nieopodal dworca Grand Central.

Lista nazwisk, adresów, kont bankowych i zdeponowanych na nich kwot.

Facet dostarczający pizzę, który próbował go zabić.

Ale kto za tym stał? Pierwszy sprzedawca pliku? Szantażysta?

Czy może zwierzchnicy Turysty?

Czego chcieli? Czy wiedzieli, że skopiował plik? Czy tylko go o to podejrzewali? A może po prostu zabezpieczali się na wypadek, gdyby to zrobił?

Nie ufają mi. Ja nie ufam im.

Czyż to nie jest słodkie i urocze?

Tak jest dziś urządzone świat.

W związku z tym każdą wolną chwilę — na przykład po wspaniałym dniu, który spędził z chłopcami na stadionie Jankesów — poświęcał na to, żeby analizować nazwiska z pliku, próbować rozwiązać zagadkę. Prawdę mówiąc, nie był

zbyt dobry w te klocki.

Do czegoś jednak doszedł.

Wszystkie osoby, których nazwiska znalazły się na liście, trzymały nielegalnie pieniądze na zagranicznych kontach.

Razem ponad miliard dolarów.

Skontaktował się z kilkoma bankami z listy, lecz nie była to chyba dobra metoda.

Zadzwoił do kilku osób z listy. To też nie był najlepszy pomysł. Czyżby spodziewał się, że się przyznają?

A potem późnym wieczorem w niedzielę zaczął przeglądać „New York Times”. Dział mody. Oczywiście z innych powodów. Powodów związanych z Norą Sinclair. Chciał mieć z nią o czym porozmawiać.

I nagle trafił!

Bingo!

Trzy, cztery, pięć, dziewięć, jedenaście osób z listy. Wszyscy brali udział w tym samym ekskluzywnym bankiecie w hotelu Waldorff Astoria.

I nagle wszystko zrozumiał. — Szantaż, przekręt, panikę, jaka wybuchła, a także dlaczego powierzyli tę sprawę właśnie jemu, dlaczego chcieli mieć pewność, że wszystko pójdzie jak z płatka. I z jakiego powodu ktoś chciał go zabić, tylko dlatego, że mógł coś wiedzieć.

Co okazało się prawdą.

Ponieważ O'Hara wiedział zdecydowanie więcej, niż chciał wiedzieć.

Na temat obu dochodzeń, w których uczestniczył.

## Rozdział 92

Pośpiesz się, O'Hara. Zabieraj się do roboty. Susan domagała się aresztowania, a to oznaczało, że pracuję w „trybie przyspieszonym” i wolno mi prawdopodobnie złamać kilka przepisów. Tak przynajmniej to interpretowałem. Oczywiście czasami słyszę tylko to, co chcę usłyszeć.

Siedząc na krześle naprzeciwko Stevena Keplera, nie mogłem nie dostrzec kilku charakterystycznych detali. Po pierwsze pan mecenas miał naprawdę fatalną fryzurę. Stanowczo zbyt dużo pola do popisu dla zdecydowanie zbyt małej ilości włosów. Po drugie doradca podatkowy Nory był wyraźnie podenerwowany.

Oczywiście wiele osób denerwuje się w obecności agenta FBI — na ogół bez żadnego powodu.

Bez zbędnych wstępów wyciągnąłem z kieszeni marynarki fotografię. Była to odbitka jednego z cyfrowych zdjęć, które zrobiłem tamtego pierwszego dnia w Westchester.

— Poznaje pan tę kobietę? — zapytałem.

Steven Kepler pochylił się nad biurkiem.

— Nie, nie sądzę — odparł szybko.

Wyciągnąłem do niego fotkę.

— Proszę, niech pan się uważnie przyjrzy.

Keppler wziął fotografię i niczym wybitny aktor klasy B odegrał na mój użytek całą scenkę: zmarszczył brwi, zmrużył oczy, po czym wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

— Nie, nie wydaje mi się znajoma — stwierdził. — Swoją drogą, jest bardzo ładna.

Kiedy oddał mi fotografię, podrapałem się po podbródku.

— To naprawdę dziwne — powiedziałem.

— Co takiego?

— To, że ta ładna kobieta ma pańską wizytówkę, choć pan jej nie zna.

Keppler poruszył się nerwowo na krześle.

— Może od kogoś ją dostała — zasugerował.

— No tak, jasne, ale to nie wyjaśnia, dlaczego ta kobieta upiera się, że pana zna.

Keppler jedną ręką dotknął krawata, a drugą poprawił fryzurę. Jego nerwowe tiki przekroczyły dopuszczalne normy.

— Pozwoli pan, że jeszcze raz rzucę okiem. Mogę?

Podąłem mu zdjęcie i obserwowałem go, spodziewając się kolejnej scenki rodem ze złego filmu. Nie omyliłem się.

— Och, chwileczkę... Wydaje mi się, że wiem, kto to jest. — Keppler stuknął kilka razy fotografię palcem wskazującym. — Pani Simpson? Singleton?

— Sinclair — odpowiedziałem mu.

— Oczywiście. Olivia Sinclair.

— Dokładnie rzecz biorąc, Nora.

Keppler potrząsnął głową.

— Nie, jestem pewien, że ma na imię Olivia.

I to mówił facet, który jeszcze przed minutą twierdził, że jej nie zna.

— Rozumiem, że jest pana klientką? — zapytałem. — Ładna, jak sam pan powiedział. Dziwię się, że jej pan nie zapamiętał.

— Owszem, zleciła mi pewne czynności.

— Jakiego rodzaju czynności?

— Zdaje pan sobie sprawą, że nie mogę tego ujawnić, agencie O'Hara.

— Owszem, może pan.

— Wie pan, co mam na myśli.

— Tak pan sądzi? Wiem tylko, że twierdził pan, iż nie rozpoznaje własnej klientki, w której sprawie prowadzę dochodzenie. Innymi słowy, okłamał pan agenta federalnego.

— Czy muszę panu przypominać, że rozmawia pan z adwokatem?

— Czy muszę panu przypominać, że za godzinę zjawię się tutaj z nakazem rewizji i przewrócę do góry nogami pańskie biuro?

Spiorunowałem Keplera wzrokiem, mając nadzieję, że wywiesi białą flagę, ale facet pokazał nagle, że ma jaja. To znaczy przeszedł do ofensywy.

— Pańskie absurdalne groźby mogą robić wrażenie w pewnych rejonach — oświadczył z podniesioną brodą, ale ja przestrzegam tajemnicy zawodowej. Może pan wyjść.

Podniosłem się z krzesła.

— Ma pan rację — stwierdziłem, głęboko wdychając. — Ma pan prawo chronić tajemnicę klienta, a ja przekroczyłem swoje kompetencje. Przepraszam. Oto moja wizytówka — dodałem, sięgając do kieszeni marynarki. — Gdyby zmienił pan zdanie albo chciał otrzymać ochronę policji, proszę zadzwonić do mojego biura.

Kepler zmienił się na twarzy.

— Ochronę policji? Sugeruje pan, że ta kobieta jest niebezpieczna? Olivia Sinclair? W jakiej dokładnie sprawie toczy się śledztwo?

— Obawiam się, że nie mogę panu tego powiedzieć, panie Kepler. Jestem pewien, że powierzając panu prowadzenie swoich interesów, pani Sinclair wierzyła, że nie puści pan pary z gęby.

Jego głos podniósł się o oktawę.

— Chwileczkę... gdzie przebywa teraz Olivia Sinclair? To znaczy macie ją chyba na oku?

— W tym rzecz, panie Keppler — odparłem. — Śledziliśmy ją, lecz aktualnie nie wiemy, gdzie przebywa. Nie mogę panu ujawnić wszystkiego, ale powiem jedno: sprawa dotyczy morderstwa. Możliwe, że nawet kilku.

W tym momencie adwokatowi skurczyły się jaja i nie było już mowy o ochronie interesów klienta. Kiedy udało mu się w końcu sklecić kilka słów, poprosił, żebym z powrotem usiadł.

— Z przyjemnością — odpowiedziałem.

## Rozdział 93

Księga Jeffreya została zamknięta, jego zaszyfrowane konto wyczyszczone i nikt niczego nie podejrzewał. Fotograf z „New York Magazine” nigdy nie zrobi im zdjęć, wywiad pójdzie na przemiał. Generalnie rzecz biorąc, Nora powinna być zadowolona z tego, jak ułożyły się sprawy w Bostonie. Jednak po powrocie do domu uświadomiła sobie, że jest w fatalnej sytuacji.

Myślała o O’Harze.

Wahała się przez chwilę, a potem wzięła do ręki komórkę. Nie mogła mu zdradzić tego, co wiedziała.

W końcu wystukała jego numer na klawiaturze.

— Halo?

No, no, niegrzeczny chłopiec we własnej osobie.

— Czy to mój partner od telefonicznego seksu? — zapytała. O’Hara zachichotał.

— To ty, mamusiu?

Wbrew woli roześmiała się.

— To było podłe.

— Miało być zabawne.

— A więc, panie Craigu Reynoldsie, dlaczego nie zadzwonił pan do mnie z Chicago? Był pan zbyt zajęty?

— Wiem. Przepraszam — odparł. — Całkowicie zaabsorbowało mnie to seminarium.

— Musiało być szalenie ciekawe. Dobrze wypadłeś? Pokazałeś się z najlepszej strony?

— Nie masz pojęcia.

Nora zaśmiała się drwiąco w duchu.

Mam większe pojęcie, niż ci się wydaje, Johnie O'Hara.

— Posłuchaj — dodał. — Wynagrodzę ci to.

— Żebyś wiedział, że wynagrodzisz. Co robisz dziś wieczorem?

— To samo co przez całe popołudnie. Pracuję.

— Wydawało mi się, że miałaś pracować w Chicago.

— Możesz mi wierzyć lub nie, ale muszę napisać raport z seminarium. Tkwię w tym po uszy...

— Bzdura! — przerwała mu Nora. — Widzę cię w tej chwili. Oglądasz telewizję. Jeśli się nie mylę, wygląda to na mecz bejsbolu.

— Co to ma... — wyjąkał zaskoczony.

— Wyrzyj na ulicę, Craig. Widzisz czerwonego mercedesa? Widzisz tę piękną dziewczynę na przednim siedzeniu? Macha do ciebie. Cześć, Craig.

Nora patrzyła, jak O'Hara pojawia się w oknie z miną, która świadczyła o jego zaskoczeniu równie przekonująco jak głos.

— Od jak dawna tu jesteś? — zapytał.

— Dość długo, żeby złapać cię na kłamstwie. Bejsbol? Wolisz bejsbol ode mnie?

— Zrobiłem sobie krótką przerwę w pisaniu raportu. Po prostu.

— Tak, już ci wierzę. No, to jak? Czy Craig może wyjść się zabawić?

— Nie chcesz wejść do środka?

— Mam ochotę na przejażdżkę — odparła.

— Dokąd?

— To niespodzianka. Wyłącz już tę pracę.



— Skoro mowa o pracy... — wtrącił.

— Co takiego?

— Zaczynam sobie uświadamiać, w jak delikatnej znaleźliśmy się sytuacji — powiedział. — Formalnie rzecz biorąc, jesteś moją klientką, Noro.

— Chyba trochę za późno na formalności, nie sądzisz? — O'Hara nie odpowiedział. — Daj spokój, Craig, wiesz, że chcesz ze mną być... a ja chcę być z tobą. To naprawdę bardzo proste.

— Tak tylko pomyślałem...

— A ja myślałam o tobie. Nie wiem dokładnie, na czym to polega, ale nie jesteś podobny do nikogo, kogo znałam. Czuję, jakbym mogła ci powiedzieć wszystko.

W słuchawce zapadła cisza.

— Mówisz, że masz ochotę na przejażdżkę... — O'Hara westchnął.

## Rozdział 94

Naprawdę nie miałem ochoty na wycieczkę w świetle księżycy, lecz mimo to siedziałem wraz z Norą Sinclair w jej samochodzie.

Dach kabrioletu był opuszczony i smagało nas chłodne i rześkie nocne powietrze. Droga, znaki — wszystko zlewało się w jedną smugę. Nora uczyniła z wiejskich dróg Westchester własny tor wyścigowy, a ja dotrzymywałem jej towarzysztwa.

Co ja, do diabła, robiłem?

To było pytanie, na które powinienem sobie natychmiast odpowiedzieć. Szkoda, że nie wiedziałem jak.

Informacje, których tak szczerze udzielił mi fatalnie uczesany mecenas Steven Keppler, zostały przekazane Susan. Przesłała je naszym komputerowym ekspertom, którzy mieli włamać się do zagranicznych kont Nory i sprawdzić jej lokaty i przelewy. Wszystkie lokaty i przelewy. Kto mógł wiedzieć, ile ich było? Mieli zwracać szczególną uwagę na każdą informację, która wiązała się z jakimś Connorem Brownem. Zarówno przed, jak i po jego śmierci. „Daję im dwadzieścia cztery godziny” — powiedziała Susan. „Maksymalnie trzydzieści sześć”.

W tym czasie musiałem tylko trzymać się z daleka od Nory.

Mimo to siedziała tuż przy mnie; piękniejsza, bardziej nęcąca i bardziej toksyczna niż kiedykolwiek. Czy to miał być nasz łąbędzy śpiew?

Z mojej strony odmowa uznania tego, co oczywiste?

Czy chwilowa utrata zmysłów?

Może w głębi duszy miałem nadzieję, że eksperci komputerowi nie znajdą żadnego powiązania, nie znajdą w ogóle nic? Że Nora jest niewinna? A może chciałem, żeby uszło jej na sucho morderstwo?

Odwróciłem się do niej.

—Przepraszam... co takiego?

Mówiła coś, lecz zagłuszył to ryk silnika oraz myśli kołujące się w mojej głowie.

—Pytałam, czy cieszysz się, że ze mną pojechałeś? — powtórzyła.

—Jeszcze nie wiem — odparłem, niemal wrzeszcząc.

—Nadal nie wiem, dokąd się wybieramy.

—Mówiłam ci, to niespodzianka.

—Nie lubię niespodzianek.

—Nie — sprostowała. — Nie lubisz nie panować nad sytuacją. Dobrze o tym wiedzieć.

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, weszła w ostry zakręt, w ogóle nie wciskając hamulca. Opony zapiszczwały, a kabriolet przechylił się i o mało nie dachował.

Nora odchyliła głowę i zaśmiała się na wietrze.

—Czujesz, że żyjesz? — zawołała.

## Rozdział 95

Zwolniła dopiero na czerwonym świetle.

Po przeszło półgodzinnej jeździe trafiliśmy do małego miasteczka Putnam Lake. Było tam jedno skrzyżowanie, a mercedes jedynym samochodem, który się na nim zatrzymał. Zbliżała się dziewiąta. Pamiętam każdy szczegół.

— Jesteśmy już prawie na miejscu? — zapytałem.

— Prawie — odparła. — Spodoba ci się, Craigu Reynoldsie.

Zaczęła majstrować przy radiu, a ja spojrzałem w prawo. Na stacji Mobil stał, tankując dżipa cherokee, starszy mężczyzna, w czapce z daszkiem. Na sekundę spotkały się nasze spojrzenia. Przypominał mojego ojca. „Nie wszystko jest takie, jak się [wydaje]”.

Światło zmieniło się na zielone i Nora ponownie wcisnęła gaz do dechy.

— Śpieszy ci się — mruknąłem.

— Tak. Jestem trochę napalona. Stęskniłam się za tobą. Ty też się stęskniłeś?

Przejechaliśmy kilka kilometrów, nic nie mówiąc. Ryczące radio konkurowało z ośmioma cylindrami silnika. Nie bardzo docierała do mnie linia melodyczna piosenki, ale nagle ją rozpoznałem: „Hotel California”. Sądząc po technice jazdy Nory, bardziej pasowałoby „Life in the Fast Line”.

Ponownie skręciliśmy.

Droga była ciemna i wąska i nie spostrzegłem tabliczki z nazwą ulicy. Spojrzałem na niebo. Świecący niezbyt mocno księżyc w nowiu zastąpiły drzewa. Znaleźliśmy się z całą pewnością w lesie.

— Disneyland mogę chyba wykluczyć — powiedziałem.

Nora roześmiała się.

— Wpadniemy tam następnym razem.

— Ale ty wiesz, dokąd jedziemy?

— Czy ktoś tu mi nie ufa?

— Tylko pytałem.

— No pewnie... Swoją drogą, miałam rację — dodała po chwili.

— W czym?

— Naprawdę nie podoba ci się, kiedy nie panujesz nad sytuacją.

Minutę później skończył się asfalt, lecz my jechaliśmy dalej. Pod kołami mieliśmy tylko glinę i luźne kamienie. Droga jeszcze bardziej się zwężała. Przeobrażony w powolną terenówkę kabriolet toczył się z chrzęstem. Nic nie mówiąc, spojrzałem z ukosa na Norę.

— Już niedaleko — powiedziała, nie przestając się uśmiechać.

I rzeczywiście po kilkuset metrach wjechaliśmy na polanę. Próbowałem dostrzec, co na niej stoi. Jakiś mały domek — a za nim jezioro albo staw.

Nora podjechała pod frontowe schodki i zaciągnęła hamulec.

— Czy to nie jest niesamowicie romantyczne miejsce?

— Do kogo należy ten dom? — zapytałem.

— Do mnie.

W świetle reflektorów mercedesa zobaczyłem długie, grube bale, z których go zbudowano. W rustykalnym stylu, ale dobrze utrzymany, nie wyglądał na dom, który mogłaby posiadać Nora.

— Niespodzianka — powiedziała. — Chyba miła? Nie podoba ci się mój mały domek nad wodą?

— Podoba mi się. Dlaczego miałby się nie podobać? Nora zgasiła silnik i wysiedliśmy. Miejsce było rzeczywiście piękne, prawie idealne. Idealne na co?

— Nie wzięłem szczoteczki do zębów — powiedziałem.

— Nie martw się. O wszystko zadbałam. Zadbałam o ciebie, Craig.

Wcisnęła przycisk na pilocie i bagażnik mercedesa otworzył się jak na zawołanie. Cała niewielka „przestrzeń załadunkowa” kabrioletu była szczelnie wypełniona. Nie został wolny ani jeden centymetr.

— Dobrze się przygotowałaś — stwierdziłem, spoglądając na torbę turystyczną i małą lodówkę. Przygotowałaś się na co?

— Mam tu wszystko, czego trzeba do przyrządzenia wyśmienitej późnej kolacji. Oraz parę innych drobiazgów, w tym, owszem, szczoteczkę dla ciebie. Na co jeszcze czekamy?

Na wsparcie, miałem ochotę odpowiedzieć.

Chwyciłem torbę i lodówkę i wspięliśmy się po starych drewnianych schodach. Gdy znalazłem się w środku, potrząsałem głową z uśmiechem. Z zewnątrz domek wyglądał niczym dom, w którym wychował się Abraham Lincoln, ale w środku niczym rozkładówka czasopisma poświęconego wystrojowi wewnątrz. Powinienem być się tego domyślić.

— Dom należał do mojego klienta — wyjaśniła Nora, kiedy wypakowaliśmy jedzenie. — Wiedziałam, że spodobała mu się aranżacja wnętrza. Mimo to byłam szokowana, kiedy mi go zostawił.

Podeszła do mnie i zarzuciła mi ręce na szyję. Jak zawsze pachniała wspaniale i była jeszcze wspanialsza w dotyku.

— Dość już o tym, co było. Porozmawiajmy o przyszłości, to znaczy o tym, co powinniśmy zrobić najpierw. Pokochać się czy zrobić kolację?

— Hm, to trudne pytanie — odparłem z kamiennym obliczem.

Oczywiście to nie powinno być trudne. Wiedzieliśmy o tym oboje. Nora nie wiedziała jednak, że właściwie mówię prawdę. Wcześniej czy później musieliśmy skończyć z seksem.

Nie możesz tego dalej robić, O'Hara. Weź na wstrzymanie!

Łatwiej było to powiedzieć, niż wykonać. Jej ciało przywarło do mojego, przez głowę przelatywały mi tysiące myśli, pokusa była trudna do opanowania.

— Możesz powiedzieć, że jestem szalony, ale nic od rana nie jadłem — mruknąłem.

— No dobrze, jesteś szalony i najpierw zjemy. Jest tylko jedno małeńkie ale.

— Jakie?

Odwróciła się i wskazała kuchnię. Była opalana drewnem, ale brakowało opału.

— Jakieś pięćdziesiąt metrów za domem stoi szopa. Czy byłbyś tak uprzejmy?

Wziąłem latarkę z półki przy drzwiach i wyruszyłem na poszukiwanie szopy. Na dworze było ciemno choć oko wykol. Nie jestem facetem, którego łatwo wystraszyć, ale przez cały czas słyszałem w krzakach głośnie szelesty i nie wydaje mi się, żeby to był Jelonek Bambi.

Gdzie, u licha, podziła się ta szopa?

Czy powinienem tak szwendać się po nocy?

W końcu ją znalazłem i wziąłem dość drewna, żeby wystarczyło na całą noc. Następnie ruszyłem z powrotem do domku. Ciarki przeszły mi po plecach. Może to przez tego staruszka, którego widziałem na stacji benzynowej. Nie wiem dlaczego, ale znowu przypominałem sobie ojca. „Nie wszystko jest takie, jak się wydaje”.

## Rozdział 96

Wróciłem z pełnym nareczem drewna, rozpałiłem ogień pod kuchnią i zapytałem Norę, w czym jeszcze mógłbym jej pomóc.

— Absolutnie w niczym — odparła, całując mnie w policzek. — Od tej chwili ja zajmę się wszystkim.

Zostawiłem Norę w małej kuchni, przeszedłem do salonu i usadowiłem się na sofie z jedynym pismem, jakie znalazłem, toaczy z egzemplarzem „Field and Stream” sprzed czterech lat. W połowie artykułu o zażartych zmaganiach z łososiem w Sheen Falls Lodge w Irlandii Nora zaprosiła mnie do stołu. Wróciłem do kuchni i zasiadłem do kolacji składającej się ze smażonych na patelni przegrzebków, dziukiego ryżu oraz rzymskiej sałaty i radicchio. Do tego butelka wina Pinot Grigio. Bardzo w stylu magazynu „Gourmet”.

Nora wzięła do ręki kieliszek i wzniosła toast.

— Za pamiętną noc.

— Za pamiętną noc — zgodziłem się.

Stuknęliśmy się i zaczęliśmy jeść. Zapytała mnie, co czytałem, i opowiedziałem jej o połowach łososia.

— Lubisz łowić ryby? — zapytała.

— Uwielbiam — odparłem, a potem zorientowałem się, że powinienem rozbudować moje małe białe kłamstewko.



Tak właśnie wyglądał mój związek z Norą. — Powiem ci jedno: kiedy ciagniesz w końcu tę wielką rybę... tę, na którą czekałaś... czujesz, że było warto.

— Gdzie lubisz łowić?

— Hm... W tym rejonie jest kilka niezłych jezior i strumieni. Zaufaj mi, można tu złowić całkiem dużą sztukę. Ale nic nie może się równać z wyspami. Z Jamajką, St. Thomas, Kajmanami. Domyślałam się, że tam byłaś?

— Owszem. Tak się składa, że niedawno byłam na Kajmanach.

— Na wakacjach?

— W interesach.

— Tak?

— Urządzałam plażowy domek pewnemu finansistcie. Cudowne miejsce nad samą wodą.

— Ciekawe — odparłam, kiwając głową, po czym zjadłam kolejnego przegrzebka. — Swoją drogą, jedzenie jest pyszne.

— Cieszę się. — Nora wyciągnęła dłoń i położyła ją na mojej. — Dobrze się bawisz?

— Owszem.

— To świetnie, bo trochę się zmartwiłam... kiedy powiedziałaś wcześniej, że jestem twoją klientką.

— Tak naprawdę chodziło mi o cały kontekst — wyjaśniłam. — Powiedzmy sobie szczerze: nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie śmierć Connora.

— To prawda. Nie mogę zaprzeczyć, ale... — Urwała.

— Co chciałaś powiedzieć?

— Coś, czego nie powinnam chyba mówić.

— Nie ma sprawy. — Rozejrzałam się dookoła i uśmiechnąłem. — Nikt nas tutaj nie podsłucha.

W odpowiedzi słabo się uśmiechnęła.

— Nie chcę, żeby to zabrzmiało cynicznie, ale jeśli nauczyłam się czegoś w mojej profesji, to tego, że można zakochać się w więcej niż jednym domu. Czy naiwnością jest sądzić, że to samo może dotyczyć ludzi?

Zajrzałem jej głęboko w oczy. Dokąd zmierzała? Co próbowała mi zasugerować?

— O tym właśnie mówimy, Noro? O miłości?

Wytrzymała moje spojrzenie.

— Chyba tak — odparła. — Wydaje mi się, że się w tobie zakochuję. Czy to źle?

Przełknąłem z trudem ślinę, słysząc, jak mówi te słowa. A potem poczułem, jakby cała ta dziwna noc eksplodowała i w moim żołądku.

Nagle zrobiło mi się niedobrze. Czy to była reakcja na jej wyznanie?

Przypomniałem sobie, co się stało, kiedy ostatnio dla mnie gotowała. Jak mogłem winić o to nieświeże małże?

Dlatego nic nie powiedziałem. Miałem nadzieję, że mi przejdzie. Powinno przejść.

Ale nie przechodziło.

A potem, zanim się zorientowałem, nie byłem w stanie mówić. Nie byłem w stanie oddychać.

# Rozdział 97

Nora siedziała i patrzyła, jak O'Hara wali się bezradnie z krzesła i rozbija głowę o twarde deski podłogi. Znad prawego oka natychmiast zaczęła mu ciec krew. Skaleczenie było paskudne, ale on w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Bardziej obchodziło go to, co działo się w jego wnętrzu.

Zawsze bardziej ich to obchodziło.

Mimo to ze wszystkich facetów — Jeffrey, Connora oraz jej pierwszego męża Toma Hollisa — z tym było najtrudniej. Do mężczyzny znanego pod nazwiskiem Craig Reynolds czuła autentyczną słabość, zawsze istniała między nimi chemia. Jego dowcip, urok, wygląd, inteligencja, tak bardzo podobna do jej własnej. Był najlepszy pod każdym względem i już teraz jej go brakowało. Żałowała, że tak się stało.

Ale musiało do tego dojść.

O'Hara wił się i dławił własnymi wymiotami. Próbował się podnieść, lecz nie mógł ustać na nogach. Pierwszy specyfik nie mógł go zabić, stanowił tylko podkład. Mimo to martwiła się, że dała mu za dużo.

Musiała coś powiedzieć, udawać zatroskaną. Była przecież niewinną obserwatorką, która nie miała pojęcia, co się dzieje. Jej panika powinna sprawić na nim wrażenie autentycznej.

— Może ci coś dam... Pozwól, że ci pomogę.

Podbiegła do zlewu i napełniła szklankę wodą. Z fiolki, którą miała w kieszeni, dosypała proszku. Ku powierzchni niczym w szampanie strzeliły bąbelki. Kiedy odwróciła się od zlewu, O'Hary nie było.

Dokąd poszedł?

Nie mógł zejść daleko. Zrobiła dwa kroki i usłyszała trzaskanie drzwi w holu, a następnie zgrzyt zamka. Udało mu się dobrać do łazienki.

Nora podbiegła tam ze szklanką w dłoni.

— Kochanie, dobrze się czujesz? — zawołała. — Craig?

Słyszała, jak rzyga, biedaczysko. Brzmiało to okropnie, ale stanowiło dobry znak. Nadeszła pora na bąbelki. Teraz musiała go tylko nakłonić, żeby otworzył drzwi. Delikatnie zapukała.

— Kochanie, mam coś dla ciebie. Poczujesz się od tego lepiej. Wiem, że w to nie wierzysz, ale sam się przekonasz.

Kiedy nie odpowiedział, zawołała ponownie. Kiedy i to nic nie dało, walnęła w drzwi.

— Proszę! Musisz mi zaufać.

— Tak, jasne! — odkrzyknął w końcu między atakami torsji.

— Serio, Craig, pozwól, że ci pomogę — powiedziała. — Ból ustąpi. Musisz tylko to wypić.

— Nigdy w życiu!

Nora zmarszczyła czoło. A więc tak to chcesz rozegrać? Zgoda.

— Na pewno? — zapytała. — Na pewno nie chcesz otworzyć drzwi... O'Hara?

Wśluchiwała się w ciszę, która zapadła, wyobrażając sobie jego kompletne zaskoczenie. Żałowała, że nie może widzieć jego miny.

— Tak brzmi twoje prawdziwe nazwisko, prawda? John O'Hara? — szdyżła z niego, stojąc po drugiej stronie drzwi.

To sprawiło, że nie mógł już dłużej milczeć.

— Tak! — wrzasnął gniewnie. — Jestem John O'Hara. Agent specjalny FBI.

Nora otworzyła szeroko oczy: jej podejrzenia okazały się słuszne. Pierwszą reakcją był śmiech.

— Naprawdę? Jestem pod wrażeniem. Widzisz, mówiłam, że jesteś stworzony do czegoś lepszego niż ubezpieczenia. Wydaje mi się...

— Wszystko skończone, Noro — przerwał jej silniejszym głosem. — Wiem zbyt wiele... i przeżyję, żeby o tym opowiedzieć. Zabiłaś Connora dla jego pieniędzy, zupełnie tak samo jak swojego pierwszego męża.

— Kłamiesz! — krzyknęła.

— To ty kłamiesz, Noro. A może masz na imię Olivia? Tak czy inaczej, możesz się pożegnać z całą forszą, którą trzymasz na Kajmanach. Ale nie martw się... Tam, dokąd pójdziesz, będziesz na darmowym wikcie.

— Nigdzie nie pójde, ty dupku! Za to ty zaraz odejdziesz z tego świata!

— Jeszcze zobaczymy. A teraz przepraszam, chciałbym zatelefonować.

Nora usłyszała dochodzące z łazienki trzy wysokie dźwięki. O'Hara dzwonił pod 911. Znów wybuchnęła śmiechem.

— Ty idioto. Jesteśmy na odludziu... żadna sieć nie ma tutaj zasięgu.

Teraz to on się roześmiał.

— Tak ci się tylko zdaje, skarbie.

## Rozdział 98

Leżałem na podłodze w łazience, utyłany krwią, wymiotami i kilkoma innymi organicznymi wydzielinami, które z całą pewnością nie powinny ujrzeć dziennego światła.

Mimo to byłem szczęśliwy jak wieprzek tarzający się w błocie.

Nie miało znaczenia, że bolało mnie całe ciało. Najważniejsze, że żyłem.

I dodzwoniłem się.

— Tu numer awaryjny dziewięćset jednaście...

Satelity odebrały mój sygnał. Pomoc powinna dotrzeć w ciągu kilku minut. Wystarczy, że powiem im, gdzie, do diabła, jestem.

— Nazywam się John O'Hara — powiedziałem do telefonistki — jestem agentem FBI i...

Jestem pod ostrzałem!

Usłyszałem huk wystrzału i zobaczyłem, jak z drzwi łazienki idą drzazgi. Kula przeleciała mi ze świstem koło ucha i rozbiła kafelki za moimi plecami. Wszystko to zdarzyło się w okamgnieniu, ale miałem wrażenie, jakby działo się w zwolnionym tempie.

Aż do momentu, gdy padł następny strzał. Wówczas poczułem już tylko ból. Za pierwszym razem miałem sporo

szczęścia. Za drugim raczej nie. Kula trafiła mnie w ramię i przebiła je na wylot. Spojrzałem na dziurę w koszuli, z której zaczęła się sączyć krew.

Kurwa, oberwałem.

Telefon wypadł mi z ręki i na ułamek sekundy zastygłem w bezruchu. Gdybym zastygł na całą sekundę, już bym nie żył. Na szczęście górę wziął instynkt. Przeturlałem się na lewo, dalej od drzwi, i zszedłem z linii strzału.

Trzeci wystrzelony przez Norę pocisk przebił drzwi i trafił w kafelek, gdzie byłem sekundę wcześniej. Dostałbym prosto w pierś.

— Jak ci się to podoba, O'Hara?! — krzyknęła. — To jest moja polisa ubezpieczeniowa!

Nie odpowiedziałem. Mówiąc cokolwiek, prosiłbym się o następną kulkę. Czekałem, że Nora powie coś jeszcze, ale ona umilkła.

Słysząc było tylko stłumiony metaliczny głos telefonistki, dochodzący z komórki leżącej kilka stóp dalej na podłodze.

— Proszę pana? Jest pan tam? Co się dzieje?

Czy coś w tym rodzaju. Nie byłem do końca pewien. Nie dbałem o to. W tym momencie telefon nie był ważny.

Powoli podkuliłem lewą nogę i podniosłem mankiet spodni. Nie zabrałem ze sobą szczoteczki do zębów, ale wziąłem coś innego.

Rozpiąłem kaburę i wyjąłem z niej dziewięćmilimetrową berettę. Jeśli Nora miała zamiar wyważyć drzwi, byłem gotów na jej przyjęcie.

Zacisnąłem pistolet w dłoniach i czekałem.

Gdzie jesteś, Noro, miłości mojego życia?

# Rozdział 99

W domku panowała cisza, umilkł nawet mój telefon. Dyżurująca pod numerem 911 telefonistka miała moje nazwisko i chociaż nie podałem jej, gdzie jestem, powinny to ustalić satelity. Pod warunkiem, że telefonistka zrobi to, co powinna — to znaczy powiadomi swojego zwierzchnika, który zaalarmuje FBI. Biuro otrzyma współrzędne, które przekazywał mój wyposażony w GPS telefon, i wyśle na miejsce najbliższy patrol policji. Teoretycznie było to bardzo proste.

Musiałem tylko postarać się nie wyzionąć ducha przed ich przyjazdem. Nasuwało się w związku z tym pewne pytanie. Dlaczego nie odpowiedziałem ogniem na strzały Nory? Znałem odpowiedź na to pytanie. Nie wiedziałem tylko, co z nią zrobić.

Próbowałem bezszelestnie podnieść się z podłogi. Nie pomagał mi w tym rozdzierający ból w ramieniu. Podszedłem na palcach do drzwi i oparłem się o ścianę. W jednej ręce trzymałem pistolet, drugą sięgnąłem do zameczka przy klamce i powoli go przekręciłem.

Wziąłem głęboki oddech i kilka razy zamrugałem. Nie wiedziałem, czy Nora nie stoi nadal po drugiej stronie, ale musiałem to sprawdzić. Jediną przewagą dawało mi to, że drzwi otwierały się na zewnątrz, na korytarz.



Trzy.

Dwa.

Jeden.

Z całej siły, jaka mi jeszcze pozostała, kopnąłem drzwi. Otworzyły się na oścież.

Nisko pochylony, wytoczyłem się na zewnątrz. Trzymając w obu rękach pistolet, skierowałem go w lewo i potem w prawo, wypatrując jakiegoś ruchu. Wziąłem na muszkę lampę, a następnie o mało nie rozstrzelałem własnego odbicia w lustrze na korytarzu.

Ani śladu Nory.

Bokiem ruszyłem korytarzem w stronę kuchni.

— Nie tylko ty masz broń! — zawołałem. — Nie chcę cię zabić.

Żadnej odpowiedzi.

Dotarłem do drzwi salonu. Zerknąłem szybko do środka.

Żadnego ruchu. Ani śladu Nory.

Do kuchni miałem tylko kilka kroków. Coś usłyszałem. Skrzypienie. Kroki. Była tam, czekała na mnie.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć. Ale nie powiedziałem ani słowa. Nagle zakręciło mi się w głowie i wyciągnąłem lewą rękę ku ścianie, starając się odzyskać równowagę. Nogi miałem jak z waty.

Nadal słyszałem skrzypienie. Czy to Nora? Podniosłem pistolet. Lufa wyraźnie drżała. Znowu coś zaskrzypiało. Coraz głośniejsze.

Chryste, O'Hara!

Dopiero w tym momencie skojarzyłem. Skrzypienie było skwierczeniem. Domyśliłem się tego dzięki paskudnemu zapachowi. Coś paliło się w kuchni.

Stałem przy kuchennych drzwiach i zajrzałem do środka. Zobaczyłem dym i stojący na fajerce garnek. Pozostawiony w nim ryż cały się sfajczył.

Wypuściłem z płuc powietrze. A potem podskoczyłem

w miejscu. Gdzieś za mną trzasnęły drzwi. Frontowe drzwi. Czyżby Nora dawała drapaką?

Dotelepawszy się do wyjścia, usłyszałem silnik mercedesa. Schodząc po starych drewnianych schodach, potknąłem się, wywinąłem kozła i wylądowałem na boku. Zaparło mi dech z bólu.

Kiedy gramoliłem się na nogi, Nora wrzuciła bieg. Nagle obejrzała się przez ramię i na sekundę spotkały się nasze spojrzenia.

—Noro! Zatrzymaj się!

—Tak, jasne, O'Hara. Mam się zatrzymać w imię miłości?

Podniosłem rękę, ale nie mogłem powstrzymać drżenia.

Wycelowałem w tył kabrioletu, lecz niezbyt dobrze widziałem go w świetle księżyca.

—Noro! — krzyknąłem jeszcze raz.

Była już na skraju polany — za chwilę miała zniknąć na leśnej drodze.

Pociągnąłem w końcu za spust, raz i drugi, bardziej na wiwat, niż żeby trafić.

A potem wszystko spowiła czerń.

# Rozdział 100

Swąd spalonego dzikiego ryżu był niczym potpourri w porównaniu z solami trzeźwiącymi.

Kiedy uniosłem głowę i otworzyłem oczy, ujrzałem nad sobą dwóch lokalnych gliniarzy. Starszy zakładał mi właśnie na ramię prowizoryczną opaskę uciskową, a młodszy — miał jakieś dwadzieścia dwa lata — przyglądał mi się z niedowierzaniem. Nie musiałem być jasnowidzem, żeby wiedzieć, co myśli.

Co ci się, do diabła, przydarzyło, chłopie?

Jednak to ja pierwszy zadałem mu pytanie.

— Dorwaliście ją? — wybełkotałem.

— Nie — odparł starszy gliniarz. — Nie wiemy dokładnie, kogo szukamy. Mamy tylko jej nazwisko. Nie wiemy, jak wygląda i jaki prowadzi samochód.

Powoli o wszystkim ich poinformowałem. Podałem im dokładny rysopis Nory, jej adres w Briarcliff Manor i to, że prowadzi czerwonego kabrioletu marki Mercedes. Swoją drogą, było raczej mało prawdopodobne, żeby pojechała do domu Connora Browna. Chybaby się nie ośmieliła?

Młodszy gliniarz włączył krótkofalówkę i przekazał informacje. Zapytał również o ambulans, mój ambulans.

— Powinni już tu być — powiedział mi.

— Nigdy nie byłem traktowany priorytetowo — zażartowałem.

Jego partner skończył tymczasem mocować opaskę.

— Powinno wystarczyć do ich przyjazdu — orzekł.

Podziękowałem mu. Podziękowałem im obu. Nagle uświadomiłem sobie, że wyglądają jak ojciec i syn. Zapytałem i okazało się, że zgadłem. Funkcjonariusze Will i Mitch Cravensowie. Pokażcie mi lepszy przykład cudownego małomiasteczkowego życia.

Zacząłem dźwigać się na nogi.

— Hola, hola! — usłyszałem chóralny okrzyk.

Miałem leżeć i odpoczywać, powiedzieli mi.

— Muszę zadzwonić z mojej komórki — oznajmiłem.

— Gdzie ona jest? — zapytał Mitch Cravens. — Przyniosę.

— Gdzieś na podłodze, w łazience. I niech pan wygasi ogień pod kuchnią.

Mitch kiwnął głową do ojca.

— Zaraz wracam.

Kiedy wszedł do środka, przypomniałem sobie, co powiedziała Nora; że domek należy do niej i że dostała go od swojego byłego klienta.

— Hej, Will, niewykłuczone, że ją znacie — powiedziałem. — To jej domek. Odziedziczyła go po swoim kliencie, który wykorkował.

— Tak ci powiedziała? — zapytał. Po jego tonie domyśliłem się, co zaraz usłyszę. — Czy wspomniała, jak nazywał się ten jej klient?

— Nie, ale miała klucze.

Will potrząsnął głową.

— Domek należy do faceta, który nazywa się Dave Hale. Nie wiem, czy był jej klientem, ale zapewniam cię, że żyje i ma się dobrze.

— Czy nie jest przypadkiem bogaty?  
Will wzruszył ramionami.

— Chyba tak. Spotkałem go tylko kilka razy. Dlaczego? Uważasz, że jest w niebezpieczeństwie?

— Do dzisiaj był — odparłem. — Teraz jest chyba bezpieczny.

Mitch wrócił, trzymając w ręku moją komórkę.

— Znalazłem.

Otworzyłem klapkę i już miałem zamiar zadzwonić do Susan, kiedy telefon sam zadzwonił. Ubiegła mnie.

— Halo?

— Pieprzyłeś się z nieodpowiednią dziewczyną — odezwał się głos. — Fatalnie namieszałeś, O'Hara.

Pomyliłem się.

W głosie Nory nie było słycać hysterii. Wprost przeciwnie, była zupełnie spokojna. Zbyt spokojna. Po raz pierwszy zacząłem się bać Nory Sinclair.

— Teraz zamierzam dobrać ci się do skóry tam, gdzie mieszkasz, O'Hara — powiedziała. — Naprawdę. Powiedzmy, w Riverside?

Klik.

Telefon wypadł mi z ręki. Dźwignąłem się z ziemi na chwiejnych nogach. Dwaj gliniarze podtrzymali mnie.

— Co się stało? — zapytał syn, Mitch.

— Moja rodzina — odparłem. — Ona chce skrzywdzić moją rodzinę.

# Rozdział 101

Natychmiast pojęli, co jest grane. Zrozumiałby to każdy gliniarz, ale funkcjonariusze Will i Mitch Cravensowie — ojciec i syn — zrozumieli to trochę szybciej. Nie było już mowy o czekaniu na ambulans. Lepiej, żebym wykrwawił się na śmierć, aniżeli stracił kolejną minutę w tych leśnych ostępach.

Wgramoliłem się na tylne siedzenie radiowozu. Obdarzony szybszym refleksem Mitch pędził z wyjąca syreną, a Will łączył się przez radio z policją w Riverside, żeby podjechali pod mój dom. Ja tymczasem dzwoniłem tam z mojej komórki.

— No, szybciej, szybciej — mruzczałem, słysząc powtarzający się sygnał w słuchawce.

Telefon dzwonił i dzwonił.

— Cholera! Nikt nie odbiera!

W końcu włączyła się automatyczna sekretarka i roztrzęsiony poprosiłem swoją byłą żonę, żeby poszła do sąsiadów i czekała na przybycie policji.

Przez głowę przelatywały mi straszliwe, okropne myśli. Czy Nora już tam jest? I skąd wiedziała, gdzie ma jechać?

Will nadal rozmawiał przez radio.

—Policja z Riverside będzie u ciebie w domu za kilka minut — powiedział, odwracając się do mnie. — Nie udało ci się połączyć? — zapytał, wskazując komórkę.

—Nie.

—Mają telefon komórkowy?

—Zaraz spróbuję.

Wcisnąłem przycisk szybkiego połączenia i natychmiast usłyszałem komunikat poczty głosowej. Zostawiłem tę samą złowieszczą wiadomość. Zupełnie jak na jakimś filmie: „Mówi John. Jeśli jesteś z chłopcami w domu, natychmiast wyjdź! Jeśli jesteś w drodze do domu, nie jedź tam!”.

Odchyliłem głowę i wydałem z siebie pełen frustracji krzyk. Opaska zaciskowa walczyła z płynącą moimi żyłami adrenaliną. Znowu zaczęło mi się kręcić w głowie. Próbowałem się uspokoić i nie myśleć o najgorszym. To było niemożliwe.

—Szybciej, panowie!

Pędziliśmy już ponad sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Minęliśmy granicę stanu Connecticut i pruliśmy prosto na południe do Riverside. Czułem się zupełnie bezradny i nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zadzwoń do Nory.

Może tego właśnie chciała. Może — taką miałem nadzieję — to była pusta groźba, może chodziło wyłącznie o to, żeby mnie śmiertelnie nastraszyć i kontynuować grę. Zadzwonię do niej, a ona wybuchnie triumfalnym śmiechem. Riverside to fałszywy trop, a ona jest już daleko stąd.

Gdyby tylko to była prawda.

Wybrałem jej numer.

Dziesięć dzwonek z rzędu.

Nie odezwała się jej poczta głosowa.

I nie odezwała się sama Nora.

W policyjnym radiu zabrzmiała seria trzasków. Połączono nas z policjantem z Riverside. Stał już przed domem. Drzwi były zamknięte, w środku paliły się światła. Z tego, co widział, nikogo tam nie było.

Spojrzałem na zegarek. 9.10. Powinni już być w domu. Chłopcy kładli się spać o dziewiątej. Will włączył głośnik.

— Nie ma śladu włamania? — zapytał.

— Nie — usłyszeliśmy.

— Sprawdziłeś u sąsiadów? — zapytał Mitch, zwalniając, żeby wejść w ostry zakręt. Przednie i tylne opony zapisaćzyły zgodnym chórem.

— Sprawdzamy to teraz — odparł policjant. — Jak daleko od nas jesteście?

— Dziesięć minut — powiedział Will.

— Jest pan tam, agencie O'Hara? — zapytał policjant.

— Tak jest.

— Chciałbym zdemontować zamek w drzwiach. Wyraża pan zgodę? Chodzi o to, żeby upewnić się, że nikogo nie ma w środku.

— Jak najbardziej. Niech pan go zdemontuje siekierą.

— Przyjąłem.

Jego głos zagłuszyły kolejne trzaski. Na zewnątrz radiowozu słycać było wyjąca syrenę. W środku panowała cisza. Małomiasteczkowi gliniarze Will i Mitch Cravensowie i ja nie odzywaliśmy się ani słowem.

Przechwyciłem spojrzenie Mitcha we wstecznym lusterku.

— Wiem, wiem — mruknął. — Szybciej.



## Rozdział 102

Mitch wcisnął gaz do dechy i z dziesięciu minut zrobiło się pięć. Ostatnie piętnaście metrów pokonaliśmy, sunąc poślizgiem. Ulicę rozjaśniały obracające się czerwone i niebieskie policyjne światła. Grupki sąsiadów stały na trawnikach, zastanawiając się, co takiego dzieje się w domu O'Hary.

W tym momencie niewiele.

Wpadłem do środka przez otwarte frontowe drzwi i zastałem w holu czterech gliniarzy pograżonych w rozmowie. Właśnie skończyli przeszukiwać pokoje.

— Nikogo nie ma — oznajmił jeden z nich.

Wbiegłem do kuchni. W zlewie było kilka naczyń, na blacie leżała rolka folii. Spostrzegłem ślady zjedzonej kolacji. Zerknąłem na wiszący przy lodówce telefon. Mrugało na nim światełko, ale nagrana była tylko jedna wiadomość. Moja.

Wszyscy gliniarze, wraz z Willem i Mitchem, zgromadzili się w sąsiednim pokoju. Poszedłem do nich.

— Potrzebny jest nam jakiś plan — powiedziałem — ale ja go nie mam. Nie jestem w najlepszej formie.

Akcją dowodził niski czarnowłosy funkcjonariusz o nazwisku Nicolo. Był bardzo dobrze zorganizowany i poinformował nas, że policja szuka już czerwonego mercedesa Nory na terenie trzech stanów. Zawiadomiona została ochrona

na lotniskach. Tłumaczył mi właśnie, że chce urządzić w domu „centrum dowodzenia”, kiedy coś sobie uświadomiłem.

Czerwony mercedes... samochód... garaż. Powinienem zajrzeć do garażu, żeby sprawdzić, czy stoi tam ich minivan.

Zrobiłem dwa kroki do przodu i nagle za moim ramieniem rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi. Odwróciłem się i ujrzałem to samo co oni.

W progu kuchni stali Max i John Junior, za nimi ich matka. Wszyscy trzymali w rękach lody.

Zrobili zdziwione miny już wcześniej, na widok policji. Kiedy zobaczyli mnie i zorientowali się, w jak marnym jestem stanie, otworzyli usta ze zdumienia.

Podbiegłem, żeby ich uściskać. Byłem tak przejęty, że nie usłyszałem dzwonka telefonu.

Usłyszał go za to Mitch Cravens. Miał zamiar odebrać, lecz Will Cravens powstrzymał go gestem dłoni. Podniósł palec do ust, nakazując milczenie, a następnie przełączył go na głośne mówienie.

— Jak to dobrze, mam publiczność — odezwała się Nora.

Głowy obecnych w pokoju odwróciły się jak na komendę w stronę telefonu. Wszyscy, a zwłaszcza ja, byli żywo zainteresowani tym, co miała do powiedzenia. Tym razem jednak nie dzwoniła do mnie.

— Wiem, że pani tam jest, pani O’Hara — powiedziała tym samym spokojnym tonem. — Chciałam tylko, żeby pani coś wiedziała. Pieprzyłam się z pani mężem. Życzę udanego wieczoru.

Nora odłożyła słuchawkę.

W pokoju zapadła martwa cisza, a ja spjrzałem w oczy mojej żonie. Dokładnie rzecz biorąc, mojej od dwóch lat byłej żonie.

Potrząsnęła głową.

— I ty się dziwisz, dlaczego wzięliśmy rozwód, ty dupku!

Część 5

**Ucieczka**

# Rozdział 103

Tak to się skończyło. Po prostu.

— Hej, nie poznałem cię bez twojego wiernego plecaczka, Fitzgerald — powiedział Turysta.

— Bardzo śmieszne, O'Hara. Nie zdążyłam ci podziękować za to, że ocaliłeś mój tyłek przy Grand Central. Wielkie dzięki. Choć mam wrażenie, że sama też bym sobie z nim poradziła. A może jednak nie.

Turysta spotkał się z Dziewczyną z Plecakami przy stoliku w restauracji na lotnisku LaGuardia. Szantażysta, sprzedawca miał się pokazać lada chwila. Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

— To czyste wariactwo. Myślisz, że się pojawi? Mówię o sprzedawcy — powiedziała.

O'Hara popijał swoją ogromniastą colę z McDonalda.

— Zrobi to, jeżeli zależy mu na pieniądzach, a jestem pewien, że mu zależy. Dwa miliony to wystarczający powód, żeby się zjawić.

Fitzgerald zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

— Powiedzmy, że rzeczywiście się pokaże. Skąd będziemy wiedzieli, że odda wszystko, co ma? Swoje kopie? Że nie spróbuje nas wykiwać?

— Tak jak my próbowaliśmy go wykiwać przy Grand Central? Dokładnie rzecz biorąc, jego nieżyjącego już

przedstawiciela.

— Hej, nie zapominaj, że to łobuz, O'Hara.

— Chyba to sobie gdzieś zapisałem. To łobuz, to łobuz.

W tym momencie O'Hara usłyszał wiadomość przez słuchawkę.

— Idzie. Wiemy, kim jest. Tym razem pojawił się we własnej osobie.

Fitzgerald nadal tego nie pojmowała.

— Po co tutaj przychodzi? Nie wie, że to może być pułapka?

O'Hara nisko się do niej nachylił.

— Sama go o to zapytaj. Na pewno udzieli ci trafnej odpowiedzi.

Facet miał koło trzydziestki, niebieski garnitur. Słoneczne okulary od Aviatora, teczkę. Usiadł przy ich stoliku i od razu przystąpił do rzeczy.

— Tym razem macie chyba moje pieniądze?

O'Hara potrząsnął głową.

— Nie. Nie ma pieniędzy. Nie wstawaj. Obstawiliśmy całą restaurację. Robimy ci zdjęcia dla „USA Today” i magazynu „Time”. No i dla „Kurieria Sing Singu”.

— Popelniasz duży błąd, przyjacielu. Masz przesrane — oświadczył facet w garniturze, podnosząc się z miejsca.

O'Hara znowu go powstrzymał.

— Obawiam się, że się mylisz. Teraz mnie posłuchaj, bo proponujemy ci umowę. Nie dostaniesz żadnych pieniędzy za plik, który ukradłeś i próbowałeś nam później odsprzedać. Pozwolimy jednak, żeby uszło ci to na sucho. Oczywiście zostawisz nam teczkę i kopie, które zrobiłeś. Wiemy, kim jesteś, agencie Viseltear. Jeżeli z nami kiedykolwiek zdrzesz albo jeżeli ta sprawa wyjdzie na światło dzienne, to cię załatwimy. Rozumiesz? Naprawdę załatwimy. Takie są warunki umowy. Nie najgorsze, prawda?

O'Hara długo patrzył w oczy faceta w garniturze, analityka z Quantico, który okazał się złodziejem.

— Nadażasz? Zrozumiałeś?

Viseltear powoli potrząsnął głową.

— Nie chcecie postawić mi zarzutów — stwierdził. — Nie możecie pójść z tym do sądu. Rozumiem.

O'Hara wzruszył ramionami.

— Jeśli z nami znowu zadrzesz, to cię załatwimy. To miałeś zrozumieć — powiedział. A potem strzelił Viselteara prosto w szczękę. O mało go nie znokautował. — Tak samo jak ty chciałeś mnie załatwić, z pomocą tego dostawcy pizzy w Pleasantville. A teraz wynoś się do diabła. I zostaw teczkę.

Viseltear potarł podbródek i wstał od stolika. A potem, chwiejąc się lekko na nogach, odszedł, i było już po wszystkim.

Choć może niezupełnie, pomyślał O'Hara — zbyt wiele bowiem wiedział o tym, co się wydarzyło.

Zajrzał do walizki, obejrzał zawartość Flash Drive'u, przeczytał ten artykuł w dziale mody „Timesa”. Połączył jedno z drugim. Wyszło mu 1,4 miliarda.

Ale mogło się to jeszcze, choć niekoniecznie, obrócić na jego korzyść.

A może nie.

„Nie wszystko jest takie, jak się wydaje”.

# Rozdział 104

—O'Hara.

—Susan. Miło cię widzieć.

—Nawet w takich okolicznościach?

—Zawsze. W każdych okolicznościach.

Byliśmy w drodze do gabinetu Franka Walsha na dwunastym piętrze budynku FBI na Manhattanie. Susan i ja pracowaliśmy pod kierownictwem Walsha, chociaż na ogół w różnych sekcjach. Frank Walsh kierował kilkoma działami w nowojorskim biurze.

—Susan, John — powitał nas, uśmiechając się szeroko, kiedy weszliśmy do jego gabinetu.

Walsh był niesamowitym jajcarzem, gawędziarzem, faceitem typu brat łąta, co wcale nie oznaczało, że nie jest bystry. Ostatecznie był w końcu szefem moim i Susan.

Po chwili przenieśliśmy się do sali konferencyjnej.

—Chętnie pogadałbym z wami dłużej i dał sobie wcisnąć trochę kitu, ale mam dzisiaj mało czasu — oznajmił. — Możemy zjemy w najbliższym czasie obiad u Neary'ego? — Zatrzymał się przed drzwiami do następnego pomieszczenia. — Przykro mi, ale nie możesz tam wejść, Susan.

—Oczywiście — odparła Susan.

W przeciwieństwie do mnie nie uważała, że Frank jest bystry, lecz go tolerowała.

—Przystąpmy do rzeczy — powiedział, wchodząc ze mną do środka. — Niniejszym otwieram posiedzenie komisji.

W pokoju panowała sztywna, wywołująca od razu poczucie winy atmosfera. Nikt nie musiał zabierać głosu, żebym usłyszał głośno i wyraźnie: Dałeś dupy, O'Hara.

Usiadłem naprzeciwko komisji dyscyplinarnej. Od dnia, kiedy zniknęła Nora, przeszedłem długą drogę ze szpitala na krzesło elektryczne, z tygodniem przerwy na rehabilitację ramienia. Nie wspominając o pewnej tajnej misji, którą zakończyłem na lotnisku LaGuardia. Domyślałem się, że komisja chciała, abym był zdrow i cały, zanim da mi oficjalnie kopa w tyłek.

Frank Walsh rozpoczął od krótkiego przedstawienia mojej kariery. Członkowie komisji uważnie go słuchali. Stojący przed Frankiem magnetofon rejestrował każde słowo.

Agent John Michael O'Hara... były kapitan armii amerykańskiej... były funkcjonariusz nowojorskiej policji, dwukrotnie odznaczony... obecnie agent specjalny wydziału antyterrorystycznego FBI, w sekcji finansowania operacji terrorystycznych. Ma na swoim koncie kilka ważnych tajnych misji.

— Frank? — odezwał się starszy mężczyzna siedzący przy końcu stołu po prawej stronie. Nazywał się Edward Vointman i oprócz zasiadania w komisji pracował na co dzień w sekcji seryjnych morderstw. — Czy mógłbyś nam szerzej opowiedzieć, jak to się stało, że agent O'Hara został włączony do tego śledztwa?

Powstrzymałem cisnący się na wargi uśmiech. Zadając to pytanie, Vointman chciał tak naprawdę dowiedzieć się czegoś innego: Dlaczego, do diabła, nic o tym nie wiedziałem?

Walsh zmarszczył brwi. W większości firm, nie mówiąc już o agencjach rządowych, lewa ręka rzadko kiedy wie, co robi prawa. Jednak w tej sytuacji zakłócenia w komunikacji były trochę bardziej podejrzane. Prawa ręka nie wiedziała zbyt dobrze, co robiły jej własne palce.



Walsh wyłączył magnetofon i w tej samej chwili ulotniła się jego sztywność.

— Służę ci uprzejmie, Ed — zaczął. — Mająca swą siedzibę tu, w Nowym Jorku, Antyterrorystyczna Połączona Grupa Robocza wspólnie z sekcją finansowania operacji terrorystycznych oraz Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego monitorowała przelewy pieniężne wpływające i napływające do kraju.

Vointman otworzył usta, jakby chciał o coś zapytać — zapewne na czym polegało to „monitorowanie” — lecz Walsh powstrzymał go gestem dłoni.

— Nie mogę ci powiedzieć nic więcej na ten temat, Ed, więc nie naciskaj — uprzedził i odchrząknął. — Tak czy inaczej, jakiś czas temu dostaliśmy informację o dużym transferze z konta Connora Browna z Westchester. W trakcie dochodzenia odkryliśmy dziwny zbieg okoliczności. Narzeczona tego pana, Nora Sinclair, była wcześniej żoną nowojorskiego lekarza, który zmarł w identyczny sposób. I uwaga, był kardiologiem. Dobra wiadomość była taka, że Sinclair nie jest terrorystką. Zła, że przyczyniła się prawdopodobnie do obu zgonów.

Vointman znowu otworzył usta, ponieważ wszystko to potwierdzało zasadność jego pierwszego pytania. Jako szef sekcji seryjnych morderstw powinien był o tym wiedzieć.

Walsh jak zwykle nie dał mu dojść do słowa.

— Już mówię, w czym rzecz — powiedział. — Nie mogliśmy przekazać tego twojej grupie, Ed, dopóki nie byliśmy na sto procent pewni, czy ta cała Nora nie ma współnika, względnie, choć teraz może to się wydać mało prawdopodobne, czy sama dla kogoś nie pracuje. Żeby się długo nie rozwodzić, powiem tylko, że wybraliśmy pana O’Harę, ponieważ miał doświadczenie w tego rodzaju operacjach. Pracował przez cztery lata jako tajny agent w nowojorskiej policji i jego profil pasował dobrze do obiektu naszych zainteresowań. W tym czasie wykonywał już związane z tą sprawą zadanie. Innymi słowy, miał właściwą prezencję i głowę nie od parady. Tak nam się przynajmniej zdawało. Oczywiście

chodziło o tę głowę, która jest osadzona na karku — dodał, mierząc mnie przenikliwym spojrzeniem, po czym ponownie wcisnął przycisk nagrywania. — Myliliśmy się jednak — dodał.

Od tego momentu było już z górki.

Przez następną godzinę odpowiedziałem na wszystkie pytania dotyczące mojego dochodzenia w sprawie Nory Sinclair. Mówiłem o decyzjach, które podjąłem, i o tych, których nie podjąłem. Zwłaszcza o tych, których nie podjąłem. Byłem ich chłopcem do bicia i każdy zadbał o to, żeby mi dołożyć.

Kiedy zrobili, co do nich należało, Walsh podziękował im i wyszli. Myślałem, że ja też mogę się odmeldować, on jednak kazał mi zostać.

## Rozdział 105

Pozostali członkowie komisji dyscyplinarnej oddalili się i zostaliśmy tylko my trzej. Walsh. Ja. Oraz magnetofon. Wszystko zastygło w bezruchu. Przez dwadzieścia, może trzydzieści sekund wpatrywał się we mnie bez słowa.

— Czy powinienem coś powiedzieć? — zapytałem.

Walsh potrząsnął głową.

— Nie.

— Może ty powinieneś coś powiedzieć?

— Chyba nie. Ale i tak zadam ci pewne pytanie. — Odchylił się w fotelu i skrzyżował ręce na piersi. Przez cały czas świdrował mnie wzrokiem. — Zadzwoń do mnie z góry, tak?

Facet był niesamowity.

— Co skłania cię do takiego przypuszczenia?

— Powiedzmy, że przecucie — odparł, wzruszając ramionami. — Jesteś zbyt sprytny, żeby być taki głupi.

— Słyszałem chyba gorsze komplementy.

Walsh zignorował mój sarkazm.

— Dałeś się złapać ze spuszczoneymi portkami, ale coś mi mówi, że nadal jesteś kryty.

Nie odpowiedziałem od razu. Chciałem, żeby mówił dalej, być może odkrył źródło swojego „przecucia”. Nie zrobił tego.

- Jestem pod wrażeniem, Frank — powiedziałem.
- Niesłusznie — odparł. — Masz to wypisane na twarzy.
- Przypomnij, żebym nie grał z tobą w pokera.
- Mimo to nadal mogę dać ci nieźle popalić.
- Wiem.
- Nic nie zmieni tego, że fatalnie pokpiłeś sprawę.
- O tym też dobrze wiem.

Walsh zamknął teczkę.

- Możesz odejść.

Wstałem.

- Jeszcze jedno, O'Hara.

- Co takiego? — zapytałem.

— Wiem o twoim drugim zadaniu. Wiedziałem od samego początku. Jestem wtajemniczony. Wiem, że jesteś Turystą.

## Rozdział 106

Kiedy wszedłem kilka minut później do gabinetu Susan, moja szefowa stała przy oknie i wpatrywała się w popołudniowe niebo zaciągnięte deszczowymi chmurami. To, że pokazała mi plecy, było zdecydowanie wymowne

— Bardzo dali ci w kość? — zapytała, nie patrząc na mnie.

— Bardzo.

— W skali od jednego do dziesięciu?

— Osiemnaście, dziewiętnaście.

— Nie, poważnie.

— Może dziewięć — odparłem. — Nie będę nic wiedział przez tydzień.

— A do tego czasu?

— Przykują mnie za nogę do biurka.

— Powinni cię przykuć za coś innego.

— To już drugi żart na temat męskiego członka, jaki dzisiaj usłyszałem.

— A czego się spodziewałeś?

— Nie wiem, ale byłbym wdzięczny, gdybyś nie rozmawiała ze mną, stojąc do mnie tyłem.

Susan odwróciła się. Normalnie nic nie potrafiło wytrącić jej z równowagi, ale trudno było się tego domyślić, patrząc teraz na jej twarz. Widniały na niej troska i rozczarowanie.

— Postawiłeś mnie w złym świetle, John.  
— Wiem — odparłem szybko. Trochę zbyt szybko.  
— Mówię serio. W bardzo złym świetle. Zmierzyłem długim uważnym spojrzeniem moje stopy.

— Przepraszam — powiedziałem cicho.  
— Wiedziałaś, do diabła, że trzeba było nieźle nagiąć przepisy, by sprawą mogła się zająć moja sekcja.

Nie odezwałem się. Znając dobrze Susan, wiedziałem, że próbuje wyrzucić to z siebie. Gniew, frustrację, rozczarowanie. Domyślałem się, że musi wydać jeszcze jeden pierwotny okrzyk, zanim będzie mogła kontynuować.

I nie myliłem się.

— Do jasnej cholery, John, jak mogłeś być tak kurewsko głupi!

Kiedy przestały drżeć fundamenty budynku, na twarzy Susan z powrotem pojawił się stoicki spokój. Na wolności nadal grasowała seryjna morderczyni i trzeba było ją złapać. Niestety, raporty z terenu dawały mało powodów do optymizmu. Nora najwyraźniej zapadła się pod ziemię.

— Mamy jakieś informacje od naszych ludzi na Kajmanach? — zapytałem.

— Nic — odparła Susan. — Nigdzie jej nie widziano: na Karaibach, w całym Briarcliff Manor, w jej apartamencie w mieście, a także pomiędzy tymi wszystkimi punktami.

— Gdzie ona jest, na Boga?

— To pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. — Susan zerknęła na karteluszek, który leżał na biurku. Nagryziona była na nim kwota, jaką zamrożono na zagranicznym koncencie Nory. — Czy może raczej powinnam powiedzieć: pytanie za osiemnaście milionów czterysta dwadzieścia sześć tysięcy dolarów?

Ta suma zwałała z nóg.

— Skoro mowa o zagranicznym koncencie... — powiedziałem — co sądzisz o tym adwokacie, Kepplerze?

— O tym, Którego sterroryzowałeś?

— Powiedziałbym raczej, że zdopingowałem.

— Tak czy inaczej, Nora nie skontaktowała się z jego biurem.

— Może powinienem mu złożyć kolejną wizytę i...

— Jesteś przykuty do biurka, pamiętasz? — przerwała mi. — I kto wie, czym to się skończy — dodała, lekko się uśmiechając. — Na plus trzeba zapisać, że jeśli cię zawieszą, będziesz miał więcej czasu dla chłopców.

— Nie wiem — odparłem. — Wszystko zależy od tego, czy ich matka pozwoli mi go z nimi spędzać.

Susan ponownie odwróciła się do okna.

— Wiesz co? Gdybyś był tak samo dobrym mężem, jak jesteś ojcem, nigdy byśmy się nie rozeszli.

# Rozdział 107

Nie potrafiłem czekać. Teraz miałem to robić nie wiadomo jak długo. Po dwóch dniach siedzenia za biurkiem dostawałem kręčka. Miałem sporo papierkowej roboty, ale w ogóle się do niej nie zabierałem. Mogłem tylko patrzeć przez okno na ponure szare śródmieście Nowego Jorku. I dumać.

Gdzie ona się podziała?

Raporty napływające z terenu były krótkie, lecz mało pocieszające. Ani śladu Nory. Jak, do diabła, udało jej się zapaść pod ziemię?

Rutynowość naszych działań doprowadzała mnie do szału. W gabinecie dzwonił telefon, wysłuchiwałem informacji i odkładałem słuchawkę. Zżerała mnie frustracja. Na moim biurku powinni postawić tabliczkę: UWAGA! ZAWARTOŚĆ POD WYSOKIM CIŚNIENIEM!

Po raz kolejny zadzwonił telefon. Odebrałem go, szykując się na to samo co zawsze.

— O'Hara — powiedziałem.

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi.

— Halo?

Nadal nic.

— Kto mówi?



— Stęskniłam się za tobą — powiedziała cicho.  
Podskoczyłem na krześle.

— Nic nie powiesz? — zapytała Nora. — Ty za mną nie tęskniłeś? Nawet za seksem? Nawet za tym?

Już miałem odpowiedzieć... otworzyłem usta, żeby zmieszać ją z błotem... ale nagle się powstrzymałem. Nie mogłem pozwolić, żeby się rozłączyła.

Wcisnąłem znajdujący się na aparacie przycisk nagrywania, a potem następny, który uruchamiał tropienie rozmówcy. Wziąłem głęboki oddech.

— Jak się masz, Noro.

Roześmiała się.

— Och, daj spokój, przynajmniej na mnie wrzaśnij. Mężczyzna, którego znałam, nie należał do tych, którzy tłamszą coś w sobie.

— Masz na myśli Craiga Reynoldsa?

— Nie będziesz już się chyba podszywał pod agenta ubezpieczeniowego?

— On nie był prawdziwy. Nic z tego nie było prawdziwe, Noro.

— Chciałbyś, żeby było prawdziwe. W tej chwili jedyną prawdą jest to, że nie możesz się zdecydować. Nie wiesz, czy chcesz się ze mną pieprzyć, czy mnie zabić.

— W tej kwestii mam zupełną jasność — odparłem.

— To głos twojego zranionego ego — stwierdziła. — A skoro mowa o ranach, jak się czujesz? Nie wyglądałeś zbyt dobrze tamtej nocy.

— Dzięki tobie.

— Coś ci powiem, O'Hara. Świadomość, że już się nie zobaczymy, jest bolesna.

— Nie byłbym tego taki pewien — powiedziałem. — Zaufaj mi, znajdę cię.

— To takie śmieszne słowo, nieprawdaż? Zaufanie. Wyobrażam sobie, że twoja żona nie ma ostatnio z ciebie wiele pożytku. Jezu, tak mi przykro, że rozbiłam twoje małżeństwo.

— Możesz nie robić sobie wyrzutów. Trochę się spóźni-  
łaś. Rozwidliśmy się przed dwoma laty.

— Naprawdę? Więc jesteś do wzięcia, O'Hara?

Spojrzałem na zegarek. Rozmawiała ze mną już przeszło  
minutę. Nawijaj dalej, O'Hara.

— Jak sobie radzisz bez pieniędzy? — zapytałem, zmie-  
niając temat.

Nora zachichotała.

— Tam, skąd się biorą, jest ich mnóstwo. Są wszędzie.

— Tylko o to ci chodzi? O pieniądze?

— Mówisz tak, jakby to było coś złego. Dziewczyna musi  
chyba zadbać o swoją przyszłość...

— To, co robisz, wykracza trochę poza plan emerytalny.

— No dobrze, może robiłam to także dla sportu. Jesteśmy  
wściekle, O'Hara. Większość kobiet jest wściekła na męż-  
czyzn. Obudź się, poczuj swąd przypalonego boczku, ko-  
chanie.

Zaczęła się trochę rozkręcać. Być może dotknąłem czu-  
łego punktu. To dobrze.

— Co masz przeciwko mężczyznom, Noro?

— Masz wolną godzinę? Właściwie kilka.

— Owszem. Mam tyle czasu, ile tylko potrzebujesz.

— Niestety, ja go nie mam — odparła. — Czas się żę-  
gnąć.

— Zaczekaj!

— Nie mogę czekać, O'Hara. Do zobaczenia w twoich  
snach.

Klik!

Uniosłem dłoń i zatrzymałem stoper w zegarku. Proszę,  
szepnąłem. Zadzwoiłem do techników na dole.

— Powiedzcie, że ją zlokalizowaliście!

Milczenie, które zapadło w słuchawce, rozrywało mi  
uszy.

— Przykro mi — usłyszałem. — Zgubiliśmy ją.

Złapałem za telefon razem z podstawką i całą resztą i cis-  
nąłem nim o ścianę. Roztrzaskał się na kawałki.

„Do zobaczenia w twoich snach”.

# Rozdział 108

Siwowłosy monter, instalujący nazajutrz rano nowy telefon, spojrzął na resztki poprzedniego i posłał mi porozumiewawczy uśmiech.

— Po prostu spadł panu z biurka, tak? — powiedział.

— Niech pan mi wierzy, na świecie zdarzają się dziwniejsze rzeczy — odparłem.

Po kilku minutach nowy telefon był zamontowany i działał. Przynajmniej coś działało. Ja byłem nadal przykuty do biurka, dręczony przez nudę, nie wspominając o wątpliwościach oraz potężnym poczuciu winy, całych jego pokładach.

Nowy telefon zadzwonił.

W pierwszej chwili myślałem, że czeka mnie bis — Nora znowu chciała pogadać, trochę się ze mną podroczyć. Po namyśle uświadomiłem sobie jednak, że to mało realne. Wczorajsza rozmowa świadczyła o tym, że to był jednorazowy epizod.

Podniosłem słuchawkę. Rzeczywiście, to nie była Nora.

To była druga kobieta mojego życia, która miała ze mną na pieńku. Nie trzeba chyba mówić, że nie pozostawaliśmy ostatnio w najlepszych stosunkach. Mimo to zachowywaliśmy się jak prawdziwi profesjonaliści.

— Masz jakieś informacje z laboratorium dźwiękowego?  
— zapytałem.

Nagranie rozmowy z Norą analizowane było pod kątem wykrycia możliwych odgłosów tła, które wskazałyby, gdzie ogólnie, a może nawet konkretnie, przebywa moja rozmówczyni. Oceaniczna fala, przechodzień mówiący w obcym języku. To, że ja tego nie usłyszałem, nie oznaczało wcale, że nie było tego na taśmie.

— Tak, mam już raport — odparła Susan. — Niczego nie wykryli.

Kolejna zła wiadomość, lecz sposób, w jaki mi ją przekazała, jakby nie miało to większego znaczenia, był symptomatyczny. Susan coś wiedziała.

— Co jest grane? — zapytałem.

— Co jest grane? Jesteś niewiarygodnie, kurewsko głupi, John. Gdybyś był w stanie mnie zranić, znowu złamałbyś mi serce.

Nie zamierzała mi odpuścić.

— Wiem o tym, Susan. Masz mi do powiedzenia coś więcej. Zachichotała, domyślając się, że ją przejrzałem.

— Jak szybko możesz być w moim gabinecie? — zapytała.

## Rozdział 109

Dwadzieścia minut później Susan i ja pędziliśmy na północ, mijając rogatki miasta. Po trwającej godzinę i pięćdziesiąt minut podróży wjechaliśmy na teren szpitala psychiatrycznego Pine Woods w Lafayetteville w stanie Nowy Jork.

— To powinno cię zainteresować — powiedziała Susan, kiedy wysiedliśmy z mojego auta i ruszyliśmy w stronę ośmiopiętrowego gmachu z cegły. — Poznasz swoją teściową. Trzymają tutaj matkę Nory, O'Hara.

Uśmiechnąłem się półgębkiem. Widziałem, że Susan świetnie się bawi.

Wkrótce zasiedliśmy w małej salce konferencyjnej na najwyższym piętrze szpitala. Przed sobą mieliśmy tęgawą siostrę przełożoną oddziału dla umysłowo chorych.

Nie potrafiłem powiedzieć, czy się bała, czy była zdeenerwowana. Tak czy owak, sprawiała wrażenie bardzo zakłopotanej. Spotkanie z dwójką agentów FBI działało tak czasami na ludzi.

— Agencie O'Hara, to jest siostra Emily Barrows — powiedziała Susan, która pierwsza skontaktowała się z Pine Woods.

— Miło mi — oznajmiłem, podając jej rękę.

— Emily ma chyba dla nas wartościowe informacje na temat Nory — wyjaśniła Susan.

Siedziałem tam niczym dziecko, które czeka na gwiazdkowe prezenty. Ani na chwilę nie odrywałem oczu od ubranej w białe spodnie i prostą białą bluzkę pielęgniarki, która była wcieleniem pospolitości, poczynając od spiętych z tyłu włosów aż po gumowe podeszwy butów z kozłej skóry.

— Jedną z naszych pacjentek w Pine Woods — zaczęła drżącym głosem — jest kobieta o nazwisku Olivia Sinclair.

To już wiedziałem.

— Nora jest córką Olivii — dodała Emily. — Przynajmniej tak mi się wydaje. Uświadomiłam sobie właśnie, że nigdy nie widziałam dokumentu, który by to potwierdzał.

— Ja widziałam — wtrąciła Susan. — Po rozmowie z tobą, Emily, sprawdziłam to w aktach skazanych.

— W aktach skazanych? — zapytałem, unosząc brew.

— Olivia Sinclair zaczęła odsiadywać dożywocie, kiedy Nora miała sześć lat.

— Za co?

— Za morderstwo.

— Chyba żartujesz?

Susan potrzęsnęła głową.

— Mało tego, O'Hara. Olivia zamordowała swojego męża. A ich mała córeczka, Nora, była świadkiem tego, co się stało. Po kilku latach spędzonych w więzieniu Olivia straciła najwyraźniej kontakt z rzeczywistością. Wtedy właśnie przywieziono ją do Pine Woods. Nora tułała się w tym czasie po domach dziecka. Przenosiła się tak często, że nigdy nie miała jednego dossier.

Susan spojrzała na Emily, która sprawiała wrażenie kompletnie zdezorientowanej.

— Przepraszam — powiedziała do pielęgniarki. — Mam poważne powody sądzić, że Nora zabiła przed kilku laty swoje go pierwszego męża. Na tej podstawie oraz w oparciu o inne fakty mamy jeszcze poważniejsze powody sądzić, że zabiła drugiego męża.

—Nora i Connor Brown byli tylko zaręczeni — przypomniałem Susan.

—Mówią o Jeffreyu Walkerze — wyjaśniła.

Byłem teraz jeszcze bardziej zdezorientowany niż Emily.

—Jeffreyu Walkerze? — zapytałem.

—No, wiesz... tym, który pisze kliwne historyczne powieści. To znaczy pisał.

—Tak, znam go. Twierdzisz, że on i Nora byli...

—Małżeństwem.

—Chryste — mruknąłem, łącząc to wszystko razem. — W wiadomościach mówili, że zmarł na atak serca. I pozwól, że zgadnę — dodałem. — Facet mieszkał w Bostonie.

Susan dotknęła palcem nosa.

—Co sprowadza nas z powrotem do Emily — powiedziała, zwracając się do pielęgniarki. — Proszę nam opowiedzieć wszystko, co pani wie. To bardzo ciekawe, O'Hara.

Emily pokiwała głową i poprosiła, żebyśmy jej towarzyszyli.

—Złożymy wizytę Olivii.

# Rozdział 110

Ruszyliśmy szpitalnym korytarzem do pokoju matki Norry, Olivii. Przez wszystkie te lata posługiwała się swoim panińskim nazwiskiem, Conover, i dlatego odszukanie jej stało się o wiele trudniejsze.

— Rozmawiałam któregoś dnia z Norą o tym pisarzu, Jeffreyu Walkerze, i wkrótce potem przeczytałam w gazecie, że umarł — oznajmiła Emily, kiedy szliśmy. Susan i ja nie przerywaliśmy jej. — Oczywiście, nie sądziłam, że istnieje jakiś związek. Nie wiedziałam nawet, że Nora ma kłopoty, dopóki nie powiedzieli o tym w telewizji.

Emily stanęła w miejscu. Przed wejściem do pokoju Olivii chciała nam najwyraźniej coś powiedzieć.

— Przed kilkoma tygodniami, może przed miesiącem, przeczytałam przypadkowo list, który Olivia przekazała Norze. Jego treść kompletnie nas zaskoczyła. Dowiedzieliśmy się z niego wiele o Olivii, a także o samej Norze. Zaraz się przekonacie. — Emily ruszyła dalej korytarzem. Po minięciu kilku kolejnych sal nacisnęła klamkę. — To pokój Olivii.

Otworzyła drzwi. Zobaczyłem siedzącą na łóżku bardzo starą kobietę. Czytała książkę i nie podniosła wzroku, kiedy nasza trójka weszła do pokoju.



— Dzień dobry, Olivio. To są goście, o których ci mówiłam — oświadczyła donośnym głosem Emily.

Olivia uniosła w końcu wzrok znad książki.

— O, dzień dobry — powiedziała. — Lubię czytać.

— Owszem, Olivia lubi czytać — potwierdziła Emily i kącki jej ust wykrzywiły się w uśmiechu. — Przez dłuższy czas — dodała, odwracając się do mnie i Susan — oszukiwała nas co do swego faktycznego stanu. Imiała się najprzeróżniejszych sztuczek, żeby przekonać nas, że jest bardziej chora, niż była. Pewnego razu, kiedy była tutaj Nora, symulowała atak, ponieważ jej córka miała zamiar ujawnić coś, czego nie powinna. Olivia wie, że nagrywamy wszystkie wizyty. Jest bardzo dobrą aktorką. Prawda, moja droga?

Olivia obserwowała Susan i mnie, pilnie słuchając tego, co mówiła pielęgniarka.

— Chyba tak — przyznała.

— Uzgodniłyśmy, że mimo wszystko zostanie w Pine Woods. W zamian za to zgodziła się wam pomóc.

Olivia pokiwała głową, nadal wpatrując się we mnie i w Susan.

— Pomogę. Jaki mam wybór? — wyszeptała, po czym odłożyła książkę i wstała z łóżka.

— Odwiedzając matkę, Nora za każdym razem przynosiła jej do czytania nową powieść. Robiła to, chociaż była przekonana, że Olivia wcale ich nie czyta — oznajmiła Emily.

Olivia podeszła do szafy i wyjęła z niej tekturowe pudło. Zobaczyłem, że są w niej książki, a także kilka paczuszek i kopert.

— Przed dwoma tygodniami Nora przestała nam składać wizyty. A potem do Olivii zaczęły przychodzić paczki. Paczki od Nory. W jednej z nich był nawet list — powiedziała Emily.

Ożywiłem się. Paczki. Można by spróbować ustalić, gdzie zostały nadane. Czy Nora była aż tak głupia, żeby zamieścić zwrotny adres? Wydawało się to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

I rzeczywiście.

Emily wyjaśniła, że na paczkach nie było nic, co pozwoliłoby ustalić miejsce pobytu Nory.

— Nie było adresu zwrotnego. Żadnych znaczków ani specjalnych oznaczeń — oznajmiła. — Proszę, daj agentowi O’Harze list, który dostałaś — poleciła Olivii.

Wziąłem go, rozłożyłem i przeczytałem na głos.

— „Droga mamó, przepraszam, że nie mogę cię odwiedzić. Mam nadzieję, że książka ci się spodoba. Kocham cię, twoja córka, Nora”.

Przeczytałem jeszcze raz wiadomość i potrząsnąłem głową.

— Co jest takiego szczególnego w tym liście?

Susan wzięła do ręki kartkę.

— Cały jest szczególny. Nora, zawsze taka ostrożna, tym razem dała plamę — powiedziała i popatrzyła na Emily.

Ja też popatrzyłem na Emily.

Pielegniarka wyjaśniła mi w końcu to, o czym z pewnością poinformowała wcześniej Susan.

— Niech pan przyjrzy się bardzo uważnie tej kartce, agencie O’Hara. Proszę ją obejrzeć pod światło — powiedziała. — Widzi pan? W prawym dolnym rogu?

Podniosłem list i przysunąłem bliżej.

Niech to szlag!

Papeteria miała znak wodny.

Spojrzałem na stojące w pokoju kobiety i zobaczyłem, że Olivia zaczyna płakać.

— To taka dobra córka. Taka kochana — powiedziała.

# Rozdział 111

Nora wyszła na skąpany w popołudniowym słońcu prywatny taras, mając na sobie wyłącznie jasnoniebieski dół od bikini, a na ustach promienny uśmiech. Pociągnęła łyk wody Evian i przycisnęła butelkę do policzka. Nie zdążył jej się jeszcze znudzić widok plaży Baie Longue, lśniącego białego piasku, który zdawał się zlewać z turkusowymi wodami Karaibów. Sama nie zaprojektowałaby tego lepiej.

La Samanna na wyspie St. Martin cieszyła się zasłużoną sławą ekskluzywnego i ustronnego kurortu. Dla Nory ważne było to drugie. W dzień, skryta za ciemnymi okularami od Chanel, była bogatą damą relaksującą się przy basenie. A w nocy... biorąc pod uwagę, jak upojne noce spędzała z Jordaniem, kolacje zawdzięczali na ogół uprzejmości obsługi hotelowej.

W gruncie rzeczy bywały dni, kiedy niczym nowożeńcy w ogóle nie opuszczali swojej willi. Na szczęście w La Samanna mieli także bogaty wybór dań śniadaniowych oraz obiadowych.

— Kochanie, czy dziś napijesz się szampana Duval-Leroy czy Dom Perignon? — zawołał z sypialni Jordan.

Decyzje, decyzje...

— Ty wybierz, skarbie — powiedziała.

Jordan Mauch, potentat w branży nieruchomości, urodził

się, żeby podejmować decyzje. Tą, która przysporzyła mu najwięcej forsy, było uznanie Scottsdale w Arizonie za następną West Palm Beach. Ostatnia dotyczyła życia osobistego. Zatrudnienie Nory Sinclair w charakterze dekoratorki jego nowego domu nieopodal Austin, a następnie nagrodzenie jej krótką wycieczką na Karaiby okazało się wyjątkowo korzystnym posunięciem. Zamówił lunch i odezwał się z sypialni.

— Kochanie, czy zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś kompletnie ubrana?

— Chcę tylko wyrównać opaleniznę — odparła, wypychając językiem policzek. — Poza tym to jest francuska część wyspy, skarbie.

Wcześniej w tygodniu pojechała z Jordanem za Grand Case, na plażę nudystów w Orient Point. Gdyby to zależało od Nory, rozebrałaby się i czuła jak w domu. Ale nie z Jordanem. Nic z tego nie wyszło. Był to jedyny miejscowy zwyczaj, którego nie zamierzał naśladować. Zdażyła się już przekonać, że bardzo bogaci mężczyźni z zagranicznymi kontami nie chcieli się publicznie obnażać. Musiało to mieć coś wspólnego z ochroną ich aktywów.

Nora wróciła do sypialni, włożyła jeden z hotelowych puszystych białych szlafroków, po czym wskoczyła do łóżka i przytuliła się do szerokiej piersi Jordana.

Był tylko jeden mały problem.

Nie mogła zapomnieć Johna O'Hary. Jego zapachu, smaku, tego, że wydawał się rozumieć ją lepiej niż jakikolwiek mężczyzna, z którym była.

I to ją denerwowało. Nie chciała tych myśli, nie chciała być w ramionach kogoś innego, Jordana Maucha czy w ogóle kogokolwiek, i myśleć o O'Harze. To było zbyt bolesne. Co się ze mną, do diabła, dzieje? Przecież ja się nie zakochuję.

— Ziemia do Nory... — powiedział Jordan.

— Przepraszam, skarbie — odparła, przestając wpatrywać się w przestrzeń. — Myślałam, jakie to wszystko jest wspaniałe.

— Kolejny dzień w raju.

Pocałunek przerwało im pukanie do drzwi. Podano lunch. Jordan wstał z łóżka i otworzył drzwi.

— Dziękuję — powiedział, kiedy kelner i kelnerka wtoczyli do środka długi stół. Jak zwykle mieli na sobie szorty, płócienne koszule, docksidery oraz duże słomiane kapelusze.

Te ostatnie pofrunęły nagle na podłogę.

— Witaj, Noro. Mówiłem, że się jeszcze spotkamy — powiedział O'Hara.

— Nie waż się do niej odzywać! — warknęła Susan, wyciągając broń i celując w leżącą na łóżku Norę. — Mamy cię, dziwko! A ty — dodała, zwracając się do Jordana Maucha — masz wielkie szczęście, że jeszcze żyjesz.

## Rozdział 112

Tego popołudnia wydarzyło się coś bardzo dziwnego i zaskakująco miłego — miałem trochę wolnego czasu i spędziłem go z Susan. Postanowiliśmy roztropnie spenetrować plażę La Samanna, która była długa, szeroka i olśniewająco biała. Niedaleko brzegu tkwił nawet stary wrak.

— Jesteś pewna, że możemy zaufać tutejszym policjantom? — zapytałem Susan, kiedy zażywaliśmy słonecznej kąpieli.

— Zachowujesz się, jakby byli gliniarzami z kreskówek — odparła.

Miałem na myśli *gendarmerie* — policję St. Martin, która opiekowała się Norą do czasu, gdy zostanie załatwiona jej ekstradycja.

— Może jestem uprzedzony — kontynuowałem — ale trudno ufać policjantom, którzy paradują w krótkich spodenkach. I nie mówimy wcale o normalnych szortach. Widziałaś je? Są tak obcisłe, że można łatwo zgadnąć, jaką wyznają religię.

Susan posłała mi to niedowierzające spojrzenie, które widziałem tyle razy wcześniej.

— Zamknij się i pij drinka, John.  
Miała rację. Jak zawsze.

Odwaliliśmy naszą policyjną robotę. Nora siedziała za kratkami i sprawa była zamknięta. Zadzwoniliśmy nawet do domu, do Johna Juniora i Maxa, żeby sprawdzić, jak im się układa z dziadkami, rodzicami Susan, którzy mimo wszystko nadal mnie trochę lubili.

Susan i ja zasłużyliśmy, żeby choć przez chwilę siedzieć tam, gdzie siedzieliśmy — tuż obok siebie, na wygodnych plażowych leżakach w tym niewiarygodnie wytwornym kurorcie, obserwując słońce zachodzące na tle pięknie podświetlonego pomarańczowego nieba. Do diabła, nawet trochę razem popływaliliśmy.

Uniosłem w górę szklankę z mai-tai.

— Za siostrę Emily Barrows.

Susan stuknęła się ze mną swoją piña coladą.

Wyciągnąłem się w leżaku i wziąłem głęboki oddech. Czułem olbrzymią satysfakcję i ulgę, nadal jednak nie dawało mi spokoju coś, czego nie potrafiłem dokładnie określić, lecz co nie było zbyt miłe. Nazwijmy to poczuciem winy.

Zerknąłem na Susan, która była niewiarygodnie piękna i spokojna. Przysporzyłem jej sporo cierpień i czułem się z tego powodu paskudnie. Zasługiwała na coś lepszego.

Wziąłem ją za rękę i lekko uściśnąłem.

— Naprawdę bardzo mi przykro — powiedziałem.

— Wiem — odparła cicho, odwzajemniając uścisk.

I tak to wyglądało. Szczęśliwe zakończenie, jeśli w ogóle istnieje coś takiego. Ja z mai-tai w jednej dłoni oraz pierwszą kobietą, którą naprawdę kochałem, u boku. I Nora Sinclair, która miała wkrótce zacząć odsiadywać dożywocie za popełnione morderstwa.

Powinienem oczywiście wiedzieć, że to nie takie proste.

## Rozdział 113

W następny piątek zjawiłem się w gabinecie Susan w Nowym Jorku. Dokładnie rzecz biorąc, zostałem wezwany. Skończyła właśnie rozmawiać przez telefon z Frankiem Walshem.

— Nawet nie wiem, jak ci to powiedzieć, O'Hara.

— Chyba prosto z mostu. Sam sobie nawarzyłem piwa.

— Nie o to chodzi, John... rzecz w tym, że wycofują oskarżenie przeciwko Norze Sinclair.

Wiadomość uderzyła mnie niczym cios w splot słoneczny. Mocno, boleśnie i z zaskoczenia. Dopiero po kilku sekundach zdołałem wyksztusić parę słów.

— Co to znaczy „wycofują oskarżenie”?

Susan wpatrywała się we mnie zza biurka. Widziałem, że jest wściekła, ale trzymała nerwy na wodzy.

W przeciwieństwie do mnie.

Zacząłem krążyć po gabinecie, klnąc na czym świat stoi i miotając najprzeróżniejsze groźby. Na początek miałem zamiar skontaktować się z „New York Timesem”.

— Usiądź, John — powiedziała.

Nie byłem w stanie usiąść.

— Nie rozumiem. Jak oni mogli? To bezwzględna morderczyni.



—Wiem o tym. To psychopatka. Niewiarygodnie podstępna.

—Więc dlaczego puszcza ją wolno?

—To skomplikowane.

—Skomplikowane? Bzdura. To niedopuszczalne.

—Nie mówię, że nie — stwierdziła pojednawczym tonem. — Jeżeli obelgi i krzyki poprawią ci samopoczucie, to się nie krępuj. Ale to i tak nic nie zmieni. Na „górze sprawa jest przesądzona.

Nienawidziłem, kiedy miała rację. Jak wówczas, gdy powiedziała, że jestem zbyt zapatrzonej w siebie, żeby ocalić nasze małżeństwo. Trafiła w samo sedno.

W końcu usiadłem i wziąłem głęboki oddech.

—No dobrze, dlaczego?

—Sam zgadniesz, jeśli się nad tym chwilę zastanowisz.

Znowu miała rację. Właściwie zawsze byłem świadom, że oskarżenie Nory może przysporzyć poważnych kłopotów „siłom dobra”. Podczas procesu wyszłyby na jaw moje grzeszki i szefowie FBI nie byli zbyt zachwyceni perspektywą wystawienia się na razy. Mimo to jakoś by to znieśli, gdyby tylko na tym polegał problem.

Chodziło jednak o coś więcej, znacznie więcej.

Zostałem w to, do diabła, wplątany, stając się Turystą.

Miało to związek z walizką. Oraz z listą nazwisk i kont bankowych.

Mój flirt z oskarżoną był niczym w porównaniu z tą większą sprawą. Która była o wiele bardziej delikatna i kłopotliwa, oczywiście gdyby ujrzała światło dzienne.

Frank Walsh napomknął o tym podczas mojego przesłuchania przed komisją dyscyplinarną — mówiąc o monitorowaniu pieniędzy, które wypływają i napływają do kraju. Nie trzeba dodawać, że nie czyniono tego, prosząc lokalny bank o łaskawe sprawdzenie wyciągów. Można było tego dokonać wyłącznie dzięki dyskretnym porozumieniom, które zawarło Federalne Biuro Śledcze i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego z kilkoma międzynarodowymi bankami.

Uzasadnienie? Bardziej niebezpieczna od grupy terrorystycznej jest grupa terrorystyczna z solidnym finansowym wsparciem. Logika była prosta. Powstrzymać przepływy pieniędzy i ich powstrzymać. Albo jeszcze lepiej, odnaleźć ich pieniądze.

I odnaleźć ich samych.

Jedyną obowiązującą zasadą miał być brak zasad. Co oznacza, że duża część tego, co robiono, była nielegalna. Nikt nie był bezpieczny, nikt nie stał poza wszelkim podejrzeniem. Pieniądze przekazywane przez kasyna organizacjom charytatywnym oraz przez wielkie korporacje na rachunki typu *day trader*. Na całym świecie. Włamywaliśmy się wszędzie. Jeśli pieniądze zmieniały właściciela, śledziliśmy je. A jeśli wszystko wskazywało na to, że zmieniają właściciela po kryjomu, śledziliśmy je bardzo uważnie. Prywatne tajne konta przestały być tajne.

Tak właśnie poznaliśmy Connora Browna.

Oraz Norę.

— Więc tak to wygląda? — powiedziałem do Susan.

— Cóż jeszcze mam ci powiedzieć? Nora stanowi dla nich mniejsze zło. — Susan uśmiechnęła się drwiąco. — Innymi słowy, jakie ma znaczenie śmierć kilku bogaczy w porównaniu ze światowym bezpieczeństwem, demokracją i czym tam jeszcze. Uwolnią ją, O'Hara. Z tego, co wiem, może już to zrobili.

# Rozdział 114

Nora okrążyła czerwonym mercedesem Dolny Manhattan, dodając ostro gazu, póki nie upewniła się, że nikt za nią nie jedzie — ani dziennikarze, ani policja. Następnie wjechała na rozsypującą się diabelską kolejkę znaną pod nazwą West Side Highway i ruszyła na północ do Westchester. Potrzebowała trochę czasu dla siebie.

Wkrótce pędziła otwartym kabrioletem prawie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Boże, jakie to cudowne uczucie być wolną. To najlepsze, co jej się przytrafiło. Zatrzyma się na kilka dni w domu Connora, sprzeda w końcu jego meble i zaplanuje, co robić dalej.

To zabawne, pomyślała, ale może nadeszła pora, by się ustakować. Wyjść za kogoś na serio za męża i mieć kilkoro dzieci. Pomysł rozśmieszył ją, ale nie wydawał się zupełnie absurdalny. Zdarzają się dziwniejsze rzeczy — tak jak jej dzisiejsze wyjście z więzienia.

Zanim się zorientowała w oddali zamajaczył dom Connora, było nie było, miejsce zbrodni. Jakie to wszystko osobliwe i wspaniałe. Była wolna jak ptak; uszło jej na sucho morderstwo. A te kilka dni, które spędziła za kratkami, na słynnej Riker's Island niedaleko lotniska LaGuardia, sprawiły, że czuła się teraz jeszcze lepiej. Naprawdę nadzwyczajnie.

Gdy wysiadła z samochodu, odniosła wrażenie, że coś słyszy i to przypomniało jej Craiga, O'Hare. Co ich połączyło? Nadal nie wiedziała. Na pewno było to coś mocnego i prawdziwego. Ale teraz już minęło, prawda?

Chyba doszła do siebie po Craigu.

Nora weszła do środka. W domu czuć było stęchlizną i kurzem, ale miała w nim spędzić niewiele czasu. Przywykła zresztą do drobnych niedogodności.

Weszła do kuchni i otworzyła na oścież drzwi lodówki marki Traulsen. O Boże, cóż za katastrofa. Gnijące warzywa... i sery!

Złapała stojącą z przodu butelkę wody Evian i zamknęła drzwi lodówki, zanim zebrało się jej na torsje.

— Jakie obrzydlistwo...

Wytarła butelkę czystym ręcznikiem, otworzyła i wypija prawie połowę. Teraz co? Może gorąca kąpiel? Chwila w basenie? Sauna?

Nagle złapała się za brzuch i uświadomiła sobie, że nie może ustać na nogach.

Mój żołądek płonie, pomyślała, rozglądając się po kuchni — lecz poza nią nie było tam nikogo.

Ból eksplodował jej w gardle i Nora poczuła, że nie może oddychać. Chciała zwymiotować, ale to też okazało się niemożliwe.

A potem przewróciła się, nie będąc w stanie zamortyzować własnego upadku.

Być może rąbnęła nawet twarzą w płytki podłogi, lecz nie dbała o to. Nic nie miało znaczenia prócz tego potwornego ognia, który trawił ją od środka. Przedmioty traciły swoje kontury. Jej ciało ogarniał ból, jakiego nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu.

A potem usłyszała zbliżające się do kuchni kroki.

W domu był ktoś jeszcze.

## Rozdział 115

Nora rozpaczliwie pragnęła odkryć, kto to był. Niezbyt dobrze widziała. Wszystko rozmazywało się jej przed oczyma. Miała wrażenie, jakby jej ciało rozpadało się na części.

— O'Hara? — zawołała. — To ty? O'Hara?

Zobaczyła, że ktoś wchodzi do kuchni. To nie był O'Hara.

W takim razie kto?

Jakaś blondynka. Wysoka. Było w niej coś znajomego. Co? W końcu stanęła tuż obok.

— Kim jesteś? — wyszeptwała Nora, czując straszliwy żar w gardle i w piersiach.

Kobieta podniosła ręce... i zdjęła głowę z karku. Nie, to były tylko włosy, peruka, którą ściągnęła.

Pod spodem miała krótkie, piaskowego koloru włosy... i Nora w końcu ją poznała.

— To ty! — wycharczała.

— Tak, to ja.

Elizabeth Brown, siostra Connora, Lizzie.

— Długo cię śledziłam, Noro. Chciałam mieć pewność, że naprawdę to zrobiłaś. Morderczyni! Nie wiedziałam nawet, czy mnie zapamiętasz — powiedziała. — Ludzie nie zwracają na mnie czasami większej uwagi.

— Pomóż mi — szepnęła Nora.

Straszliwy żar objął teraz jej głowę i twarz, całe ciało. To było okropne: najgorszy ból, jaki mogła sobie wyobrazić.

— Proszę, pomóż mi — błagała. — Proszę, Lizzie.

Nie widziała już twarzy siostry Connora, ale usłyszała jej głos.

— Idź do diabła i niech cię piekło pochłonie, Noro.

# Rozdział 116

Ktoś zadzwonił na policję w Briarcliff Manor i przekazał tajemniczą wiadomość.

— Złapałam dla was zabójczynię Connora Browna. Jest teraz w jego domu. Przyjedźcie po nią.

Policja skontaktowała się ze mną w Nowym Jorku. Dotarłem do Westchester w rekordowym czasie, po mniej więcej czterdziestu minutach wariackiej jazdy przez miasto, a potem autostradą Saw Mili oraz niebezpieczną drogą numer 9.

Na kolistym podjeździe przed domem Browna stało pół tuzina radiowozów lokalnej i stanowej policji. Poza tym ambulans z centrum medycznego Westchester. Wziąłem głęboki oddech, wypuściłem powoli powietrze i wbiegłem do środka. Trząśłem się jak osika.

W holu musiałem pokazać odznakę posterunkowemu.

— Są w kuchni — oświadczył. — Prosto i...

— Wiem, gdzie to jest — przerwał mi.

Mijając w drodze do kuchni salon i jadalnię, zdałem sobie sprawę, że nie jestem na to przygotowany. Znałem dobrze cały dom i może dlatego było to dla mnie jeszcze trudniejsze. Naprawdę nie wiem. Byłem tam, lecz jednocześnie znajdowałem się gdzie indziej, jakbym oglądał się w złym śnie.

Działali technicy dochodzeniowi, co oznaczało, że detektywi już skończyli pracę. Rozpoznałem Stringera i Shaw z terenowego biura w White Plains. Współpracowałem z nimi krótko, kiedy przygotowywaliśmy kant z fikcyjną polisą, żeby dobrać się Norze do skóry.

Jej ciało wciąż tam było. Leżała przy kuchennym blacie. Obok była rozbita butelka po wodzie i okruchy szkła. Policyjny fotograf zaczął robić zdjęcia i błyski flesza przypominały małe eksplozje.

— Ktoś ją załatwił — powiedział Shaw, podchodząc do mnie. — Została otruta. Masz jakieś genialne pomysły?

Potrząsnąłem głową. Nie miałem żadnego genialnego pomysłu.

— Nie. Nie sądzę jednak, żebyśmy zbyt intensywnie starali się rozwiązać tę zagadkę.

— Ma, na co zasłużyła, nie?

— Tak jakby. To była zła śmierć.

Zostawiłem Shaw, ponieważ miałem ochotę mu przysunąć albo nawet znokautować, a na to nie zasłużył. Po chwili zbliżyłem się do Nory i skinąłem na fotografa.

— Daj mi minutkę — powiedziałem.

Ukucnąłem przy niej i próbując wziąć się w garść, popatrzyłem na jej twarz. Na samym końcu cierpiała, to nie uległo kwestii, lecz nadal była piękna, nadal była Norą. Rozpoznałem nawet lnianą bluzkę, którą na sobie miała, oraz jej ulubioną brylantową bransoletkę na nadgarstku.

Nie wiem, co powinienem czuć, ale było mi jej niesamowicie żal i poczułem, jak drapie mnie w gardle. Było mi także odrobinę żal samego siebie, Susan i naszych dzieciaków. Jak, do diabła, do tego wszystkiego doszło? Nie wiem, jak długo wpatrywałem się w ciało Nory. Kiedy się w końcu wyprostowałem, zobaczyłem, że w kuchni zapadła cisza i wszyscy mnie obserwują.

Zachowałem się jak palant, wiem. To powinno być moje drugie imię.



## Rozdział 117

Po południu tego dnia wróciłem na Manhattan. Radio w samochodzie grało na cały regulator, ale nie zwracałem na to uwagi. Myślałem gdzie indziej. Wiedziałem dokładnie, co chciałem teraz zrobić; co musiałem zrobić. Śmierć Nory sprawiła, że zobaczyłem wszystko w ostrzejszym świetle. Doszedłem nawet do wniosku, że nigdy jej nie kochałem. Wzajemnie się wykorzystaliśmy i rezultat okazał się bardzo nieprzyjemny.

Zajrzałem do mojego gabinetu tylko na chwilę, żeby zabrać stamtąd pewną teczkę. Śpieszyłem się do innego gabinetu. Mieścił się na samej górze, tam, gdzie bawili się duzi chłopcy.

—Może cię teraz przyjąć — powiedziała sekretarka Franka Walsh.

Wszedłem do środka i usiadłem przed imponującym dębowym biurkiem Walsh.

— Czemu zawdzięczam tę przyjemność, John? — zapytał Walsh.

— Muszę z tobą porozmawiać o pewnych sprawach. A swoją drogą, Nora Sinclair nie żyje.

Walsh sprawiał wrażenie zaskoczonego i zastanawiałem się, czy rzeczywiście o tym nie wiedział. Niewiele rzeczy działo się bez jego wiedzy — dlatego zapewne przetrwał te

wszystkie lata w biurze na Manhattanie.

— To chyba wiele upraszcza — powiedział. — Dobrze się czujesz?

— Czuję się dobrze, Frank.

Walsh złożył w daszek swoje cienkie sękaty palce.

— Ale mógłbyś się czuć lepiej, prawda? O co chodzi?

— Chcę wziąć urlop, Frank. Płatny. Bardzo ciężko ostatnio pracowałem. Nadgodziny i tak dalej.

Coś zdołało wreszcie zaskoczyć Franka Walsh.

— No, no — wycedził. — Czy jest coś, co chciałbyś dodać, John, zanim odrzucę twoją prośbę?

Kiwnąłem głową.

— Zrobiłem kopię — oświadczyłem i pchnąłem w jego stronę teczkę.

— Chcesz mi powiedzieć, co jest w środku?

— Zawartość walizki, która objechała pół świata, Frank. Było w niej również trochę ubrań, które umieszczono, żeby ją czymś wypchać, albo na wypadek, gdyby zajrzała do niej nieodpowiednia osoba.

Walsh pokiwał głową.

— Wygląda na to, że zajrzała do niej nieodpowiednia osoba.

— A może i odpowiednia. Susan powiedziała, że chodzi o to, żeby świat był bezpieczniejszy. Dlatego monitoruje się należące do terrorystów pieniądze, napływające i wypływające z kraju, a także sprawdza nielegalne konta za granicą. W ten właśnie sposób dowiedzieliśmy się przypadkiem o Norze. Przełała dużo pieniędzy, wszystkie za jednym zamachem, i dzięki temu ją dorwaliśmy.

Walsh pokiwał głową i uśmiechnął się. Zdradzał go ten oblesny uśmiezek. Trochę nieszczerzy i zdecydowanie nerwowy.

— Tak było, John.

— W przybliżeniu — odparłem — ale nie do końca. Susan uwierzyła w twoją historyjkę, Frank, ale ja miałem pewne

opory. I co z tego, że FBI oraz Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego śledzą fundusze terrorystów i od czasu do czasu naginają przepisy? Opinia publiczna na pewno by to zrozumiała. Frank Walsh już się nie uśmiechał. Zamiast tego słuchał mnie z dużą uwagą.

—No, więc owszem, zajrzałem do walizki. Robiąc to, myślałem, że być może będą musiał któregoś dnia wyrzucić na kogoś nacisk, a to, co jest w środku, pomoże mi to zrobić. Zrobiłem to z czystego egoizmu. Nie miałem pojęcia, co tam znajdę. Otwórz tę brązową kopertę, Frank. Rzuć okiem na zawartość. Przygotuj się na szok. A może wcale cię to nie zaszokuje.

Walsh głęboko westchnął, ale otworzył kopertę.

To, co znalazł, było wielkości palca wskazującego — mały Flash Drive, jeden z tych zewnętrznych nośników pamięci, które można za pomocą USB podłączyć do każdego komputera. Kosztuje około 99 dolarów w CompUSA. To była moja kopia oryginału.

—Jest tam również wydruk pliku. Ale dziwna sprawa... to nie są wcale fundusze terrorystów, Frank.

—Nie? — powtórzył Walsh i spokojnie potrząsnął głową. — A co to jest, John?

Nadeszła pora, żebym to ja się uśmiechnął.

—Nie wiem zbyt dobrze i muszę najpierw nadmienić, że nie jestem wielkim fanem żadnej z partii politycznych. Lubiłem wszystkich kolejnych prezydentów, z obu partii. Nie wiem w związku z tym, za kogo można mnie uważać. Może za agnostyka?

—Co jest na wydruku, John?

—Moim zdaniem ktoś w FBI śledził pieniądze przychodzące i wychodzące z kilku zagranicznych kont. Ludzi próbujących ukryć gotówkę, dużą gotówką, sięgającą kwoty półtora miliarda dolarów. I z tego, co widzę, Frank, każdy na tej liście jest sponsorem albo „przyjacielem” opozycyjnej partii. I co

ty na to? Gdyby coś takiego wyszło na jaw podczas procesu Nory Sinclair, rzeczywiście byłoby to kłopotliwe dla FBI oraz partii sprawującej władzę. Uznano by to za sprzeczne z prawem i wysoce nieetyczne. O wiele bardziej aniżeli bzykanie Nory Sinclair, czego, swoją drogą, szalenie się wstydzę.

Wstałem i zauważyłem, że lekko drżą mi nogi. Z jakiegoś powodu wyciągnąłem rękę i ucisnąłem prawicę Franka Walsh. Być może dlatego, że obaj wiedzieliśmy, że się z nim żegnam.

— Płatny urlop, John — powiedział. — Dostaniesz go. Zasłużyłeś sobie.

Wyszedłem z gabinetu i pojechałem do domu — do Riverside.

Do Maxa, Johna Juniora i Susan — jeśli mnie zechce. I powiem wam, że jadąc do Connecticut, przez cały czas się o to modliłem.

A Susan, ta niesamowita wspaniała Susan, jednak mnie zechciała.

## Spis treści

Prolog — Kto mnie załatwił? .....	5
Część 1 — Idealne pary .....	11
Część 2 — Facet od ubezpieczeń .....	83
Część 3 — Bardzo niebezpieczne gry .....	161
Część 4 — Dopóki śmierć nas nie rozłączy .....	257
Część 5 — Ucieczka .....	309